

SEKSOLOGRAFIE

REPORTAŻ UCZESTNICZĄCY O POKUSACH I PRAGNIENIACH / Gabriela Wiener



Prószyński i S-ka

SEKSOGRAFIE

REPORTAŻ UCZESTNICZĄCY O POKUSACH I PRAGNIENIACH / Gabriela Wiener

Przełożył
Andrzej Flisek

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału
SEXOGRAFÍAS

Copyright © Gabriela Wiener, 2008
All rights reserved

Projekt okładki
Ula Pągowska

Zdjęcie na okładce
© Zackary Canepari/Panos Pictures/Agencja Forum

Redaktor prowadzący
Milena Rachid Chehab

Redakcja
Małgorzata Grudnik-Zwolińska

Korekta
Sylwia Kozak-Śmiech

ISBN 978-83-8169-906-8

Warszawa 2020

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

GURU I RODZINA

Kici

GDYBY BADANI¹ był sprzętem gospodarstwa domowego, ciąłby, miał i szatkował swojego rozmówcę z prędkością tysięcy obrotów na sekundę. Kiedy mówi – może należałoby powiedzieć: wygłasza monolog – muska subtelnie kciukiem i palcem wskazującym swoje szpakowate wąsy. Nie sposób zbudować dłuższego zdania. Badani wyczuwa twoje intencje, odgaduje twoje pytania, interpretuje twoje gesty, nie dowierza twoim słowom. Nie dziwota: poligamista, specjalista od informatyki, zagorzały antykatolik, ekspert w sprawach seksu i miłośnik wolności rozumianej jako możliwość wyboru łańcucha, do którego chce się przykuć człowiek, Badani jest również uzależniony od etymologii. Mówi, że *familia* pochodzi od łacińskiego *famulus*, sługa. On ma ich sześć.

Mężczyzna ma brodę proroka i błysk chępliwości w oczach. Siedzi na kanapie w swoim sklepie z damską bielizną i seksownymi fatałaszkami, który prowadzi wraz z żonami w centrum handlowym w Miraflores. Od kilkunastu minut rozprawia o gorsetach i nie zdołałam jeszcze powiedzieć słowa. Dotyka dyskretnie szyi – to znak, że jedna z żon ma przynieść mu coca-colę. Uprzedził mnie o tym, jakby chciał powiedzieć: zaraz zobaczysz moją władzę. One zawsze odgadują jego potrzeby niczym oddane służki, niewolnice, które zapewniają, że czują się wolne jak ptaki. Niewolnica i paladyn, oto jego perfekcyjna definicja pary. One stają się jego częścią, on ryzykuje dla nich życie. Stara jak świat, a jednak rewolucyjna formuła szczęścia.

Walka o równość między mężczyznami i kobietami, efekt erudycyjnych głupot, jest, jego zdaniem, prawdziwą przyczyną destrukcji rodziny. Samców i samice łączą ich braki, dlatego też rodzina jest dla Badaniego oczywistym związkiem dopełniających się

elementów. Można ją porównać, mówi, do okrętu, na którym kobiety są oficerami, dzieci zaś załogą. Załoga nie ma prawa głosu. Oficerowie mogą doradzać kapitanowi, ale nie podejmują decyzji. Tylko kapitan dowodzi okrętem, załogą, odpowiada za ładunek, za pasażerów, wybiera właściwy kurs. Jest jedynym, który ma prawo głosu.

Mam tylko nadzieję, że pozwoli mi odzyskać mój głos.

Podczas ostatniego wywiadu, który przeprowadziłam z nim w jego sklepie, podzielił się ze mną nowiną: „Spodobałaś się dziewczynom. Pewnie dlatego, że wykonałaś dobrze swoją pracę”. Przed wizytą przeczytałam *En Aspas De Molino*², zbiór jego opowiadań i wierszy, na okładce którego Badani widnieje w zbroi Don Kichota. Guru miał świadomość, że odwiedziny w jego domu, to znaczy spędzenie dnia w mateczniku rodziny Badanich, są dla mnie najbardziej upragnionym celem. Aby wzmóc moje pragnienie, jak tylko mógł, odwlekał swoją zgodę. Już jakiś czasu temu przeniósł się na obrzeża Limy, bo tam, wierzył, nie dosięgną go macki łaknącej krwi prasy. Po przeprowadzce Badani i jego żony solennie obiecali sobie nie otwierać drzwi nowego domu bestiom, które znowu chciałyby ich oglądać niby zwierzęta w zoo. Dziennikarzom, czyli w opinii Badaniego handlarzom żywym towarem, wstęp wzbroniony. Tyle że on jest jak ojciec rodziny, który wie, kiedy powinien złagodzić swoją nieustępliwość i okazać łaskawość, i przed którym pozostaje tylko paść na kolana i wyrazić bezgraniczną wdzięczność. Postanowili więc, że mnie przyjmą bez aparatu fotograficznego, bez dyktafonu, bez notatnika. Jeśli do tej pory byłam myśliwym, oni zaś tropioną zwierzyną, teraz role miały się odwrócić.

W umówionym dniu zadzwoniłam do sklepu. Telefon odebrała jedna z małżonek. Była to Chilijka Mara Abovich, wysoka blondynka z długimi, puszystymi i gęstymi włosami ułożonymi po jednej stronie szyi. To jej powierzono zadanie przekazania mi informacji, że Badani zaprasza mnie do siebie na trzy dni, od wtorku do czwartku. Spędzę dwie noce z seksualnym guru i jego sześcioma żonami w bliżej nieokreślonym miejscu w okolicach Limy. Mara pyta, czy o to mi chodziło. Tak, tak, dokładnie o to, chociaż propozycja przerosła moje najśmielsze oczekiwania. Radzi mi, bym zabrała ze sobą szczoteczkę

do zębów i jeśli nie mam nic przeciwko temu, trochę białych *marshmallows* do opiekania w kominku. Droga dla drogi, oto jest droga, mówi tao.

We wtorkowy wieczór, aby uniknąć dysonansu, stawiam się w sklepie w spódnicy. „Badani, sztuki uwodzenia” można przeczytać na etykietach sprzedawanej przez niego bielizny. Badani powiedział, że jego kobiety nie noszą spodni. I że są całkowicie wydepilowane, ale aż tak daleko się nie posunęłam. Towarzyszyła mi obładowana torbami Mara, jego szósta żona – wcześniej zakupiła w supermarkecie włoskie kielbaski i inne produkty na osobiste życzenie Badaniego.

– Wybacz, ale Ricardo mnie o to prosił.

Miała zmierzyć moją aurę uczciwości wykrywaczem kamer kupionym w RadioShack, jednym ze sklepów, w których Badani zaopatruje się zwykle w technologiczne gadżety. Mara Irma Abovich jest wiernym odbiciem własnego ciała: to kobieta z charakterem, pełna wigoru, natychmiast wzbudza respekt. Potrafi tak lekko balansować pomiędzy powagą i dobrym humorem, że kiedy mówi, nie mogę oderwać od niej oczu. Być może jest jedyną z sześciu kobiet, która nie wygląda na do końca ujarzmioną. Jest szósta. Można odnieść wrażenie, że buntowniczką, którą w sobie nosi, nie umarła, lecz jest pogrążona we śnie, jakby sama chciała, żeby tak było zawsze, chociaż od czasu do czasu strzyka ironią, a Badani udaje, że tego nie dostrzega. Szósta żona opowiada, że pochodzi z bogatej chilijskiej rodziny. Jej historia może posłużyć za wzorzec pozwalający zrozumieć towarzyszek Badaniego. Mówi, że była świetnie radzącą sobie bizneswoman w branży dekoracji wnętrz, jedną z tych samowystarczalnych kobiet, które – jak dowiedziałam się później – nie są zbyt mile widziane w rodzinie Badanich. Miała luksusowe mieszkanie, podróżowała po całym świecie, lecz pewnego dnia poczuła, że jej życie nie ma sensu. I tak było do dnia, w którym na konferencji poświęconej tantrze ujrzała Badaniego.

– Twój chłopak nie żywił obaw, kiedy mu powiedziałaś, że zostaniesz na noc w domu Badaniego? – pyta mnie znienacka.

– Prawdę mówiąc, nie był zbyt zachwycony.

– I ma rację – mówi, ku mojemu absolutnemu zaskoczeniu.

Gdy Mara Abovich po raz pierwszy odwiedziła Badanich, pomyślała, że to rodzaj szaleńców wiodących ciekawe życie, jednak przez myśl jej nie przeszło, że mogłaby stać się jedną z nich.

– I jak widzisz, zostałam szóstą. Trudno się oprzeć temu życiu. Może ty będziesz siódmą.

Po plecach przebiega mi komiczny dreszcz. Życiem Mary włada Saraswati, bogini mądrości. Według ich religii jej dniem wolnym jest sobota. Każda kobieta Badaniego dysponuje w tygodniu jednym dniem wolnym, w którym może robić, co się jej podoba, zwolniona jest wówczas z prac domowych i cieszy się przywilejem spędzenia z mężem nocy w jego łóżu king size. Dzisiaj jest dzień Gaby, mojej imienniczki.

Genealogie: Badani to nazwisko matki Ricarda Ruiloby. Uległo zmianie, jak opowiada guru, podczas jednej z rodzinnych wojen. Ojcem Ricarda był Luis María Ruiloba, adwokat, który rozwiódł się z Teresą Badani, kiedy przyszły seksualny guru miał zaledwie trzy latka; historia ta musiała pewnie doprowadzić do furii dziadka Ricarda. Ruiloba to nazwisko asturyjskie, znaczy ono „władca wilków”. To również tytuł niewydanej powieści, którą Badani zadedykował ojcu i w której rozwija tezę o klanach jako fundamencie idealnego społeczeństwa.

Dzisiaj, mając już na karku piąty krzyżyk, na wzmiankę o rodzinie przyjmuje postawę obronną, jak pozostawione samemu sobie dziecko. Lecz mimo wszystko wzrusza się na wspomnienie o adwokacie Luisie Maríi Ruilobie.

Wydaje się, że w ostatecznym rozrachunku nieobecność ojca miast wywołać u Ricarda traumę, wzbogaciła go. Z kolei gdy napomykam o Bernardzie, starszym o trzy lata bracie, zmienia się na twarzy. Mówi, że nie był z nim bardzo zżyty, ale nigdy by nie pomyślał, że brat odwróci się do niego plecami, gdy deportowano go z Chile. Nigdy.

We wszystkich rodzinach zdarzają się właśnie między rodzeństwem. Nie wiadomo, czy Badani żartuje, gdy mówi, że jego brat jest powszechnie uwielbianym sprzedawcą kartofli. Nie chce kontynuować tematu. Upłynęło zbyt dużo wody od czasu, kiedy obaj, wspomina guru, jeździli na rowerze pomiędzy skąpanymi w słońcu

pnąciami winorośli w hacjendzie rodziny Venturo. Pracował tam dziadek Badani, który ojcował braciom Ruiloba. Był to typowy katolicki dom tradycyjnej klasy średniej.

Usłyszałam od kogoś, że pisarz i podróżnik Rafo León był kolegą szkolnym guru. Odwiedziłam go, aby zapytać o tamte dni w szkole Champagnat w Miraflores. Pamiętał doskonale braci Ruilobów Badanich: „Podobni byli do siebie jak dwie krople wody, bladzi, wymoczkowaci, ale strasznie zarozumiali i absolutnie ciapy”. Przez całą szkołę zgarniali wszystkie możliwe nagrody. Przez jedenaście lat podstawówki Ricardo Badani zdobył jedenaście złotych medali. Komplet dyplomów z nauk ścisłych, literatury i zachowania. León mówi, że matka i ciotka Ruilobów Badanich przyjaźniły się blisko z księżmi marianistami. Potrafiły wparować beztrąsko do klasy w południe z tacą z sokiem z papai i chlebem, żeby chłopcy mogli się posilić.

Według Leóna byli geniuszami, ale z kategorii mózgowców zupełnie pozbawionych ciała i emocji. Wróżył im karierę duchownych albo – w najlepszym razie – homoseksualistów. Przed kilku laty zdziwił się niepomnie, widząc młodszego z nich z sześcioma kobietami, w roli eksperta do spraw seksu. León myśli tylko o wyrównaniu rachunków. Inny kolega z klasy, Manuel San Román, również był przekonany, że niegdysiejszy, tak dobrze wychowany nastolatek zostanie księdzem. Zdradza mi własną teorię na temat guru:

– Życ z jedną kobietą jest ciężko, z dwiema jeszcze ciężiej, a co dopiero z sześcioma. Ten facet to geniusz.

Badani uprzedza, że przyjęto mnie do jego domu, gdyż zastosowano wobec mojej osoby zasadę domniemania niewinności. I dodaje, że po opublikowaniu artykułu okaże się, czy zdołałam jej dowieść.

Drzwi domu Badanich otwierają się i staje w nich mężczyzna w kapciach, w towarzystwie dozgonnie wiernych Taffy’ego, Lucky’ego i Cindy, należących do rodziny rozszczękanych psiaków, które przez wiele lat były doskonałymi dziećmi zastępczymi. Za plecami gospodarza widzę po raz pierwszy sześć żon razem.

W kolejności pojawienia się w jego życiu: 1. Elsa, 2. Gaby, 3. Lola, 4. Mercedes, 5. Beatriz, 6. Mara. Jedna w sześciu, jak mówi Badani.

Przeglądam się im: wszystkie mają ponad trzydzieści lat i noszą garderobę w krzykliwych kolorach, choć na swój sposób elegancką. Odnoszę wrażenie, że moja inwazja na ich dom i życie nie jest im niemiła. W gruncie rzeczy jeśli nauczyły się czegoś podczas wspólnej egzystencji, to z pewnością tolerancji wobec innych kobiet.

Jedno z pytań, które Badani i jego żony zadadzą mi wielokrotnie w trakcie mojej wizyty, brzmi: czy tak wyobrażałam sobie ich dom. Prawdę mówiąc, nie. Czasem wyobrażałam go sobie jako pałacyk w stylu Tadź Mahal, kiedy indziej jako chatę mistyków. Nic z tych rzeczy. Wiatr kołysze sielankową kanapohuśtawką w ogrodzie od frontu. Badani prowadzi mnie do swojego ulubionego zakątka, przytulnego barku, gdzie przechowuje imponującą kolekcję win. Kiedy miał swój program w telewizji, nauczył się przyrządzać koktajle. Teraz bawi się w szalonego chemika za barową ladą. Wymyśla nowe napoje. Traktuje to tak obsesyjnie, że zadaje sobie trud mierzenia stoperem czasu, jakiego potrzebuje na dotarcie do krwiobiegu każdy wymieszany i skosztowany przez niego trunek, ochrzczony na cześć uzyskanych efektów mianem „Amnezji”.

Badani przyrządza mi koktajl – to jedna z atrakcji powitalnego touru po domu, który – jak mówi – nabył po okazyjnej cenie za część pieniędzy uzyskanych ze sprzedaży swojego rancza w Santiago de Chile, chociaż przyznaje, że wydał fortunę na remont. Opowiada o tym z taką samą dumą, z jaką zwykle mówi o swojej seksualnej potencji czy ilorazie inteligencji. Nie ma tutaj perskich dywanów ani świec, ani woali, ani alabastrów, ani złożonych kolumn. Rustykalny pokój dzienny jest ascetyczny. Obok znajduje się gabinet z komputerami. Na górze biblioteka ze wspaniałą kolekcją literatury erotycznej, która zawiera ilustrowane wydanie *Kamasutry*, a także filmów erotycznych (klasyków w rodzaju *Historii O*). Prawdziwa uczta dla miłośników erotyzmu, którą zgodnie z sugestią Badaniego, mam zamiar sobie urządzić przed udaniem się na spoczynek. Za biblioteką znajdują się sypialnie: z prawej strony schodów dwie alkowy dla kobiet, w każdej z nich trzy pojedyncze łóżka; można powiedzieć, że ich wystrój odznacza się minimalizmem przywodzącym na myśl stylistykę klasztoru. Pozbawione charakteru, żadnych kobiecych detali, żadnej ozdóbki, którą można by przypisać jednej z sześciu

pań, z wyjątkiem jakiegoś pluszaka na poduszce. Z lewej strony pokój małżonka: wbudowana szafa, olbrzymie łóżko i wywieszka „nie przeszkadzać” na drzwiach.

Powiedziano mi, że dzisiaj będę spać w łóżku Gaby, mojej imienniczki, która spędzi noc z Badanim. Towarzystwa dotrzymają mi Mara i Beatriz. Ale teraz przygotowywane jest menu kolacji. Możemy wybrać między zupą „badani” (drobny makaron, *chorizos*, oliwki, szynka, kurczak, ser, wołowina) a kielbaskami opiekanymi na kominkowym ogniu. Nie mogę się zdecydować. Natomiast Beatriz ma chętkę na pizzę. W taki sposób podejmuje się w tym domu decyzje. Podczas gdy pięć z nich pracuje w kuchni, Badani wiedzie mnie na rustykalną sofę do pokoju dziennego. Kicia, jak nazywa Mercedes, zatańczy dla mnie taniec brzucha. Usadawiam się w pierwszym rzędzie. Gdy odziana w złocisty strój wysadzany kamieniami Kicia potrząsa jak opętana biodrami i piersiami perlącymi się kropelkami potu na wysokości moich oczu, Badani zdaje się bagatelizować nieco sprawę, objaśniając mi, niczym prawdziwy uczony w dziedzinie pępka, każdą fazę tańca: spojrzenie, wezwanie, ofiarowanie się, oddanie. Na zakończenie show Badani wsuwa dłoń w majtki Kici, po czym zaraz ją cofa, demonstrując ginekologicznym gestem lśniące od wilgoci palce.

– Jeśli kobieta nie jest wilgotna po tym tańcu – wyjaśnia – to znak, że tańczyła źle. Mercedes wykonała go perfekcyjnie.

Jutro Kicia udzieli mi lekcji tańca brzucha. Mam nadzieję sprostać oczekiwaniom. Ale teraz czas na pizzę. Temat wieczoru: w tej rodzinie przy kolacji rozmawia się o kobiecej ejakulacji. Stołowniczki sugerują, że z chęcią pomogą mi ją osiągnąć za pomocą niezawodnej techniki. Mówią, że mają w domu wziernik ginekologiczny i że mogę go używać, kiedy zechcę (tylko dla mężczyzn: wziernik to przyrząd lekarski umożliwiający badanie pochwy), by zobaczyć dokładny moment, w którym dochodzi do orgazmu. Wszystko przebiega w sposób naturalny, harmonijny. Wszystko jest odkryciem. Wszystko jest tak doskonale badaniowskie, że pytam domowników, czy nie nagrywa nas czasem ukryta kamera.

Badani chętni są swoją inteligencją. Przytacza liczby. Pierwszy pomiar jego IQ dał wynik 154. Drugi 198. Mówi, że pewnego dnia

zamieścić ogłoszenie w gazecie: „Wydzierżawię mózg, młody, dwujęzyczny, w dość dobrym stanie”. Tym sposobem zdobył swoją pierwszą pracę w rafinerii na stanowisku asystenta w dziale administracji. Trzy miesiące później zajął miejsce swojego szefa. Badani uzmysłowił sobie wówczas, że wolność jest stanem umysłu i że może zejść bardzo daleko, będąc sobą. Zapewnia, że stał się wolnym człowiekiem, gdy zrozumiał, dlaczego chce być najlepszym uczniem w klasie, dlaczego chce skończyć studia, dlaczego pragnie stabilności finansowej. I jedyna odpowiedź brzmiała: bo chcę mieć rodzinę.

Podobno zrobił interes na komputerach. Jego mikrofirma MiniComp, sprzedająca oprogramowanie do pecetów, była jedną z pierwszych w Peru. Na początku lat dziewięćdziesiątych Badani wyjechał do Chile w poszukiwaniu nowych horyzontów. Opowiada, że był tam doradcą informatycznym w chilijskiej filii Apple’a. Podejrzewam, że na temat pieniędzy nie rozmawia się w tej rodzinie. Kwestie finansowe są w wyłącznej gestii małżonka, kobiety tylko z nim współpracują. Dzisiaj Badani oferuje usługi software’owe za pośrednictwem niezależnej firmy Gurú&Familia. W 2001 roku wraz z żonami otworzył sklep z bielizną erotyczną. Projektowaniem, konfekcją i sprzedażą zajmuje się cała rodzina. Siedmioosobowe małżeństwo utrzymuje się ze sklepu i sporadycznych odczytów Badaniego, jak ten, który wygłosił niedawno w Stowarzyszeniu Kobiet Żydowskich. Tym, którzy sądzą, że musi być milionerem, skoro może sobie pozwolić na sześć żon, Badani odpowiada, że „o wiele droższe w utrzymaniu są współczesne pasożyty zwane kobietami niezależnymi”. Nie biorę tego do siebie.

Badani mówi, że urodził się w klanie „szalonych katoli”. Tłumaczy mi, że był zbyt inteligentny, by palić świece największej ponadnarodowej korporacji świata, która zbiera jałmużnę dla biednych, a sama żłopie wino ze złotych kielichów. „Uwierzę w świętego Cypriana [kardynała i arcybiskupa Limy, Jego Świątobliwość Ciprianiego], gdy zostanie stolarzem w dystrykcie Comas”. To już nie ten sam Badani, który przed laty z gitarą elektryczną na szyi proponował komisji episkopatu organizację mszy dla młodzieży. Jedna z jego żon pokazuje mi płytę winylową

z rockiem katolickim nagrany przez Badaniego w tamtej epoce. Jego romans z Kościołem katolickim zakończył się tak, jak kończą się tego typu związki: pewien duchowny za wszelką cenę chciał przekonać Badaniego, że biała krowa jest czarną krową i kropka.

Badani czegoś szukał. Dlatego studiował Biblię z mormonami, pisał teksty dla świadków Jehowy, nauczał z protestantami. Lizał ezoteryzmu, posiadał sztukę wróżenia z tarota, by w końcu dać się uwieść tao i jodze. Właśnie wtedy jeden z przyjaciół powiedział mu o wizycie tajemniczego przybysza z Indii, kogoś w rodzaju guru. Badani wspomina spotkanie z kudłatym osobnikiem, który kaleczył niemiłosiernie angielski i nie wzbudzał żadnego szacunku. Ni stąd, ni zowąd Hindus zaczął mówić o fizyce nuklearnej. Zapewnił Badaniego, że jest istotą, w której mieszkają układy słoneczne, wzruszył go i zachęcił do wielbienia Boga całym ciałem i umysłem. Rok później spotkali się na tej samej ulicy w centrum Limy i Badani przeszedł inicjację. Nigdy jednak nie podejrzewał, wspomina, że mistrz wybierze go na swojego następcę. Żony nazywają Badaniego *gurunyi*, czytaj – mój guru. Mówi, że posiada jeden z najwyższych stopni wtajemniczenia w religii liczącej pięć tysięcy lat. Tantryzm wielbi Boga w jego podwójnej postaci: męskiej (Śiwa) i żeńskiej (Śakti). Jednakże tantryzm rodziny Badanich nie ma nic wspólnego ze sławną tantryczną techniką seksualną Nowej Ery. Sięga głębiej: dąży do realizacji istoty ludzkiej poprzez akceptację seksualności jako fundamentalnej części życia. Dopuszcza posiadanie sześciu kobiet, jednej na każdy dzień. Ponoć Śiwa ma tylko jeden aspekt: penis w stanie erekcji. Natomiast Śakti, żona, ma sześć aspektów. Poniedziałek należy do pana Śiwy i czci się męski aspekt boga, to znaczy Badaniego. We wtorek wielbi się Gaby, w środę Elbę, w czwartek Beatriz, w piątek Mercedes, w sobotę Marę, a w niedzielę Lolę. Badani urzeczywistnił swoje marzenia. Jak sam mówi, wolał być obłąkany jak Don Kichot, niż umrzeć z przesyty w barłogu jak Sancho Pansa.

Niełatwo skojarzyć tego dojrzałego mężczyznę uprawiającego seks z sześcioma kobietami naraz z takim dyskretnym młodzieńcem, który swoją pierwszą miłość spotkał w wieku dziewiętnastu lat. Swoją pierwszą miłość Badani zaliczył w burdelu. Zanim się ożenił, miał kilka

dziewczyn, ale żadna z nich nie był godna wspomnienia. Już w czasach, kiedy nauczał tantry, pojawiła się w jego życiu Elsa Linares, pochodząca z Loreto sekretarka i znakomita kucharka. Pokochali się, lecz przed sformalizowaniem związku Badani wyłożył karty na stół. Elsa wspomina słowa, które wtedy powiedział:

– Mój guru uprzedził mnie, że „kobieta, która wyjdzie za mnie, nie będzie jedyną”.

Poradził jej, by się nad tym zastanowiła, ale Elsa odparła, że nie potrzebuje czasu do namysłu. Opowiada, że kilka lat później sama zasugerowała mu, żeby zwrócił uwagę na Gabrielę Amor Zevallos (tak, to moja imienniczka i jej drugie imię brzmi Amor), która w domu Badanich uczyła się informatyki. Pewnego dnia leżeli w łóżku, gdy nagle Elsa spytała męża, czy nie uważa, że Gabriela Amor byłaby dobrą kandydatką na drugą żonę. Gdy miał już na koncie dwie, w restauracji znajomego Badani poznał trzecią – Aurorę Revollé, Ñolę, jak ją nazywał pieśczośliwie. Na jednej z jego prelekcji zjawiała się Mercedes Morales i pozostała na zawsze. Czwarta. Wtedy to Badani wyjechał ze swoim kwartetem żon do Chile. Beatriz González dołączyła do rodziny po tym, jak wysłuchała audycji radiowej, w której mówił o Wielkim Wybuchu. Piąta. I ostatnia, Mara Abovich, również została usidlona przez miłość. Szósta. I tak odprawili Ceremonię Wiekuistego Związku, aby dzielić ze sobą wszystkie przyszłe, wolne od zazdrości istnienia. „Siedmioro bez zazdrości to jak w niebie gościć”, głosi motto na jego stronie internetowej.

Dla Badaniego jest oczywiste, że rodzina poliginiczna (związek jednego mężczyzny z wieloma kobietami) jest solidniejsza i bardziej stabilna od rodziny monogamicznej. Minęło jedenaście lat od zaślubin z ostatnią i prawie dwadzieścia trzy od małżeństwa z pierwszą. Badani jest żywym dowodem, że jego eksperyment się powiódł. Zalety bycia Badanim: jeśli kobieta nie chce iść do łóżka z mężem, nic nie szkodzi, bo w odwodzie jest inna. Koniec z seksualnym szantażem. W tego typu rodzinach kobieta pomaga mężowi zrozumieć inną kobietę. Jeśli jedna z żon urodzi dziecko, inna może wyręczyć ją w obowiązkach matki, by nie zaniedbała

swoich małżeńskich powinności. W przypadku zaś śmierci małżonka łatwiej im będzie poradzić sobie wspólnymi siłami.

Jeszcze jeden plus poliginii: dom sprząta się o wiele szybciej.

W pełni XXI wieku żony Badaniego publicznie wyraziły pragnienie pozostania na zawsze w okowach miłości, uderzając w najczulsze miejsce wszystkich feministek-siepaczek Simone de Beauvoir. Traktowano je jak stadko zbłąkanych owieczek zdeprawowanego pasterza, jednak po ich poznaniu wielu przeciera oczy ze zdumienia, konstatując, że są bardzo miłe i inteligentne. To kobiety, które wiedzą, czego chcą, i abstrahując od tego, czy był to teatr przygotowany specjalnie z okazji mojej wizyty, czy nie (żadna rodzina nie jest doskonała), absolutnie nie odniosłam wrażenia, by robiły coś wbrew swojej woli. Czyżby dlatego, że ich mąż jest również ich guru? Dla kobiet Badaniego to kwestia wyboru. Mogły być kobietami wyemancypowanymi jak inne, ale wybrały tę osobliwą odmianę wolności.

Sześć żon wstało o piątej rano i ja razem z nimi. Zastanawiam się, czy codziennie towarzyszy im ten entuzjazm rannych ptaszków. Beatriz i ja myjemy talerze po wczorajszej pizzy. Beatriz mówi, że jej życiem zawiaduje bogini pomyślności i pobożności. Chilijka jest drobna i delikatna. Ponieważ wiem, że lubi czytać powieści erotyczne, zwierzam się jej, że przed snem przeczytałam spory kawałek *Podróży pragnień*, na co odpowiada, że pisze właśnie powieść. Śniadanie jest już gotowe: sok z pomarańczy, sałatka z melona, dżem z jeżyn, kawa i resztki pizzy. Badani rozpieszczą mnie roladą serową z salami, jest tylko dla mnie. Teraz czas na *gayatri* – mantrę śpiewa cała rodzina. Po śniadaniu zapraszają mnie do mandiru, domowej kapliczki, gdzie odprawiają modły. Wszystkie kobiety nakrywają głowy welonami i ja też otrzymuję jeden. Badani prosi, abym wybrała stronę świata. Decyduję się patrzeć na północ, która – zgodnie z jego słowami – oznacza pokój w moim sercu. Zamykam oczy. Cała szóstka otacza mnie kręgiem, który nazywają *biyas*. Jestem w środku. Mantry śpiewane przez kobiety są piękne. Ponad melodyjnymi głosami kobiet rozbrzmiewa niski tembr Badaniego. Doskonała harmonia chóru sprawia, że dostaję gęsiej skórki.

Godzina mistycznego raptu dobiegła końca i teraz będę szlifować formę z Gaby Amor. Domowa sala gimnastyczna wyposażona jest w niezbędny sprzęt, który pozwala rodzinie na codzienny trening. Wcześniej był tutaj garaż. Badani naśmiewa się z mojej niezdarności podczas ćwiczenia stepu. Gaby Amor jest z pewnością jedną z najbardziej uzdolnionych kobiet w rodzinie: zna się doskonale na systemach informatycznych i zawsze będę ją widzieć z Taffym na rękach, czarnym, włochatym niemowlęciem bez pcheł. Prowadzi też domowe rachunki i towarzyszy Badaniemu w jego rozlicznych pracach i podróżach. Podobno jest boginią-matką wojowników, tą, która chroni swoich synów. Dziwne: mogłabym przysiąc, że twarz Gaby Amor do złudzenia przypomina oblicze hinduskiej bogini. Złana potem wspinam się po schodach na górę, żeby wziąć prysznic. Po drodze zaglądam do pokoju guru, który jest też najwyraźniej ekspertem od akupunktury. Na łożu leży Lola, a na jej plecach i stopach dostrzegam pełno powbijanych igieł. Lola, z zawodu architekt, jest może najbardziej szorstka z wszystkich sześciu żon. Jej boginią jest matka opiekunka. Badani pokazuje mi swoje miniaturowe kamery wideo i mimowolnie zadaję sobie pytanie, czy przypadkiem nie śledzi mnie gdzieś oko obiektywu. Pod prysznicem uśmiecham się najpiękniej jak potrafię, na wszelki wypadek.

Badani jest wspaniałym i troskliwym gospodarzem, czasem aż do przesady. Mnie też rozpieszcza słodkościami i mówi, że mogę robić, co tylko zechcę, w związku z czym domyślam się, że w tym reżimie dobrowolnego niewolnictwa dzisiaj mam dzień wolny. Jeżeli one są uczynne, on spełnia wszystkie ich zachcianki. Może to być niepokojące dla kogoś, kto jak ja pochodzi z rodziny matriarchalnej. Czuję się idiotycznie komfortowo w miejscu, gdzie kobietom płaci się pochlebstwami. Ale teraz idę na lekcję tańca. Mercedes jest najładniejsza ze wszystkich, rodzinna artystka, ta, która robi masaż, obcina włosy, bogini miłosierdzia. Mówi, że jej największym błogosławieństwem jest możliwość pełnego oddania się mężowi. Poza tym uwielbia gry RPG, pisze i czyta po angielsku i francusku. Od razu widać, że jest oczkiem w głowie. Wystarczy zobaczyć wyłożoną lustrami salę taneczną z parkietem, którą Badani kazał dla niej zbudować. Przewiązujemy biodra chustami i wiążujemy na supeł

koszulki polo pod piersiami, odkrywając brzuchy. Jestem żoną Ali Baby. Mercedes pokazuje, jak powinnam patrzeć w lustro, jak odkryć swój seksapil, jak kokietować, uwodzić spojrzeniem, wyeksponować pępek ruchem bioder w rytm *Dziewczyn z Aleksandrii*, tradycyjnej arabskiej piosenki. Wchodzi Badani i nie pytając mnie o zgodę, robi mi zdjęcie w pełnym transie rozkołysanych bioder. Kicia jest na tyle miła, że zapewnia mnie o moim wrodzonym talencie do tańca brzucha. Wierzę jej.

Na zakończenie tego wieczoru patrzę na nie i chcę być jak one. Chcę być utrzymywana i adorowana cukierkami w kształcie serduszek i czekoladowymi różyczkami. Chcę, by moja praca była moim hobby, chcę spędzać całe dnie w domu, chcę, by mój dom był miejscem miłosnych gier, w którym mieszkają moje najlepsze przyjaciółki. Chcę uprawiać miłość na ich oczach. Chcę haftować majteczki i staniki. Chcę przygotować najwspanialszy obiad dla mojego mężczyzny. Chcę nosić fantazyjną arabską bieliznę. Chcę być tu i teraz. Chcę boga.

Historia, której nie wolno zapomnieć. Rodzina Badanich żyła z dala od cywilizacji na farmie w Los Maquis, wiosce oddalonej o dwie godziny drogi na południe od Santiago de Chile. Uprawiali rośliny strączkowe i hodowali owce. Od Gaby Amor dowiaduję się, że aż tam dotarła krucjata krzyżowców ogarniętych wojennym szałem, którzy postanowili przypomnieć im, że prześladowania religijne w najbardziej lumpenproletariackiej wersji jeszcze się nie skończyły. Gaby mówi, że inwazji na ich dom dokonało dwudziestu uzbrojonych policjantów z brygady zwalczającej przestępstwa na tle seksualnym. Pojawiły się też kamery telewizyjne. Wtargnęli na farmę. W tym samym czasie policja przeszukiwała dom w Santiago należący do innego wyznawcy tej samej religii. Mieszkańcy obu spacyfikowanych domostw zostali przewiezieni do aresztu śledczego w Santiago. Gaby Amor wspomina, że dopiero kiedy podjęli głodówkę, ówczesny konsul Peru przybył im z pomocą. Zostali oskarżeni o przynależność do sekty sadomasochistycznej i o przetrzymywanie kobiet wbrew ich woli. Mówi, że aresztanci byli bici, niektórych torturowano, a kobiety zmuszano, by rozbierały się do naga. W końcu zwolniono ich z braku dowodów, przyznając tym samym, że nie doszło do popełnienia

przestępstwa. Chile ich nie chciało, zostali więc deportowani na podstawie tych samych zarzutów, których bezzasadność stanowiła podstawę ich zwolnienia. Rodzina Badanich z uporem walczy o sprawiedliwość w sprawie, która dotarła już nawet do OPA. Gdy Gaby Amor opowiada mi o tym wszystkim, w jej oczach hinduskiej bogini płonie ogień.

Informacje z tabloidów w czasach rządów Fujimoriego: niejaki Ricardo Badani, Peruwiańczyk posiadający harem złożony z sześciu żon, seksualny guru, został aresztowany w Chile pod zarzutem sadomasochizmu i ataku na dobre obyczaje. Chwytny temat. Zaledwie wysiedli z samolotu w Limie, rzuciły się na nich media. To było do przewidzenia, dzienna dawka padliny, normalka. Nie prosili o rozgłos, został im narzucony. Ale w zaistniałych okolicznościach nie pozostawało im nic innego, jak skorzystać z tej nagłej popularności. W tworzeniu programu telewizyjnego brała udział cała rodzina. Siedzę na najwygodniejszej sofie w bibliotece i przeglądam taśmę VHS z najlepszymi scenami programu. Wciąż jeszcze nie mogę uwierzyć, że emitowała to bigoteryjna, peruwiańska telewizja. Nigdy seks nie był traktowany z podobną, kliniczną śmiałością.

Badani był tak pompatyczny, że aż chciało się śmiać. Program przeszedł do annałów telewizji: Scena 1. Urodziny Badaniego. Jego żony ofiarowują mu w prezencie występ striptizerki, która wyłania się z olbrzymiego tortu i rozbiera się na wizji. W tle elegancko ubrani goście, znani ludzie, biją brawo *klap klap klap*. Scena 2: Natalia Torres Vilar, stateczna aktorka teatralna, dzieli się swoimi doświadczeniami z seksem analnym. Scena 3: Hołd cunnilingusowi: Badani demonstruje domowe wideo, na którym para w maskach na oczach uprawia seks oralny. Widać wszystko jak na dłoni, pierwszy plan ustno-genitalny. Operując świetlnym wskaźnikiem i fachowym językiem, Badani demonstruje wrażliwe części genitaliów kobiety. Był to codzienny program emitowany o północy. Po miesiącu zniknął z anteny.

Popołudniowa polemika w rezydencji rodziny Badanich: w którym miejscu powiesić żartobliwy medal olimpijski, który żony podarowały mężowi na kolejną rocznicę wspólnego życia. Na awersie widnieje napis: „Złoty medal dla najlepszego męża na świecie”. Na rewersie:

„Za zasługi w sportach miłosnych”. Każda żona spędza noc z Badanim w swoim dniu wolnym, ale wszystkie wiedzą, że miłości nie można zaplanować od a do z. On może kochać się z jedną, ale też z sześcioma. Wiersz napisany przez Badaniego i zatytułowany *Ich sześć* ewokuje pełnię miłosnych uniesień całej siódemki: „Ich piersi wokół mnie / ich piersi wyprężone / o powabnych łukach / i twardych sutkach / szukające drogi do mych ust / składają w moje dłonie / serca i krew / pulsującą w sześciu ciałach. / Ich sromy wokół mnie / ich sromy skąpane / w aromatycznej woni”. Bywa, że Badani kocha się w łóżku z dwiema, na co wchodzi trzecia z ciastkami i napojami dla zmęczonych kochanków. Jeśli ktoś zadzwoni, czwarta z żon może odebrać telefon i przeprosić w imieniu męża, który jest bardzo zajęty. Są jak siedmiu muszkieterów: jeden dla wszystkich i wszystkie dla jednego albo wszystkie dla wszystkich.

Kiedyś ktoś napisał do jednego z czasopism i zasugerował powołanie Badaniego na stanowisko ministra zdrowia z powodu jego wielkiego talentu w planowaniu rodziny. W uznaniu zasług położonych na polu kontroli urodzeń. Badani przyznaje, że wziął sobie mocno do serca ostrzeżenie swojego guru. Jeżeli zamierzał propagować swoje credo, nie powinien mieć dzieci. Nie licząc góry pieniędzy, jakie musiałby utopić w procesach sądowych, Badani ryzykował, że zostaną mu one odebrane, co spotkało pewnego mormona w Stanach Zjednoczonych. Kicia mówi, że zarówno ona, jak i pozostałe żony przyjmują decyzję o nieposiadaniu dzieci „z godnością”. Dla Badanich Wszechświat bierze początek z miłosnej gry, ale kwintesencją ich religii nie są dzieci, lecz związek męczyzny i kobiety na podobieństwo boskiego związku. Uprawiać miłość ile wlezie to ich sposób wielbienia Boga. Alleluja.

Określenie „seksualny guru” zawdzięcza Badani uprzejmości prasy. Przyznaje, że pasuje do niego: „Jestem przewodnikiem, który prowadzi cię z *gu* (ciemności) do *ru* (światła) i wydobywa z ignorancji”. Mówi, że tantra jest jak czteropiętrowy budynek, w którym nasze ciało to pierwsze piętro. Najpierw należy zapanować nad seksualnością, by osiągnąć pozostałe sfery. Stąd właśnie wielka powaga, z jaką Badani wypełnia misję kształcenia zwykłych śmiertelników w odkrywaniu możliwości ciała. Program telewizyjny

Noce Badaniego był częścią jego pracy społecznej. Guru marzy, aby pewnego dnia założyć klinikę i akademię seksu. Jest tyle rzeczy, które Badani chciałby robić, ale nie może. Teraz wiem, że posługiwanie się wziernikiem, demonstracja poprawnie wykonywanego striptizu czy dyskusja przy kolacji na temat kobiecej ejakulacji to nie był żaden teatr. To nie był żart.

Od czasu do czasu cała rodzina pomaga i doradza ludziom, którzy zdobyli jej zaufanie. Pewnego dnia rozmawiałam z Eiko Kawamura, młodą dziewczyną, którą Badani przygotowali bezpłatnie do egzaminów na studia. Wspomina, że potraktowano ją jako członka rodziny, że rozmawiała często z kobietami Badaniego i że podobnie jak dla mnie, Kicia zatańczyła dla niej, a któregoś dnia obcięła jej włosy. Musiała zerwać z nimi kontakt, wyznaje, bo jest żarliwą katoliczką i bała się, że tak wielka dawka tantryzmu może wyrzucić na nią niepożądany wpływ³.

mojego mężczyznę. Nie będę taką idiotką, żeby wzbraniać się przed edukacją. Adam Phillips napisał w swojej książce *Monogamia*: „Seks przywiódł nas do rodziny i seks nas z niej wypędza”. Nadeszła chwila odjazdu i wdrożenia w życie umiejętności nabytych w tym domu wiedzy⁴.

Ostatnia noc z Badanim i jego rodziną jest czymś więcej niż tylko rześką, letnią nocą przed kominkiem. Są *marshmallows*, jest guru wygrywający średniowieczne pieśni na japońskim syntezatorze i walce kreolskie na gitarze. Są kiełbaski opiekane na ogniu. Wszyscy śpiewamy walca, którego słowa to istny łamaniec językowy. Tej nocy będę spać w pokoju Kici i Loli, a wczesnym rankiem wyjadę.

Szósta, Mara, opowiada Badaniemu, jak to zażartowała, że będę siódmą żoną.

– To niemożliwe. Powiedz swojemu chłopakowi, że gdybym wiedział o jego istnieniu, nie zaprosiłbym cię. Zwróciłbym się do niego o pozwolenie, byś mogła do nas przyjechać⁵.

¹ Odkąd jego życie utraciło prywatność, Ricardo Badani obudził nienawiść w wielu ludziach. Nie bez powodu wymyślano mu od męskich szowinistów,

impertynentów, mizoginów i homofobów. Między innymi. Jego orientalny, archaizujący dyskurs upodabnia go do niegdysiejszego odszczepieńca nawołującego do przywrócenia ładu, w którym macho jest przywódcą stada, a my, kobiety, jego akolitkami. Przez te wszystkie lata nie zmienił ani nie złagodził w minimalnym choćby stopniu swoich zapatrywań. Ja tymczasem uległam radykalizacji. Zwłaszcza w moim feminizmie. I we wszystkim, co jest walką o prawa i autonomię kobiet. Różniłam się z nim wówczas i tym bardziej różnię się teraz. Ale z wielu powodów jego historia wciąż mnie fascynuje. To, że prowadzi „alternatywne” życie, to znaczy, egzystuje na marginesie konwencji, i przypuszcza frontalny atak na tradycyjne wzorce, nie jest najmniej istotne.

2 Skrzydła wiatraka (przyp. tłum.).

3 Chyba zorientowałam się, że sprawy zaczynają przybierać poważny obrót, gdy Badani zapytał mnie, czy nie miałabym ochoty przejść się z nim do ogrodu. Zapadał zmierzch. Ostatnia noc w ich domu. Wiatr kołysał białym, lśniącym w półmroku hamakiem, ulubioną zabawką żon poligamisty. Lubiły się w nim huścić w swoich kolorowych spódnicach w rześkie letnie noce i myślę, że Badani, który święcie wierzył we wszystkie nawet najbardziej idiotyczne kobiece stereotypy, miał nadzieję, że ja także z przyjemnością pokołyszę się pod rozgwieżdżonym niebem Chosiki. I nie omylił się, przynajmniej nie w tej kwestii. Usiedliśmy, podczas gdy dwa jego pieski obwąchiwały i podlewały moczem jakieś kwiatki. Wówczas wrócił do swojej mantry. Chciał mnie przekonać, bym zechciała skorzystać z jego diagnozy jako seksualnego guru, co implikowało poddanie się terapii szokowej doktora poligamisty i jego sześciu wiernych pielęgniarek. Rozmawialiśmy bardzo długo i szczerze, sądzą nawet, że zbyt długo i zbyt szczerze. Mam na myśli obie strony. Moja metoda wzbudzania zaufania i bycia miłą dla osób, z którymi przeprowadzałam wywiad, opowiadając o swoim prywatnym życiu, miała tę wadę, że otwierałam się do samego dna. W miarę jak odkrywałam kolejne szczegóły mojego miłosnego życia, opowiadałam o swoich doświadczeniach seksualnych, o rozwiązłej przeszłości, tłumionych żądzach, frustracjach, pragnieniach, moi gospodarze zdawali się zapominać coraz bardziej, że mają przed sobą dziennikarkę. Być może ta rozległa wiedza o mnie dała im nade mną władzę. A może tylko zagrali w ciemno. Rodzina Badanich wiedziała już, że interesuję się seksem grupowym, tyle że zamiast zdać mi relację ze swoich prywatnych orgii, usiłowali zaciągnąć mnie do poliłożka. Nie było to zaproszenie do uczestnictwa w rodzinnych bachanaliach, proponowali mi coś lepszego: możliwość odkrycia, za pośrednictwem specyficznego zastosowania tantry, nieznanych zakątków mojego ciała, punktów g, h oraz i, eksplorację zdolności odczuwania rozkoszy i przekonanie się, jak rzeczywiście daleko jestem gotowa się posunąć. Jeśli poprzedniego dnia sprawiali wrażenie rodziny niemal konwencjonalnej, pomijając drobny szczegół jej kompozycji – jeden mężczyzna i sześć kobiet – dzisiaj odkrywali karty, ale jako kto? Szajka zboczeńców? Dobrzy samarytanie z sekty

orgazmu? Poważą się na coś wbrew mojej woli? A może jeszcze gorzej: czy ja miałam w ogóle jakąś wolę? Przedstawiłam Badaniem najlepiej jak potrafiłam moje wątpliwości co do jego propozycji. Nalegał. Pomyślałam, że to, co robi, można by zinterpretować co najmniej jako próbę uwiedzenia czy molestowania seksualnego. Znajdowałam się w miejscu oddalonym o wiele kilometrów od Limy, nikt, nawet Jaime, nie znał adresu tego domu, byłam odcięta od świata, sam na sam z człowiekiem, który został oskarżony kiedyś o przywództwo „sekt sadoomasochistycznej” i posiadanie niewolnic seksualnych. Odmówiłam ponownie. Nie pozwalało mi na to poczucie etyki, miałam chłopaka, znalazłam się tam, aby napisać reportaż. A poza tym, choć do tego akurat się nie przyznałam, bałam się, wzbudzał we mnie niemały strach. Byłam od nich o wiele młodsza. Byłam sama. Prawdę mówiąc, czułam do Badaniego sympatię, ale w przeciwieństwie do tego, co myślały o nim jego kobiety, seksualnie wydawał mi się mało atrakcyjny. Męczyzna sprawiał wrażenie mocno nakręconego, wpatrywał się we mnie swoimi małymi, błagającymi oczkami i oplatał mnie śliskimi słówkami, aż zapędził w kozi róg hamaka. Jakaś część mnie, jak opowiadam w reportażu, czuła, że nie mogę odrzucić lekcji edukacji seksualnej, unikalnego doświadczenia, jakaś część mnie bała się utracić to coś, o czym w gruncie rzeczy nie wiedziała zbyt jasno, do czego będzie jej służyć. Kto wahał się, jak postąpić, ulec czy nie – dziennikarka czy kobieta? Przemknęło mi wówczas przez myśl, że jego kobiety będą nade mną czuwać, byłam tego pewna. Niektóre z nich były już czcigodnymi menopauzyczkami. Zawsze byłam zbyt ufna. Chciałam wierzyć, że nic mi się nie stanie. Poligamista wiedział, że ufam jego kobietom, i dlatego wezwał najmłodszą Mercedes, Kicię. Poprosił, aby mi wytłumaczyła, na czym to będzie polegać, bym zrozumiała, że nie ma się czego obawiać. Kicia była wysoką brunetką o kręconych włosach opadających na szczupłe plecy, lekko przygarbiona, o niebosiężnych nogach, wielkich piersiach i biodrach oraz talii wyrzeźbionych codzienną praktyką tańca brzucha. Poprzedniej nocy zaciągnęła mnie pod prysznic, aby mi pokazać, w jaki sposób „kąpać mojego mężczyznę”; kąpiel, która miała polegać głównie na obejmowaniu moszny męża cyckami. Ubierała się jak inne w kwieciste spódnice i koszule w czystych, jaskrawych barwach. Przynęta Badaniego uspokoiła mnie, nie było powodu do niepokoju, uprawianie seksu z guru nie było częścią medycznej konsultacji. Miałam tylko rozebrać się do naga i położyć na łóżku, a ona z inną żoną będą wypełniać instrukcje małżonka celem doprowadzenia mnie do lawiny orgazmów, które sprawią, że ujrzę fallusa boga Śiwy. Gdy Kicia nęciła mnie wizją seksualnego eldorado, ścierały się we mnie sprzeczne siły i zastanawiałam się w pośpiechu, jak na moim miejscu postąpiłaby inna osoba, czy lepiej było zrobić to, co zrobiłaby większość, czyli wziąć nogi za pas, czy poddać się ich woli, za czym opowiedziałaby się mniejszość. Ostatecznie postanowiłam wejść na górę i rozwiązać moje wątpliwości. W jednej z żoninych sypialni z łózkami ustawionymi w rzędzie czekały już na mnie wszystkie sześć. Odkryłam, że rodzina Badanich posiada monumentalną kolekcjęibratorów najlepszych na rynku. Nie były to zwykłe wibratory, ale piekielne maszyny wielkie jak odkurzacz, służące do masażu

pacjentów z poważnym urazem kręgosłupa. Ich wibracje nie ustępowały w niczym wstrząsom sejsmicznym dziesiątego stopnia w skali Richtera. Rozebrałam się i spoczęłam na jednym z łóżek, oddając się w ręce Mary i Kici, które miały mnie pieścić i pobudzić swoimi narzędziami pracy. Badani był tam również, obserwując wszystko uważnie i udzielając wskazówek. Od czasu do czasu dotykał mnie niczym lekarz, identycznie jak w swoim programie edukacyjnym ilustrowanym seksem na żywo. Gdy moja łechtaczka zdawała się już utrudzona i znękana nadmiarem wibracji, nauczyciele przekonywali mnie, bym nie ustawała w wysiłkach. A ja nie ustawałam i zdumiewał mnie każdy kolejny orgazm. Cała terapia trwała ponad godzinę. Potem wzięłam kąpiel. Było to niezwykle intensywne i dydaktyczne doznanie, które choć nie zmieniło mojego pojmowania własnej seksualności, w pewnym stopniu poszerzyło moje horyzonty. I dostarczyło dobrej zabawy. Wciąż jeszcze mam je żywo w pamięci. Rankiem Mara odstawiła mnie samochodem do cywilizacji.

[4](#) Wiem, co myśli czytelnik. Dlaczego, u diabła, nie opowiedziałam o tym wszystkim w oficjalnym artykule? Kilka tygodni później napisałam i opublikowałam reportaż bez cienia wzmianki o tym, o czym przed chwilą wspomniałam. Po pierwsze, kiedy wreszcie wróciłam do domu, o wydarzeniach u Badanich nie miałam zamiaru mówić nikomu, nawet mojemu chłopakowi. Najpierw opadły mnie wyrzuty sumienia, jakbym dopuściła się zdrady, czułam się brudna i skołowana. Dopiero po drugim, naszym wspólnym spotkaniu z Badanim odważyłam się wyznać wszystko Jaimemu. Jak miałam niby opowiedzieć o tym całemu Peru? Zdecydowałam więc, że nocną porą, dokładnie w chwili, gdy udawałam się do ogrodu z Badanim, dziennikarka opuszczała dom. Tam kończyła się dziennikarska historia. A ja żyłam dalej. Chociaż lękałam się o moje bezpieczeństwo i prywatność, którą zdecydowałam się podzielić z Badaniami, drugim powodem, dla którego nie opowiedziałam o wszystkim w swoim czasie, była obawa o bezpieczeństwo samych Badanich. Wówczas wciąż jeszcze obawiali się represji. Ludzie zawsze mnie pytają, w jaki sposób radzę sobie z historiami moich bohaterów. Mam tylko jedną odpowiedź: bardzo rzadko literatura czy dziennikarstwo jest dla mnie ważniejsze niż życie ludzi. Badani i jego kobiety byli w gruncie rzeczy grupą osób o bardzo specyficznych wierzeniach, tantryzm był gwiazdą przewodnią ich egzystencji, poszukiwaniem boskości poprzez związek miłosny i seksualny; moglibyśmy nazwać ich sektą, gdyby nie to, że sekty zrujnowały życie tylu ludziom. Z tego, co wiadomo, guru i jego żony nie wyrządzili nikomu krzywdy. To ich skrzywdzono. Z całego spektrum ich życia największą ciekawość budził we mnie ich stosunek do seksu, natomiast wyznawana przez nich religia była mi całkowicie obojętna. Mówiono wiele rzeczy o Badanich, ale ja odkryłam, że łączyła ich seksualna mistyka, wybujałe życie seksualne i że faktycznie uprawiali prozelityzm. W późniejszym czasie w mailowych rozmowach udało mi się też ustalić, że rzeczywiście praktykowali BDSM – działania mające na celu czerpanie rozkoszy z dominacji, uległości i bólu, odbywające się za zgodą

zaangażowanych partnerów – o czym nie mówili głośno, obawiając się reakcji, które doprowadziły do ich aresztowania w Chile. Cóż było w tym złego? Jakby państwo miało też prawo zaglądać do łóżka swoich obywateli. W reportażu widać gołym okiem, że chociaż dzieliła nas przepaść, zawsze okazywałam zrozumienie dla odwagi (i – nie bójmy się tego słowa – szaleństwa), z jaką żyli po swojemu, i solidaryzowałam się z nimi jako ofiarami prześladowań. Ich prawa religijne i seksualne jako mniejszości zostały pogwałcone i nigdy ich im nie przywrócono, nie mogli wrócić do Chile, a ich nazwiska znalazły się w kartotece Interpolu. Pomimo poruszającego charakteru mojego doświadczenia postanowiłam nie narażać ich na niebezpieczeństwo ani nie uznawać za niebezpiecznych. Jest jeszcze coś, rzecz dla mnie fundamentalna: historia opublikowana w niniejszej książce nie jest jedyną historią mojego kontaktu/mojej przygody z rodziną Badanich, ale myślę, że żadna inna wersja nie zmienia tego, co w moim reportażu nadrzędne: oto szczęśliwa rodzina złożona z jednego męża i sześciu żon. Dlaczego mówię o tym teraz? Bo już się nie boję i mam nadzieję, że oni również wyzbyli się strachu, chociaż walka o ich prawa toczy się nadal. Mercedes, Kicia, zmarła na raka w styczniu dwa tysiące czternastego roku. Niedługo przed śmiercią nagrała filmik wideo, który można znaleźć na YouTube. Zwraca się w nim z apelem do Międzyamerykańskiego Trybunału Praw Człowieka o wydanie korzystnego wyroku w sprawie pogwałcenia ich praw w Chile. „To, co niepokoi w nas najbardziej, to kombinacja religii niechrześcijańskiej i otwartej seksualności bez zahamowań”, mówi Kicia w filmie. Chociaż wydaje się to niewiarygodne, wkrótce minie dwadzieścia lat od tamtych wydarzeń i wciąż jeszcze nie doczekali się od tych drani sprawiedliwości.

5 Kiedy Badani przeczytał reportaż o mojej wizycie w ich domu, spodobał mu się tak bardzo, że zaprosił mnie i Jaimego, który nie był jeszcze moim mężem, na obiad. Po pikantnej wołowinie wyciskającej z nas siódme poty oddał do dyspozycji Jaimego „seksualną niewolnicę” rodziny, bardzo młodą dziewczynę przebraną na tę okazję za odaliskę, którą – jak nam wyznali – na tamte kilka dni mojej bytności ukryli poza domem, by nie odkrywać zbyt wielu szczegółów swego prawdziwego stylu życia – oraz sześć swoich żon. „Moje kobiety zawsze są wilgotne”, pochwalił się znowu Ricardo. „Chcesz sprawdzić?” I zachęcił Jaimego, by włożył palce do pochwy niewolnicy. Zaproszenie uwzględniało również sesję podobną do tej, w której wcześniej ja wzięłam udział, tyle że w parze, przy pełnym wsparciu i know how seksuologa oraz jego kobiet pomocnych w rozwiewaniu naszych wątpliwości, rozwiązywaniu drobnych problemów, pokazujących nam nowe sztuczki i podnoszących zarazem seksualną poprzeczkę. Pod koniec dnia po wspólnej modlitwie Badani wyznał Jaimemu, że wkrótce umrze i dręczy go obawa, co wówczas stanie się z jego samotnymi i bezbronnymi kobietami. I napomknął mimochodem – jestem tego niemal pewna – że szuka następcy. Dostrzegł w Jaimem potencjał, rzekł, i powinniśmy to przemyśleć, rozważyć poważnie możliwość kontynuacji jego drogi i przykładu. Nigdy więcej się nie spotkaliśmy. Po

latach dowiedziałam się, że Ricardo Badani studiuje dziennikarstwo. Wysłał mi maila, w którym o tym opowiedział, zapewniając, że to ja go zainspirowałam. Nie udało mu się mnie odmienić, ale ja odmieniłam jego. A może jednak dokonał we mnie zmiany? Dzisiaj mam męża i żonę. I wszyscy jesteśmy szczęśliwi.

W WIĘZIENIU TWOJEJ SKÓRY

JESTEM W WIĘZIENIU, sama jak palec. Zrezygnowałam z ochrony policyjnej pomimo ostrzeżeń, że wystawiam się na niebezpieczeństwo, gdybym jako zwykła odwiedzająca wybrała się na rekonesans po oddziałach dla morderców, złodziei, handlarzy narkotyków i gwałcicieli w zakładzie karnym Lurigancho, najniebezpieczniejszym w Peru. Zwłaszcza że jestem tutaj od trzech dni. I chociaż nie mogłam oddalić się na krok od biura szefa ochrony, wielu osadzonych już wie, że jestem reporterką rozdającą drobne pieniądze i papierosy tym, którzy zechcą pokazać mi swoje tatuaże. Ten pierwszy zwiad miał tylko posłużyć fotografowi do wykonania efektownych zdjęć wytatuowanej skóry, ale ja nie miałam najmniejszego zamiaru trzymać się, jak chciały więzienne władze, scenariusza oficjalnej wycieczki dla prasy, kończącej się obiadem i przeświadczeniem, że zakład karny potrafi wskrzesić w ludziach dobroć. Tak więc postanowiłam wrócić, tym razem jako zwykła kobieta odwiedzająca swojego faceta w więzieniu.

Bez szemrania zastosowałam się do standardowych instrukcji: długa spódnica, sandały, dowód osobisty; od siebie dodałam jeszcze wełnianą czapkę dla kamuflażu. Kupiłam opakowanie chleba tostowego i rolkę papieru toaletowego, żeby się bardziej uwiarygodnić. Na oddziale dwudziestym Lurigancho czekał na mnie Dreszczyk, młodziutki więzień, który obiecał, że oprowadzi mnie po piekle. Nie miałam jednak pojęcia, jak dotrzeć do niego niezauważona, a nie chciałam korzystać z usług „wywoływaczy”, osobników, którzy za kilka monet namierzają poszukiwanego więźnia.

Tylko łutowi szczęścia zawdzięczam, że stanęłam w kolejce za dziewczyną, która przyszła w odwiedziny do swojego męża przebywającego na oddziale dwudziestym. U jej boku udało mi się uniknąć wszystkich rewizji i wejść do środka nierozpoznana. Być może imię tej dziewczyny widniało na krwawiącym, oplecionym cierniami sercu wytatuowanym na piersi jakiegoś mordercy, ale uznałam, że lepiej jej o to nie pytać. Dla kobiet z kolejki wszyscy osadzeni są niewinni. Pamiętam jednak, że w tłumie żon, kochanek, córek, prostytutek, przyjaciółek, ciotek i sióstr dostrzegłam wielkiego, biało-niebieskiego delfina prującego morskie fale na ciemnym ramieniu jakiejs kobiety. Nie omieszkałam wyrazić uznania dla jej pięknego tatuażu, mając nadzieję, że usłyszę historię jego powstania, ale kobieta całkowicie mnie zignorowała.

Później się dowiedziałam, że tatuaże przedstawiające zwierzęta niemal zawsze nawiązują do pseudonimu przestępcy. Delfin to najprawdopodobniej mąż tej kobiety, którego w formie tatuażu nosi pod skórą. Stojąca za mną kobiecina, której syn przed stu dwudziestu pięcioma dniami pożegnał się z wolnością, usłyszawszy moje pytanie, popatrzyła na mnie z wyrzutem i stwierdziła, że takie tatuaże robią sobie kryminaliści. Strażnik odcisnął mi na przedramieniu niezmywalnym tuszem numer 864, odpowiadający mojemu miejscu w kolejce. Tymczasem znajoma z kolejki odnalazła męża i pożegnała się ze mną przed bramą dwudziestki.

Nie było tu jeszcze widać zbyt wielu kobiet. Poczułam się, jakbym nagle wylądowała w najniebezpieczniejszej dzielnicy Limy, do której przeprowadzili się przestępcy z całego Peru. I sprawiali wrażenie ludzi wolnych. Bo też do piątej po południu mogą się poruszać po więzieniu: pracują, mordują, zażywają narkotyki, robią sobie tatuaże, płodzą dzieci, kupują sprzęt AGD, krążą całymi bandami, monitorują napady ze swoich cel i – słyszałam o tym i miałam okazję się przekonać – mają telefony komórkowe. Miejsce, w którym powodzi im się najgorzej, to niewątpliwie Dołek, do którego trafiają spóźnialscy, wyłuskani na dziedzińcu po siedemnastej. Obudziłam policjanta drzemiącego przy wejściu i spytałam o Dreszczyka. „Kibluje na Dołku”, odparł. I dodał, że jak chcę, to mogę poczekać na jego kolegę, że może on będzie go mógł wyciągnąć.

Pensjonariuszami Dołka są na ogół więźniowie, którzy nie wracają na czas do swoich cel, skazani na banicję przez kompanów z oddziału za bójkę lub kradzież. I gniją tam nawet przez pięćdziesiąt dni.

Najwyższą władzą w więzieniu jest pułkownik Valdivia. Przez wzgląd na piastowany przez niego wysoki urząd nie pozwoliłam sobie na żadną aluzję do jego imienia o literackich reminiscencjach: Pantaleón. A i ja nie przybyłam tutaj w charakterze wizytantki. Pantaleón Valdivia jest tak poważny i sumienny jak bohater Vargasa Llosy, któremu powierza się misję utworzenia oddziału wizytantek mających za zadanie ulżyć napalonym żołnierzom stacjonującym w puszczy. A jego praca jest równie, jeśli nie bardziej godna uwiecznienia w powieści: musi zapanować nad siedmioma tysiącami dwustu osadzonymi w więzieniu zbudowanym dla tysiąca pięciuset.

Wkładałam okulary, tym razem nie po to, żeby czytać książki, ale ciała. W kolejnych oddziałach mogę przyglądać się ich skórom, jedna po drugiej. Identyfikuję ich, wodząc wzrokiem po ich klatkach piersiowych, plecach, ramionach. Nie zadaję pytań. Odpowiedzi udzieli mi brzydota ich brudnych ciał. Historię zbrodni i kary opowiedzą mi hieroglify ich blizn. Znaczący temat mówią, że więzienny tatuaż to gramatyka skóry, dowód tożsamości, forma ekspresji pozwalającej mówić okaleczonemu ciału o okaleczonym życiu, o tym, że jest się kimś wyjątkowym i sprzymierzonym z równymi sobie przeciwko każdej, jakiegokolwiek władzy, znak marginalizacji i oporu, którego nie wymaże żaden wyrok.

W początkach dwudziestego wieku ojcowie antropologii kryminalnej doszli do wniosku, że tatuaż to przejaw umysłowego prymitywizmu, i w imię nauki objechali cały świat, wizytując niezliczone więzienia i diagnozując degenerację dusz. Celem ich badań było stworzenie mechanizmów społecznej kontroli. Ale czasem nauka jest bezsilna. Rozmawiam na przykład z Cirilem – trzy wyroki w więzieniu za zabójstwo i kradzież – chodzącym dowodem na to, że niełatwo zrozumieć zło ani je zwalczać. Na wewnętrznej stronie ramienia Cirila widnieje wyblakły tatuaż damy przeszytej sztyłem mówiący o jego pechu z kobietami. No bo jak tu nie mówić o pechu. Załatwił swojego szwagra, wbijając mu nóż w nogę, i biedak wykrwawił się na śmierć.

Życie bandyty jest tak stereotypowe jak jego tatuaże – wypalone rozgrzаныmi do białości gwoździami: róża z imieniem matki, która poszła do nieba, para patrząca sobie miłośnie w oczy na tle palmy i zachodzącego słońca. Napis „zawsze razem” mówi o dniu, w którym się zobaczą. Święci i umęczone Chrystusy obok rozwścieczonych kobr i drapieżnych ptaków mówiących o jego brutalności. Tandetne trupie główki gwarantujące, że nie zawaha się zabić. Są też tatuaże, które opisują relację ofiary z jej ciemnicą: żmija (przestępca) owinięta wokół miecza (sprawiedliwość) znaczy, że więzień zabije policjanta. Sarita Colonia, święta złodziei i gwałcicieli, kryje straszliwą bliznę. Zmysłowe kobiety ociekają na ich skórach seksem, jakiego pragną, lecz nie mogą mieć.

Wszyscy tęsknią, wszyscy są niewolnikami miłości, wszyscy wspominają swoje szczęśliwe dni, wszyscy przywołują utopię dzieciństwa. Potem wszystko spowija mrok i widzą siebie pogrążonych w alkoholu, narkotykach i zbrodni. Ich znaki na ciele mówią o lepszych czasach, o matce otwierającej ku nim ramiona i czekającej na nich dziewczynie. Gdyby Platon zawitał w Luriganchu, wycofałby się z owego sławnego zdania: „Ciało jest więzieniem dla duszy”. Wytatuowane ciało to ich wehikuł ucieczki. Ale teraz są sami. Wszystkiemu winna jest ta przeklęta samotność. Samotność i wiarołomna kobieta, która przestała ich odwiedzać. Tylko tatuaże są z nimi na dobre i na złe. Wieczne niczym Bóg.

A więc to jest ten złowieszczy Dołek, wilgotny, ślepy zaułek dwóch rzędów cel zamkniętych na ciężkie kłódki. W półmroku widzę jedynie ruchliwe dłonie skazańców trzepoczące zza prętów jak ptaki na uwięzi. Na zewnątrz więźniowie przyjmują wizyty, ściskają się z bliskimi, z oddali dochodzą już dźwięki muzyki. Ale tutaj nie dociera fiesta. „Dreszczyk!”, krzyknęłam. „Tutaj jestem”, odpowiada chór głosów. Wszyscy są Dreszczykiem. „Kto szuka?”, pyta jakiś głos. Wówczas wykrzykuję moje imię. Ktoś radzi mi, bym poszła po policjanta, który jest panem tego karceru. Zwolnienie mojego więźnia z Dołka kosztuje mnie pięć soli, a na dodatek muszę zostawić dowód tożsamości jako rękojmię. W końcu policjant otwiera celę Dreszczyka, mojego przyszywanego chłopaka. „Myślałem, że już nie przyjdiesz”, mówi i całuje mnie na powitanie.

Idziemy objęci przez Jirón de la Unión – homonim więzienny ulicy w historycznym centrum Limy – aby nasz spacer wyglądał bardziej naturalnie. Muszę robić uniki przed splunięciami i przytrzymywać mocno spódnicę, więźniowie mają bowiem zwyczaj przydeptywania ich dolnych krawędzi, żeby zsunęły się z bioder. Dreszczyk jest chudy i ma oblicze zdziczałego dziecka. Z jego ramienia wзира tatuaz jednorożca. Czasem wstrząsają nim konwulsje, dlatego nazywają go Dreszczykiem. Trasa rozpoczyna się na oddziale dziesiątym, gdzie gnieźdzą się członkowie band Niszczycieli i Elegantów oraz inne łotry, dzięki którym pawilon ten cieszy się najgorszą sławą. To był matecznik Dreszczyka, zanim wylądował na Dołku. Przyznaję, że zła sława oddziału wzbudza we mnie strach.

– Nie bój się. Gości się szanuje. Odwiedziny to świętość.

To prawda. Całe przedpołudnie krążyłam z moim Dreszczykiem i ani razu nie miałam poczucia zagrożenia. Nawet gdy przechodziliśmy przez oddział jedenasty, gdzie według mojego przewodnika zgromadzony jest cały arsenał. Siedzą tu głównie byli policjanci, którzy zeszli na drogę przestępstwa. Schowałam dziennikarski notes, bo ponoć strzały mogą paść z obu stron. Na żadnym oddziale Dreszczyk nie czuje się tak swojsko, jak na czwartym, gdzie odsiadują wyroki więźniowie z dystryktu La Victoria, jego dzielnicy. Za udział w bójce został wyrwany ze swojego naturalnego habitatu, ale żyje tam jego rodzina. Zdumiewa mnie czystość tego miejsca. Są tu restauracje, sklepiki, a na patio sposobi się do występu orkiestra Tropy specjalizująca się w salsie. Ale Dreszczyk ma już dla nas plan: pub. Pub w więzieniu? Tak, i to taki z prawdziwego zdarzenia. Na każdym stole jest butelka *chicha de jora*. Siadamy, żeby pogadać. Po trzeciej szklance Dreszczyk wspomina, jak to pewnego razu zastrzelił z bliska dwóch nocnych stróżów. Ale ja nie dostałam zlecenia na historie jego mokrych robót, mam opowiedzieć biografię jego skóry: na prawym ramieniu widnieje słowo „Grace” wpisane w serce, które z jednej strony ma strzałę, z drugiej skrzydło.

– Ona przebiła mi serce strzałą miłości, a gdy mnie zostawiła, dorobiłem sobie skrzydło.

Na drugim ramieniu bije jeszcze jedno serce, tym razem z imieniem matki Dreszczyka, Délidy. To serce okolone cierniem, serce zranione. „Matka zawsze dawała mi wszystko, co najlepsze, a ja nigdy nie potrafiłem się jej odwdzińczyć”. Po policzkach spływają mu łzy, wyciera je brudnymi rękami. Mówi, że nikt go nie odwiedza, że chcą dać mu nauczkę, że dzisiaj rano wysłał do matki wiadomość, w której błaga ją, żeby przyszła. Ale nadaremnie.

– Zatańczysz?

Nie jest to wymarzone miejsce do tańca, ale tańczymy jedną z sals, w których przywiera się ciałem do partnera. Poniżej serca matki znajduje się jednorożec tężejący na wąłym mięśniu, gdy kładę dłoń na jego ramieniu. Mówi, że ten tatutaż zrobił mu ojciec, niech mu ziemia lekką będzie, który dostał kulkę w głowę. Też specjalizował się w napadach jak syn i całą młodość spędził w Lurigancho. Nazywali go Konik, bo miał końską twarz. W owym czasie Dreszczyk był już bandziorem całą gębą i ktoś w uznaniu zasług chlasnął go kawałkiem butelki w ramię. „Chodź no tutaj, zakryjemy tę szramę”, rzekł ojciec. „Zrobię ci tatuaż, będziesz moim pony, moim synem pony, bo ja jestem koniem, ale ty jednorożcem”. „Pony” ma też demonicznego smoka na plecach. To diabeł, bo – jak wyjaśnia – on nigdy się już nie zmieni. Zostawił dwoje malutkich dzieci w domu i poszedł w tango. W instalacji elektrycznej doszło do zwarcia, wybuchł pożar i dzieci spłonęły żywcem. Nie ma już dla niego lekarstwa ani zapomnienia.

Wszystko jest beznadziejnie smutne, gdy człowiek skazany jest na tyle lat odosobnienia. Dreszczyk posępnieje i żali się, że więzienie przede wszystkim zabija brakiem duchowego wsparcia: „Nie wszystkie kobiety są jednakowe. Są interesowne i są kumpelki”. Ja jestem interesowna, ma się rozumieć. Naraz mówi, że nie chciałby mnie krępować, ale napisał dla mnie akrostych. I podsuwa mi skrawek folii aluminiowej, na odwrocie której napisał, rozpoczynając literą G, od Gabrieli: „Głodowi sztuki zawdzięczam, że poznałem piękną kobietę”. Uprzedzano mnie, że to nagminna praktyka polegająca na rozmiękczeniu kobiecego serca wierszami, łzami i zmyślonymi historyjkami, by coś wydebić od swojej ofiary. Mimo iż schlebia mi ten gest, nie mam już ani centavo. W każdym oddziale

musiałam coś zostawić, jak jakaś naiwna turystka. Poza tym czas leci, a ja muszę jeszcze znaleźć gościa, na którym zależy mi najbardziej: tatuażystę. Wychodzimy, gdy orkiestra gra *Panią sprawiedliwość*, ale jestem już zmęczona salsą. Mam ochotę na więzienny rock.

Z oporami Dreszczyk zgadza się zaprowadzić mnie na oddział siódmy. Wie, że tam mnie straci. Miejsce to znane jest jako Sheraton, pięciogwiazdkowy hotel w Lurigancho, gdzie jak głosi plotka, puszka piwa kosztuje piętnaście soli. Siedzą tam *gringos*, Afrykanie, Izraelczycy i Chińczycy, przestępcy z pierwszych stron gazet. „Witaj na oddziale mafii”, ostrzega mnie Dreszczyk. Ma na myśli kurierów, którzy wpadli na przemyście narkotyków i którzy najpewniej dalej je rozprowadzają. Mają tu gigantyczny telewizor, supernowoczesną siłownię i stół do bilarda. Właśnie tam, w otoczeniu cudzoziemców, moim oczom ukazuje się José Richie, facet od tatuażu.

Chociaż macierzystym oddziałem Josého jest piąty, od świtu do nocy przebywa na siódmym, goszczącym przestępczą arystokrację, jego klientów. Tatuażysta jest wysoki, ma ciało wyrzeźbione codziennymi ćwiczeniami i dietą zgoła niewięzienną. Przed wszystkim jednak wydaje się szczerzy, chyba że świetnie udaje. Jest przeciwnością Dreszczyka, niedożywionego, chorowitego i zaniedbanego. Zanim zdążyłam ich sobie przedstawić, Richie mówi, że „mój chłopak” nie może wejść na jego oddział. Żegnam się więc z moim byłym już przyjacielem, który przed odejściem domaga się jeszcze jednego sola. Mamy się zobaczyć ponownie za dwie godziny na Dołku. Patrzę, jak oddala się z resztką *chicha de jora* ukrytą w czarnej torbie.

Tatuażysta prowadzi mnie do swojej celi, która sprawia wrażenie lokum singla klasy średniej, tyle że jest udekorowane kratami. Czarne umeblowanie, plakaty na ścianach, telewizor, DVD. Odpękał już pięć lat. Richie konsekwentnie twierdzi, że jest niewinny i że wpadł z głupoty, gdy pewnego dnia na przednim siedzeniu jego volkswagena policja znalazła płytkę terakoty pełną kokainy – przysługa bandy Afrykanów, u których robił za taksówkarza. Ale jest przekonany, że jego pech ma związek z czymś jeszcze. Mówi, że za

czasów Fujimoriego przyszpilenie bandy Afrykanów było sztandarowym hasłem rządu w rzekomej walce z handlem narkotykami. „Dyrektor” fabryki płytek przykazał, aby żaden nie wyszedł na wolność. „Ów dyrektor to Montesinos”, mówi Richie, mroczna postać, doradca wywiadu Fujimoriego i jego wierny kompan w skandalach korupcyjnych ostatnich lat prezydentury.

W dniu, w którym pogodził się z faktem, że więzienie będzie jego domem przez czas nieokreślony, Richie wytatuował sobie na jednym z bicepsów gargulca z demonicznym obliczem, którego dolne kończyny zaciskają się na drucie wysokiego napięcia. Pod gargulcem widnieje napis: *No drugs*. Żeby już nigdy więcej nie powtórzyć tego samego błędu.

– Teraz przechodzę przez piekło, trzymając się z daleka od ognia – recytuje. Dzisiaj Richie jest przykładem więźnia tryskającego zdrowiem.

Od miesięcy studiuje w Biblii słowo „miłość”; gimnastykuje się, je owoce i warzywa, nigdy nie zagląda do Jirón de la Unión i ma kobiety, które go odwiedzają i się w nim zakochują. Jego sprawowanie jest nieposzlakowane do tego stopnia, że jako pierwszy więzienny tatuażysta został wyznaczony na przedstawiciela więźniów do spraw zdrowia, co obliguje go do wykonywania tatuażu w warunkach higieny niemal chirurgicznej. Ryzyko zarażenia się AIDS przez igły używane do tatuowania jest w więzieniach bardzo wysokie. Richie zorientował się, że dzięki wykonywaniu „tatuażu nieskażonych śmiercią” może czuć się potrzebny, realizować się artystycznie i przy okazji trochę zarobić. Demonstruje mi maszynkę wykonaną własnym sposobem, skonstruowaną z silniczka radiowego i obsadki długopisu. Jednak inspirację i wzory znajduje w czasopiśmie takich jak „Tattoo”. Chodzi o to, żeby wszyscy myśleli, że więźniowie zrobili sobie te tatuaże na wolności, a nie w więzieniu. O swoim poczuciu estetyki mówi z wielką powagą. Wykonywany przez niego rysunek musi odpowiadać charakterowi klienta albo mieć walory artystyczne. Nigdy nie wytatuowałby serca z imieniem Boga czy czyjejś matki. Jest zdeklarowanym przeciwnikiem dziarów takich na przykład jak te, które kalają ciało Dreszczyka. Nigdy. Przenigdy.

– Kiedyś tego pożałują. Nie będą chcieli być do końca życia byłymi garusami.

Jest już późno i wyruszamy na rekonesans po oddziale siódmym w poszukiwaniu jego przyjaciół. Na patio natykam się na słynnego Arniego, izraelskiego modela skazanego za posiadanie kokainy. Uśmiecha się do mnie, jakby był na wybiegu. Mój przewodnik-esteta mówi, że parę dni temu wytatuował Arniemu na ramieniu gwiazdę Dawida. Wchodzimy do celi dwóch Austriaków. Jeden z nich przypomina do złudzenia jednego z członków grupy New Kids on the Block. Jego kompan to jakiś kudłaty gość. Mają na ścianie plakat bohatera *Terminatora*, z którego czerpią natchnienie podczas porannych ćwiczeń z hantlami. Tatuaze na ich ramionach są dziełem guru światowego *tattoo*, Clausa Fuhrmanna. Tak przynajmniej twierdzą. Muszę przyznać, że są imponujące. „Łajdak”, czytam na brzuchu jednego. Na nodze zaś sentencja, która streszcza styl jego życia: „Bez bólu nie ma zabawy”.

Ale zabawa dobiegła końca. Zaraz będzie siedemnasta, najwyższy czas, żeby stąd zniknąć. Tak, ja mogę stąd zniknąć, ale najpierw muszę odnaleźć Dreszczyka, żeby odzyskać dowód. Richie, gwiazda tatuazu, odprowadza mnie tylko do granicy z Jirón de la Unión. Obiecał sobie, że nigdy nie wejdzie w przestrzeń tego „toksycznego miejsca”. Wyciąga monetę i zwraca się do jakiegoś mężczyzny: „Ej, Posuwisty, zaprowadź ją na dwudziestkę”. Posuwisty to istota o trudnym do określenia wieku, która porusza się w bardzo dziwny sposób. Sunie do przodu, wachlując biodrami, jakby tańczył. U jego boku idę przez ziemię niczyją, gdzie wszyscy się żegnają. Chyba nigdy nie widziałam tak wielu agresywnych twarzy blisko twarzy tak smutnych. Na oddziale dwudziestym po Dreszczyku ani śladu. Tak to jest zawierzyć słowu mordercy. Policjant nie chce mi zwrócić dowodu, a ja nie mam już ani centavo, żeby przyspieszyć procedurę. Wracam na oddział czwarty, nie opuszczając na krok Posuwistego, ale tam też go nie ma. Dostrzegam znajomą twarz.

– Widziałeś może Dreszczyka?

– Tak, przed chwilą. Był ze swoją mamą.

– Z mamą?

Wracam na dwudziesty ubłagać policjanta, żeby oddał mi dowód, bo zaraz zamkną bramę. W końcu się zgadza. Ostentacyjnie odnotowuje nazwisko zadołkowanego więźnia, za którego zapłaciłam pięć soli, jakby chciał mi pokazać, że podpisuje na niego wyrok śmierci. Mam nadzieję, że go nie capnęli i że się upił, szczęśliwy, zaszyty ze swoją mamą w jakimś znośniejszym zakamarku, chociaż po powrocie wlepią mu znowu karę, jeszcze surowszą. Za takie eskapady płaci się krwią. Idę w kierunku wyjścia. Po drodze rozpoznaje mnie policjant: to major Véliz, który po raz kolejny usiłuje przypudrować ponurą rzeczywistość, ofiarowując mi promyk nadziei: za kilka dni są jego urodziny i z powodu tak doniosłej uroczystości ogłosi amnestię dla lokatorów Dołka.

Zaraz potem wpadam na mojego pułkownika Pantaleóna Valdivię. Zbieram się w końcu na odwagę i pytam, czy czytał powieść Vargasa Llosy. Mówi, że niecałą, ale zaręcza, że wszystko, co opowiada pisarz, jest prawdą. Widział to na własne oczy, gdy wysłano go do puszczy. Odchodzę. Żegnaj, zło, żegnaj, prawo. Ponownie dołączam do batalionu kobiet wracających w samotności do domu, tych wizytantek serca wyciągających ręce ku dzieciakom, które za drobny datek usuwają za pomocą alkoholu i waty numer wytatuowany niezmywalnym tuszem, stygmat, wstydlivy znak, dowód ich związku z przestępcą. Nie pozwolę go sobie wymazać.

PLANETA SWINGERSÓW

TEJ NOCY ZAMIERZAM BYĆ NIEWIERNĄ za przyzwoleniem mojego męża. Drzwi wejściowe do 6&9 są tak dyskretne, że przeszliśmy obok już dwa razy. Na sobie mam płaszcz kamuflujący mój zuchwały *look*, w sobie trzy łyki piwa. J ma czterodniowy zarost i jest taki przystojny i taki mój, że nie jestem sobie w stanie wyobrazić, że za kilka chwil pójdzie do łóżka z kimś, kto nie jest mną. Jest jedenasta, zwykła czwartkowa noc w Barcelonie. Na ekranie telewizora zawieszonego nad barową ladą leci film porno, w którym kierowca ciężarówki chędoży kruchą blondynkę. Pierwszy raz? Tak. Proszę za mną, mówi kobieta pierwszego (sprośnego) kontaktu.

Noc zapowiada się międzypokoleniowa, wielorasowa i wieloorgazmiczna. W odróżnieniu od innych klubów pełnych nadzianych, kapcaniejących sześćdziesięciolatków 6&9 jest otwarty na przeżywających apogeum swoich seksualnych apetytów młodych ludzi. Poza tym cieszy się opinią „higienicznego”, kwestia, którą początkowo lekceważyłam, wierząc, że „seks jest brudny tylko wówczas, gdy robi się to dobrze” (Woody Allen *dixit*), lecz która ostatecznie przeważała na jego korzyść.

Wchodzimy do środka i nasza pilotka zabiera nas na błyskawiczny rekonesans informacyjny, podczas którego zapoznajemy się z regułami gry. „To jest sala do rozgrzewki – mówi. – Tutaj możecie potać się albo rzucić okiem na film, popijając drinka”. Schodzimy po schodach do piwnicy, erotycznej wersji jaskini Platona, czy raczej pieczary, w której szaleje grupka ludożerców. Odtąd dozwolone są wyłącznie stroje Adama i Ewy. Klucz do szafki wydają w barze. Po chwili naszym oczom ukazuje się imponująca arena miłosnych

zmagają: trzydziestometrowe łoże w kształcie litery L, które w weekendy trzeszczy pod pięćdziesięcioma parami naraz i które o tej godzinie świeci jeszcze pustkami. Dokładnie naprzeciwko znajduje się automat z prezerwatywami. Na prawo od szatni – jacuzzi, dalej prysznice dla par i darkroom, coś w rodzaju minidyskoteki dla nudystów.

– Jeśli nie życzycie sobie mieć z kimś kontaktu, wystarczy dotknąć jego ramienia.

To umówiony znak. Każdy klub zaleca klientom subtelny sposób informowania pozostałych gości o swoich granicach.

– Do czego służy ten pokój? – pytam.

– Tutaj odbywają się orgie. Tutaj dozwolone jest wszystko.

Nie zacieram rąk, nie przełykam śliny, łypię tylko kątem oka na J ze znakiem zapytania w głowie.

Jestem tu od godziny i jak do tej pory wymieniłam się jedynie papierosami. Przypuszczam, że powinniśmy spróbować przygadać sobie jakieś pary mniej nieśmiałe od nas, ale na razie tylko obserwujemy⁶.

Przez całe popołudnie stroiłam się jak panna młoda do ślubu i wypełniłam co do joty instrukcje zamieszczone w klubowym ogłoszeniu: „Dziewczyny, ubierzcie się seksownie”. Wciągnęłam obcisłą, czarną superminispódniczkę z plisami⁷. Włożyłam bluzkę z dużym dekoltem w tym samym kolorze i wysokie kozaki, które podkreślały apetyczność moich szczupłych ud. Zdecydowałam się na całkowitą depilację. Zademontrowałam ją J. Odniosłam wrażenie, że widząc dosadność moich argumentów, po raz pierwszy zdał sobie na poważnie sprawę, dokąd idziemy i po co.

Zazwyczaj ludzie odwiedzają kluby swingersów, żeby nie musieć kłamać⁸. Ich najważniejszym celem jest nawiązanie stosunku genitalnego z innymi parami pod baczным spojrzeniem małżonka, co ma zapobiec pokusie seksu pozamałżeńskiego i zdrady. Ponad połowa zwykłych małżeństw praktykuje potajemne skoki w bok. Nie ma więc ludzi szlachetniejszych od swingersów. Intryguje mnie ta wspólna przygoda, ta wolność seksualna będąca owocem konsensusu. To kontrolowane cudzołóstwo.

Nigdy nie byliśmy w takim klubie, ale J i mnie ktoś mógłby uznać za parę liberalną. Raczej z mojego powodu. Wyjaśniam: pierwszy raz przespałam się z chłopakiem jako szesnastolatka (nic niezwykłego). W tym samym wieku zaliczyłam pierwszy trójkąt (z moim chłopakiem i przyjaciółką) i pierwszy trójkąt z dwoma nieznanymi mężczyznami (i z tamtym chłopakiem w roli świadka). Nie jest to żaden rekord, wiem, ale wystarczy, aby liberałowie z kartą członkowską nie patrzyli tak na mnie z góry. Po pięciu latach związku z J mieliśmy na koncie jedną nieudaną wymianę partnerów i wiele trójkątów, chociaż zawsze tą trzecią była kobieta. Co do zazdrości – problem, z którym uporali się swingersi – była ona dla mnie związana zawsze z miłością albo z fascynacją. Jeśli J zakochuje się w innej lub szaleje na czymś punkcie, zżera mnie zazdrość. W jego przypadku zazdrość dotyczy również seksu: jeśli dotyka mnie inny mężczyzna, wali go w pysk⁹.

Zanim tu przyszliśmy, J okazywał pozytywne nastawienie i zdawał się traktować nasz swingerski wypad jako zdrową przygodę. Był gotowy zrobić wielki krok, to znaczy pozwolić mi posunąć się tak daleko, jak tego zapragnę, mimo iż wołał głośno o tym nie mówić. Dla mnie nasza swingerska podróż była raczej wyrównaniem rachunków (patrz poprzedni akapit, gdzie mowa o trójkątach wyłącznie z kobietami), lecz chociaż pokładałam ufność w dobre intencje J, obawiałam się, czy w ostatniej chwili nie zmieni zdania. Nigdy nie możemy być pewni, jak bardzo jesteśmy liberalni, dopóki nie znajdziemy się sam na sam z profesjonalnymi parami zaprawionymi w wolności i rozpuście. Według swingerskiego dekalogu cofnięcie się w połowie drogi jest typowe dla par niedojrzałych, niemających otwartego umysłu ani jasno sprecyzowanych uczuć. Co jest ciężką obelgą dla duetu, który mieni się być nowoczesnym.

Byliśmy spokojni i pełni nadziei, że spełnienie tej maksymy swingersów jest w naszym zasięgu: liberalna postawa zasadza się na obopólnym zaufaniu w parze. Wotum zaufania na tyle dostateczne, aby użyczyć męża jednonocnym przyjaciółkom. Prawdziwy swingers jest wspaniałomyślny dla swoich liberalnych towarzyszy, ale kocha wyłącznie rękę, która go karmi. Gwiżdże na dziewiąte przykazanie, ale wraca na noc do domu. Na weekendowe imprezy zawsze zabiera

prezerwatywy, ale jest wierny przez wszystkie dni swojego życia, póki nie rozłączy ich śmierć. Zawsze wierzyłam w moją zdolność do dzielenia się, a przede wszystkim w zdolność do użytkowania cudzej własności. Wyznaję, że w istocie rzeczy nigdy nie lubiłam się niczym wymieniać, owszem, miewałam ataki szczodrości, nagłego egoizmu, niewdzięczności, a także posunęłam się do małych kradzieży i zdrad, ale wymiany jako takiej ani na lekarstwo. Tej nocy czuję, że jestem gotowa, by otrzymać zapłatę w tej samej monecie.

Wybiła północ i jakieś trzydzieści par zebrało się w sali przełamywania pierwszych lodów. Wiadomo, że o tej godzinie niektórzy przychodzą nie tylko po to, aby przygruchać sobie partnera, ale również zademonstrować swój towar innym czy nakręcić własny film porno¹⁰. Są pary milczące i wylęknione, pary skrupulatne, lustrujące z góry na dół każdego mężczyznę czy kobietę pojawiających się w drzwiach, oraz takie, które rozbierają cię lubieżnym wzrokiem. Są też tacy, którzy przychodzą tylko popatrzeć, bo może nie pozostała im już inna alternatywa. Ja z całą pewnością nie mam dzisiaj zamiaru ograniczać się tylko do wrażeń wzrokowych.

Między swingersami nie zawsze kończy się jednym i tym samym, czyli kopulacją na krzyż. Mimo to dąży się do jak najsprawiedliwszej wymiany. Jeśli tej nocy jakaś kobieta podejdzie do mnie z zamiarem użyczenia mi swojego męża, ja będę zobligowana oddać jej swojego. Proste. Transakcja barterowa zawsze jest zwodnicza: zbyt prymitywna jak na naszą nowoczesną mentalność.

Czujemy się idiotycznie, a przecież jeszcze się nawet nie rozebraliśmy. Większość gości zaczyna być podejrzanie miła. Ogarnia mnie strach przed tym abstrakcyjnym bytem zwanym swingerską parą. Jesteśmy z J tak spięci, że nie mamy ochoty się całować. Wykańcza mnie snobizm bycia swingersem. Pragnę uciec w miłość. Ale akurat w trakcie tego egzystencjalnego transu zaczynają napływać migracyjne fale par zmierzających ku strefie nudystycznej, terytorium barteru. Krzyżujemy z J ostatnie porozumiewawcze spojrzenia przed popełnieniem zbrodni. Niewiele myśląc, schodzimy po schodach do szatni w piwnicy. Idziemy na spotkanie terapii szokowej. Sądząc po obłokach pary i krzykach, Lucyfer mieszka w otchłaniach jacuzzi 6&9.

Pierwsza rozterka tej nocy: jak rozebrać się na środku oświetlonego korytarza w obecności nagiej „starszej pary” o obwisłych policzkach. Tymczasem seniorzy nawet na nas nie patrzą, a ich ciała, które apogeum i upadek imperium zmysłów mają już dawno za sobą, rozpływają się w ciemności¹¹. Postanawiamy pójść w ślady konserwatystów i owijamy się w pasie białymi ręcznikami. Wszyscy się nam przyglądają. Ludzie mają słabość do nowości. Przechadzamy się po przybytku: na makrołożu dziesięć par całuje się i pieści, niektóre z wyjątkowym opanowaniem, inne zdają się zbliżać hałaśliwie do szczytowania. Jestem rozzarowana, że nigdzie nie mogę dojrzeć seksu grupowego. Jako świeżo przybyli nie możemy wiedzieć, czy akcja rozgrywająca się na łóżku jest efektem wielu dyskretnych wymian. Możliwe, że żadna z par kotłujących się na kolektywnym tapczanie nie jest parą oryginalną. Krótkie spojrzenie na to, co dzieje się dokoła, pozwala nam skonstatować, że zabawa zdaje się rozkręcać w sąsiedniej grocie odseparowanej zasłonkami. Osiem par w ręcznikach tańczy w półmroku, a temperatura szybko wzrasta. Bawią się w najlepsze, chociaż niczego jeszcze nie wymieniają.

Druga rozterka nocy: jak uprawiać seks na oczach tyłu ludzi. Zastanawiam się, czy jestem gotowa. Moja niecierpliwość eksploduje i budzi się we mnie duch rywalizacji. Widząc, że inni się obmacują, postanawiam się od nich zdystansować i ofiarować J kilka chwil domowego, dewocyjnego seksu oralnego pod osłoną ciemności, choć świadoma ekshibicjonistycznego wydźwięku mojej akcji. Pozostali podchodzą bliżej, żeby popatrzeć, i biorą z nas przykład. Zawsze chciałam być seksualną agitatorką i to jest bez wątpienia moje piętnaście minut. J przyjmuje moją inicjatywę z rozkoszą. Ręczniki osuwają się na podłogę.

To przyjęcie w Swingerlandzie dobrze mi zrobiło. Czuję, że znalazłam się w centrum uwagi i że grupa rozluźniła się dzięki mojemu dobremu uczynkowi. Tak przynajmniej widzi to moja fantazja. Rozkoszuję się nią: mam wrażenie, że towarzystwo patrzy na mnie pożądliwie, mam wrażenie, że dotyka mnie cudny głowonóg, mam wrażenie, że znajduję się w objęciach łysogo i zapalczego osobnika. Jego małżonka staje przede mną

i rozpoczyna lesbijskie pląsy rodem z wideoklipu, które tak bardzo kręcą facetów. Idę w jej ślady, co mi tam. Jest ładna i bardzo szczupła, spływa potem i – prawdę mówiąc – ma oblicze wariatki albo kobiety nabuzowanej ecstazy. Mnie nawet nie szumi w głowie. Wszyscy nas dotykają i popychają ku sobie. Wzbiera fala pożądania. Ale co to za typ, który nie może odkleić się od moich cyców? To znowu ten łysy czy może ktoś inny? Nie sposób wiedzieć.

W ułamku sekundy szukam wzrokiem J i widzę go z dziewczyną ecstazy, jak obściskuje ją w najlepsze. Czuję lekkie ukłucie, nic poważnego. Wyobrażam sobie, że J przeżywa to samo. Odczuwam ulgę na myśl, że i on dobrze się bawi i nie przejmuję się mną albo bardzo dobrze udaje. Przechodzę z rąk do rąk, odkrywam, że podoba mi się uczucie, że nikt nie wie, kim jestem, że ulegam kaprysom czegoś, co znajduje się poza moją świadomością. Zaczynam samotną grę polegającą na zuchwałym obmacywaniu par, które jeszcze się nie zintegrowały. Posyłają mi karcące spojrzenia i prawie budzą z mojej fantazji. Możliwe, że nieświadomie gwałcę jakąś swingerską regułę. Pośród anonimowych ciał nie potrafię rozpoznać J, opada mnie trwoga, przychodzi mi do głowy, że go straciłam, jeśli nie na zawsze, to co najmniej na dobrą chwilę. Ale wówczas jakaś ręka wyłania się spoza kretyńskich zasłonek i wyciąga mnie na zewnątrz.

Rozmawiałam tej nocy z półtuzinem par i wszystkie bronią swojej opcji jako antidotum na niewierność. Mówią, że to najnowsza forma seksualności, która potrafi reanimować dogorywające małżeństwa albo chociaż przedłużyć ich datę ważności. Wiele z nich nie jest niczym innym jak przeróbkami dobrowolnych rogaczy i rogaczek z lat siedemdziesiątych (lub ich dzieci), którzy wynieśli na piedestał wolną miłość i seks pozamałżeński; wyznawców słynnego zdania: „Wierność jest fałszywym bogiem małżeństwa”; wierzących w dogmat, zgodnie z którym ich obrazoburcze życie w parze staje się bogatsze, gdy od czasu do czasu wykonają skok w bok.

Swinger oznacza „coś, co oscyluje” i nawiązuje do owej łatwości przeskakiwania z łóżka do łóżka. Definiuje typ ludzi, którzy nie chcą przymykać oczu, którzy odrzucają podwójną moralność i mają odwagę realizować najbardziej aberracyjne fantazje z innymi osobami, czyniąc z miłości jedyne pole minowe. Ale i to pryncypium

gwałcone jest co chwila i niektórzy wyznają, że zdarzało im się stracić głowę dla partnerki ze znajomej pary, a nawet widywać się z nią potajemnie. Nie brak przypadków złamania umowy, której sygnatariusze stają się małżeństwem czteroosobowym.

Georges Bataille¹² twierdził, iż błędem jest myślenie, jakoby małżeństwo nie miało zbyt wiele wspólnego z erotyzmem tylko dlatego, że jest konwencjonalnym terenem legalnej seksualności. Wiadomo, że zakazany owoc lepiej smakuje, ale ciała docierają się i lepiej rozumieją w dłuższej perspektywie czasowej: w ukradkowym związku rozkosz nie daje się zorganizować i jest efemeryczna. Rutyna posiada moc pogłębiającą i intensyfikującą, nieznana niecierpliwości. W mentalności swingersa małżeństwo jest nie do pomyślenia bez imprez, orgii, bez okazjonalnej wizyty w klubie wymiany partnerów. Dlatego swingerski punkt zborny wyobrażałam sobie jako świątynię rozkoszy i wyrafinowania w stylu ostatniego filmu Stanleya Kubricka. Ale to, co się tam dzieje, w bardzo znikomym stopniu przypomina filmowe sceny *glamour* i wyuzdania, o jakich roją profani. Przede wszystkim są to miejsca pełne spoconych kałdunów i silikonowych cycków. Trudno też nazwać je oazą parytetu, co usiłują nam wcisnąć swingersowi apologety, światem ludzi pragnących podzielić się swoimi fantazjami, środowiskiem, które stawia sobie za cel obniżenie wskaźnika rozwodów. Niektórzy mówią, że rozwody są częstsze wśród par liberalnych. Ale zdaje się, że swingersi nie biorą sobie tego do serca.

Ręka, która mnie chwyta, należy rzecz jasna do J. Po amoku darkroomu idę za nim do makrołoża. Potrzebujemy chwili spokoju i intymności. Zaczynamy się pieścić, ale nie mogę się skupić. Tymczasem J już jest na mnie w pełnej gotowości. Pytam go o samopoczucie. Tak sobie, nie spodobało mu się, że dziewczyna od ekstazy zabierała się do niego jak aktorka porno. Jestem zaskoczona moim powodzeniem, mówię z lekką dumą, i szepczę mu do ucha: „Byłeś zazdrosny?”. „A jak myślisz?”. „Ale rajcuje cię, gdy widzisz mnie z innym?”. „Lepiej, żebym nie musiał tego oglądać nigdy więcej”.

Ja powiem mu to co zawsze: gdy widzę go z inną kobietą, odczuwam w równym stopniu podniecenie i ból. Kochamy się. Chcąc

nie chcąc, zachowujemy się jak typowi swingersi: zostaliśmy pobudzeni pozamałżeńsko, stosunek zaś odbędziemy jak najbardziej matrymonialny. Od czasu do czasu spoglądam na prawo i lewo, czujna na łózkowych towarzyszy. Z prawej strony mamy młodego chłopaka i dziewczynę, może dwudziestopięcioletnich. Ona ma tak ciemną skórę, że wygląda na cudzoziemkę. On pieści ją językiem, ale idzie mu to bardzo nieporadnie. Z lewej strony starsza para, oboje bardzo otyli, co każe mi myśleć o ciężarze przyzwyczajenia. Ona jest na górze i cwałuje rytmicznie, aż szczytuje. Myślę, że czasem najbardziej skuteczne jest przyzwyczajenie. Ale wówczas J wchodzi i wychodzi z jakąś spóźnioną furią i moje dywagacje rozplývają się w długim orgazmie.

Robimy sobie przerwę i bierzemy zimny prysznic. Po powrocie do salonu poznajemy bardzo sympatyczną parę. On jest kierowcą ciężarówki, ona pielęgniarką. J mówi mi, że kobieta przypomina mu jego nauczycielkę matematyki. Ma okulary przeciwsłoneczne i ogromne piersi. Myślę, że to piękna fantazja uprawiać seks z psorką od matmy. Mówiłam już, że nie jestem zazdrosna. Jej mąż przypomina Piernikowego Ludzika. Niemal karzeł, korpulentny, z pooranym zmarszczkami obliczem. Oboje są słodcy. W czwórkę weszliśmy do jacuzzi i jest bardzo miło.

Trzecia rozterka tej nocy: zrobić to z pierwszą parą, która się do ciebie odezwie. To bardzo częsta sytuacja w tym światku: jeden z komponentów pary 1 (J) zainteresowany jest komponentem pary 2 (nauczycielka matematyki z wielkimi cyckami), podczas gdy innemu elementowi (mnie) nie odpowiada uprawianie seksu z drugim komponentem pary (Piernikowy Ludzik) i myśli, że lepiej byłoby odnaleźć łysiego i wariatkę od ekstazy i skończyć to, co się raz zaczęło. W takich sytuacjach, według instrukcji, najlepszym wyjściem jest wycofanie: klub swingersów mógłby się przeobrazić w klub walki.

Wybij to sobie z głowy, mówię J, kiedy nareszcie zostajemy sami. Para poszła potańczyć do darkroomu, z pewnością sądząc, że pokwapimy się za nimi. Nie podoba mi się mąż nauczycielki, nic na to nie poradzę, chociaż martwi mnie, że nie jestem tak demokratyczna, jak myślałam. Uciekamy tchórzliwie do pokoju orgii, to dobra

kryjówka. Podążając za naszym pączkującym instynktem *swinger*, uczestniczymy jako widzowie w czymś, co wygląda na standardową wymianę partnerów.

Naprzeciwko łóżka, nieco mniejszego niż tamto lotnisko, zainstalowane są lustra. Kłębi się tu od dyszących ciał. W tym stanie rzeczy niezwykle trudno rozpoznać, co należy do kogo. Eufemizm „para” stracił tu jakikolwiek sens. Nie sposób indywidualizować, wszyscy są jednym wielkim bytem: czymś w rodzaju Kali, Długiego Języka, hinduskiej diablicy posiadającej waginy na wszystkich kończynach i uprawiającej miłość z wnukiem boga Indry, istotą wyposażoną w taką samą liczbę penisów. Sądząc po wzmożonych jękach, zjawiamy się zbyt późno, ale mimo wszystko próbujemy się przyłączyć. Dwie piękne pary zdają się świetnie bawić tuż obok nas.

Czwarta rozterka nocy: a może to prywatna orgia, na którą nie jesteśmy zaproszeni. Kobieta, którą moglibyśmy nazwać Klaczą – posiadaczką wielkiej energii seksualnej według mojego kieszonkowego wydania *Kamasutry* – masturbuje jednego z mężczyzn, podczas gdy inny ją penetruje. Wtem obaj podnoszą ją z łóżka i opierają o ścianę. Szturm jest porywający, cechuje go jakieś dzikie, zwierzęce uniesienie. Klacz wrzeszczy. Jesteśmy niemymi obserwatorami cudów natury, ale w głównej mierze cudów kultury. Scena ta obala jeszcze jeden mit swingerowskiego świata: mit równych możliwości. Tutaj, podobnie jak w realnym świecie, powodzenie mają tylko piękni i zmysłowi, ci, którzy chodzą do klubu fitness, a także się operują. Pozostali muszą się zadowolić onanizmem. Współzawodnictwo może być bezwstydnie niełojalne.

„Patrz, kto idzie”, rzuca J. Istotnie, widzimy nauczycielkę matematyki i jej męża, Piernikowego Ludzika, którzy wchodzą do środka i szybciotko lokują się obok nas. Ona robi *fellatio* mężowi i kiedy osiąga cel w postaci wyprężonego członka, nadziewa się na niego, kolebiąc supercyckami i ujeżdżając go płynnie. J sięga do piersi nauczycielki, a ja w tym czasie pieścę ustami jego penisa. Piernikowy Ludzik korzysta z należnego mu prawa i wyciąga ku mnie ręce. Chwyta moje cycki, a ja chwytam cycki jego małżonki. Wszyscy garniemy się do cycków psorki. Z rozmysłem siadam na piersi mężczyzny plecami do niego, twarzą w twarz z nauczycielką, która

ugina się pod natarciem J wchodzącego w nią od tyłu. Piernikowy Ludzik nie traci czasu i już masturbuje mnie swoimi palcami kierowcy ciężarówki, doprowadzając mnie po chwili do orgazmu. Jestem wdzięczna za tyle dowodów bezinteresownej czułości. Rozstajemy się bez pożegnania.

Minęło już sporo czasu, odkąd utraciłam moje dziewictwo swingersa¹³. Przewijam taśmę w tył i na krótko wracam do tego świata seksualnej wymiany. Widzę odartych z rozkoszy będących celem międzynarodowych korporacji i ich macek, widzę tych, którzy mienią się alchemikami seksu, którzy zmieniają banal w złoto, mają sztucznymi edenami, fałszywymi źródłami wiecznej młodości i innymi paliatywami mającymi uśmierzyć ból duszy. Widzę małżeństwa na skraju przepaści, oziębłe kobiety, starszych ludzi, lekomanów, kokainistów na ostatnim wirażu, pobożnych katolików, odpady viagry, cierpiących na przedwczesny wytrysk, mikroskopijne penisy, dyktatorów, impotentów, prezydentów wolnego świata, klasę pracującą w ogólności, swingersów, których dni są policzone, przeżywających wygasanie popędu jako piekielną podróż ku rozpacz.

Jest piątkowa noc, Barcelona dusi się od gorąca. J śpi przed włączonym telewizorem, na ekranie którego rozgrywany jest mecz piłkarski, a ja piszę niestrudzenie. Odkrycie prawdziwie nowej rozkoszy jest problemem, bo zawsze chce się więcej. Myślałam, że byłam kiedyś liberałką, dopóki nie wróciłam z planety swingersów. Złamałam mafijną zмовę milczenia. Naczelną zasadą swingersa jest milczeć o tym, co dzieje się w kręgu liberałów. Być może nigdy nie byłam liberałką.

⁶ Po publikacji *Seksografii* jedno z hiszpańskich wydawnictw zleciło mi napisanie książki poświęconej w całości swingersom. Przez okrągły rok odwiedzałam kluby, od najpodlejszego po najbardziej wyrafinowany, rozmawiałam na czacie z ludźmi o liberalnych poglądach, umawiałam się w barach z parami i proponowałam wymianę partnerów, uprawiałam seks z nieznajomymi, kobietami i mężczyznami, zawsze u boku J. Obrzydł mi w końcu ten etyczny świat cielesnych transakcji tak bardzo, że na powrót rzuciłam się gorliwie w objęcia niewierności, później zaś stałam się poliamoryczna. Osoby poliamoryczne nie są poligamistami i w przeciwieństwie do swingersów umowa między zaangażowanymi osobami dopuszcza, oprócz seksu, relacje miłosne. Stałam się poliamoryczna.

[7](#) Dziwne to wrażenie być ze swoim chłopakiem i stroić się otwarcie dla innych.

[8](#) Pod presją mody na dekalogi reporterów człowiekowi przychodzą do głowy różne rzeczy, tutaj załączam notatki dotyczące techniki wizytowania „dziwnych” miejsc, w których zbierają się „dziwni” ludzie: 1. Nie pisz panegiryków na cześć niczyjego stylu życia, nawet swingersów, choćbyś darzył ich szczerą sympatią. Brzydziłabym się typową „historią przygody seksualnej” autorstwa dziennikarza o liberalnych poglądach. 2. Wystrzegaj się turystycznego spojrzenia na życie innych, malowniczości, traktowania ludzi jako miłych *freaks*, którzy otwierają ci podwoje swego egzotycznego świata. 3. Od gładzenia bla, bla, bla o miejskich plemionach, bla, bla, bla, są antropolodzy, zamiast dać głos ludziom bez głosu, pokaż im, jak mówić, by ich usłyszano. 4. Nie bądź nudna, ale i nie masturbuj się. 5. Idź tam taka, jaka jesteś naprawdę, po prostu, bez przebrania, bez legitymacji wścibskiego dziennikarza, pod własnym imieniem Gabriela, i posmakuj tego, o czym opowiadasz. 6. Pokaż, że wiesz więcej, niż wiesz w rzeczywistości, po to w końcu jesteś dziennikarzem. Ubierz się w erudycję jak w garnitur. 7. Opowiedz o tym świecie, ale nie lękaj się włożyć palca do rany i wywrócić ten świat do góry nogami. 8. Nie zapomnij o tezie, to najważniejsze: moim zamiarem było przetestowanie hipotezy o współczesnej parze, miłości, seksie i rodzaju ludzkim w XXI wieku, znajdującym się o lata świetlne od rewolucji seksualnej z lat siedemdziesiątych. Nie wiem, czy mi się to udało.

[9](#) Obawiam się, że zacznę mówić o metodologii. Wiem, że jedynym sposobem dochowania wierności duchowi i realności tej historii czy jakiegokolwiek innej jest zdać się na przypadek, płynąć z nurtem zdarzeń i osób, czego nie mogłabym osiągnąć, gdybym pojawiła się *in situ* jako dziennikarka. Dlatego jest tak ważne, bym upubliczniając życie i doświadczenia swingersów, odsłoniła również własną intymność. Niech ujrzą światło dzienne moja nagość, śmieszność, moje lęki i kompleksy, moja zazdrość, ale również moja ciekawość, moje fantazje i moja chorobliwa fascynacja. Powiedzmy, że jest to cena, jaką trzeba zapłacić za bycie świadkiem i stroną; jeśli mam w to wejść, muszę iść na całość, do końca, i prawie wszystko, co mówię o swingersach, mogłabym powiedzieć o sobie samej. Ktoś mógłby zauważyć, że ten reportaż opowiada bardziej o mnie niż o swingersach. I nie pomyliłby się zbytnio.

[10](#) Według mnie ta ekshibicjonistyczna skłonność swingersów osiągnęła swój najpełniejszy wyraz w pewnym klubie w Pedralbes, też w Barcelonie, podczas wizyty będącej częścią naszych późniejszych rajdów w poszukiwaniu historii do książki. Kiedyś był to dom Maradony, w czasie gdy grał w Barsie, co dodawało swoistej pikanterii uprawianiu seksu w tym miejscu, zwłaszcza w spektakularnym basenie wewnętrznym. Tamże pół tuzina par o ciałach wyrzeźbionych w klubach fitness demonstrowało swoją seksualną sprawność, upokarzając snujących się w pobliżu zwykłych śmiertelników.

11 Starsi ludzie to oddzielny rozdział w moim swingerskim dossier. Fantazjowałam na temat starców, przyznaję. Ileż to razy wzdrygnęłam się na najslabszy dotyk pomarszczonych, parkinsonowatych rąk, podających mi na przykład szklankę mleka. Bardziej niż moim dziadkom zawdzięczam to przede wszystkim lubieżnej powieści José Donosa *La misteriosa desaparición de la marquesita de Loria*, która w okresie dojrzewania była jedną z moich ulubionych lektur. W książce tej osiemdziesięcioletni adwokat umiera na szczęśny zawał serca, wstrząśnięty bezprecedensowym orgazmem zdetonowanym przez ciasną pochwę jego klientki Marquesity, młodej arystokratki, która właśnie owdowiała. Nie przychodzi mi do głowy lepsza śmierć w wieku osiemdziesięciu lat. Onanizowałam się bez opamiętania, czytając wspaniały opis chwili, w której w powietrzu miesza się woń starego ciała i świeże tchnienie sromu Marquesity. Podczas moich nocnych wymian partnerów w klubach swingerskich widziałam wielu osobników, którzy mogliby być moimi dziadkami, a nawet pradziadkami. Pewnego razu moją uwagę przykuwa sześćdziesięciolatka o jasnej cerze i długich włosach. Była jeszcze piękna. Z daleka wysuwa ku mnie i J język, pieszcząc jednocześnie jedną ze swoich obwisłych piersi. W fioletowym świetle majaczy zwieńczona łysą czaszką mała, zgarbiona figura jej partnera – męża, kochanka, partnera podczas niedzielnych partyjek domina? Wkrótce kobieta pożera J na sofie. To tak, jakby oglądać *Tabu 1* na żywo. Wszystko ładnie i pięknie aż do chwili, w której uświadamiam sobie swój błąd. Czcigodny partner kobiety zmierza w moją stronę. Przemieszcza się w dziwaczny sposób, na czworakach, niespiesznie, jakby dawał mi szansę na ucieczkę. Ale nie uciekam, osuwam się tylko w pobliże innej pary, szukając u niej schronienia. Pani karmi nostalgicznie J piersią. Walczę z nim o jeden z jej sutków. To darmowa podróż w przeszłość. Ale zaraz drogo zapłacę za moje roztargnienie. Czuję na moim drugim końcu niepożądane ssanie, jakby przylgnęła do mnie meduza. Dziadek na klęczkach liże mi krocze. Usiłuję się skoncentrować, czerpać przyjemność z faktu, że oto stymuluje mi łechtaczkę, nieco nieudolnie, mówiąc szczerze, i przyciągam ku sobie jego ciepłą głowę pokrytą delikatnym meshkiem. On nie może w to uwierzyć. Jest pełen szacunku, potulny, bezzębny. Nawet mój cocker-spaniel, który tyle razy sprawiał mi rozkosz swoim sążnistym językiem w odległe poranki młodzieńczej samotności, nie zdołał wzbudzić we mnie tyle tkliwości. Żeby nie wziął mnie za niewdzięczną i nietaktowną wnuczkę, odpłacam mu się, ujmując jego członek, i w tym momencie uświadamiam sobie, że czcigodny senior albo nie wie o istnieniu viagry, albo już nawet to mu nie pomaga. Z wielkim szacunkiem odkładam penisa z powrotem na swoje miejsce. Wówczas wpada na genialny pomysł, by mnie pobudzić. Chcę mu powiedzieć „dziękuję, naprawdę nie trzeba”, ale już jest za późno. Pochylony nade mną wkłada, wyjmuje i znowu wtyka palec z niewiarygodną energią. Zauważam, że z braku innych sztywności jego prawe ramię jest nad wyraz silne i zawzięte. Ciągnie się to przez prawie dziesięć długich minut, bez najmniejszego odstępstwa od utartego schematu. Gdy tylko udaje mi się go pozbyć, ucieka do swojej kobiety jak skrzywdzone dziecko. A ta tymczasem traktuje go jak niedobra macocha. Za

każdym razem, gdy go odtrąca, aby zająć się moim mężem, pan ponownie świdruje mnie palcem. Jeszcze chwila i coś mi się w środku rozedrze. Wstaję i mówię, że idę po drinka. Odwracam głowę i widzę ich po raz ostatni: dama pochłania J, a mężczyzna, który był tylko w stanie mnie masturbować, patrzy, jak się oddalam, jak mnie traci, mnie, która byłam jego ostatnią szansą na odejście z tego świata w wielkim stylu.

[12](#) Wygląda to na pretensjonalny cytat i być może nim jest. Zabierając się do pisania o świecie swingersów, rzeczywiście miałam pod ręką Bataille'a i Sade'a z ich wizjami orgii i erotyki. Czyniąc te surowe, odarte z ozdobników wyznania, miałam w pamięci Catherine Millet, a moje apokaliptyczne prorocтва i ogólnie złe wibracje wspierał Michel Houellebecq. W gruncie rzeczy nie chciałam napisać wyłącznie artykułu traktującego bez skrępowania o seksie, by ekscytować czytelnika, ale pragnęłam stworzyć prawdziwą rozprawę o swingersach. Chciałam ukryć się za górą świątłych cytatów i pompatycznych sentencji, które z miejsca zostały wykryte i wycięte w pień przez wydawcę.

[13](#) Powyższy tekst to jedyny ślad w druku mojego liberalnego doświadczenia. Mimo iż ją napisałam, czarna księga swingersów nigdy nie została wydana. Wydawnictwo, które ją zamówiło, wypłaciło mi zaliczkę, a potem prawa po prostu wygasły. Nie istnieje.

BEZLITOSNA PANI UDZIELA RAD OSZOŁOMIONEJ UCZENNICY

MONIQUE SIEDZI na skórzanej czerwonokrwistej sofie. Szpieguję ją wzrokiem z oddali. Nieszczęsny mężczyzna w masce, prawie nagi, z łańcuchem na szyi, całuje gorliwie czubek jej buta. Ona pieści jego głowę, jakby był domowym czy cyrkowym zwierzakiem, po czym trąca go szpicem kozaka w brodę i mężczyzna pada miękko na podłogę. Jedno oko Monique jest lodowate niczym oko ryby. Drugie obserwuje wszystko z bezbrzeżną pogardą. Nie jestem wyjątkiem. Dostrzegłszy mnie, uśmiecha się gorzko. Z niezwykłą łatwością potrafi sprawić, że czujesz się jak karaluch, którego za chwilę rozdepcze jeden z jej wysokich obcasów.

Jestem na Międzynarodowym Festiwalu Filmu Erotycznego w Barcelonie. Pewne czasopismo zleciło mi napisanie artykułu o performansie gwiazdy klubu Bizarre – strefy poświęconej praktykom sadomasochizmu – okrutnej Lady Monique de Nemours, jednej z niewielu na świecie domin, które osiągnęły status Sublime Lady, czyli członka dworu Other World Kingdom (OWK), świata na opak znajdującego się w zamku w Černá w Czechach. Miejsce to odwiedzają wyłącznie zamożni biznesmeni pociągający na ogół za sznurki światowej polityki i gospodarki, którzy płacą za spełnienie swojej największej fantazji: poddać się skrajnym okrucieństwom, do jakich zdolna jest kobieta. Tam rządzą one – pod rozkazami profesjonalnej dominy, królowej Patrycji I – mężczyźni znaczą niewiele więcej niż domowe zwierzęta, są istotami niższego gatunku na służbie kobiet, które używają ich do gonitw ludzkich kucyków albo wystawiają na aukcję jak jakiś obraz czy gitarę Elvisa; w tej

monarchii samce płacą podatki własną krwią. Monique jest jedyną hiszpańską dominą, która została obywatelką królestwa i uzyskała oficjalny status „pani”.

Dostać się przed oblicze tak znamienitej osobistości nie jest zadaniem łatwym, a zwłaszcza w takim momencie, gdy za chwilę rozpocznie występ dla festiwalowej publiczności i ludzie tłoczą się już przy wejściu do klubu Bizarre w nadziei ujrzenia scen bólu na żywo.

– Czy mogłabym cię o coś prosić... – rzucam nieśmiało w stronę Monique, idącej szybkim krokiem na piętro w asyście drobiących na klęczkach mężczyzn, których jądra ściśnięte są sznurami i metalowymi pierścieniami.

– Tak?

– Czy mogłabyś mnie zbić? – Przystaje, wpatrując się we mnie przenikliwie, po czym wybucha głośnym śmiechem.

– Zmuszanie do uległości kobiet to nie moja bajka – odpowiada kategorycznie i niknie w tłumie.

Zrezygnowana stoję na końcu kolejki i zaciskam kciuki, żeby dostać się do środka.

Lady Monique i ja już się znamy. Przed tygodniem odwiedziłam ją w jej studiu. Zgodziła się na wywiad. Nie było to przyjemne doświadczenie.

– Ty jesteś tą dziennikarką? – Odwracam głowę, by zobaczyć, do kogo należy głęboki baryton dobywający się z wszechobecnego zgiełku, i rozpoznaję jednego z ochroniarzy Monique. Jest ich dwóch. Dobrze zbudowani i ubrani w czarne koszule, oczy mają zasłonięte czarnymi okularami.

– Przysłała nas Monique.

Stawiałam się na wywiad bardzo wcześnie, pełna nadziei, która jednak szybko miała zmienić się w rozpacz. Po pierwsze, kazała mi czekać co najmniej godzinę, w czasie której wydzwaniałam do niej rozpaczliwie i bez powodzenia. Wreszcie zjawiła się w towarzystwie mężczyzny i psa. Choć w gruncie rzeczy trudno odgadnąć, kto odgrywał jaką rolę. Dominy mają zazwyczaj na swoje rozkazy jednego lub kilku niewolników, którzy nie są nawet ich kochankami. To osoby do ich wyłącznej dyspozycji, poczytujące sobie za przywilej, że mogą służyć eminencji tej rangi, co Lady Monique. I gdy mówię

„służyć”, mam na myśli dokładnie to. Niewolnik przeprosił nas, tłumacząc, że musi odnieść rzeczy Monique do pralni. Weszliśmy do kazamatów, które na zewnątrz wydawały się normalnym mieszkaniem w zwykłym budynku. Zastanawiałam się, co myślą o dominie sąsiedzi. Na parterze znajdowało się studio BDSM, miejsce, w którym urządziła sesje w cenie od pięciuset euro w górę. Inne *mistress*, młodsze od Monique, wynajmują od niej lokal na swoje własne sesje. Dwa piętra pełne przedmiotów i akcesoriów jak cele Świętej Inkwizycji, po których oprowadziła mnie w błyskawicznym tempie. Zabawki mojej pani widać było gołym okiem: koło, krzyż, koziołek do *spankingu*, na dole kozetka do rozciągania, loszek do zabaw wodnych, żelazna klatka, krzesło do krępowania, sprzęt do podwieszania. Po drodze wypytywałam ją o każdą rzecz jak dziecko, które uczy się mówić.

Przed wizytą natknęłam się w Internecie na termin *switch* (osoba, która czuje się dobrze zarówno w roli pasywnej, jak i dominującej) i uznałam, że będzie pasował do mnie jak ulał. Moje zainteresowania koncentrowały się głównie na fizycznej stronie sadyzmu i Monique mogła mi ją zademonstrować.

Ale wywiad nie mógł zacząć się gorzej: zapomniałam dyktafonu, sięgnęłam więc do torby po notes i długopis, co niepomrotnie zbulwersowało Monique. Od razu się najeżyła. Każde zadawane przeze mnie pytanie uważała za impertynenckie i głupie. Postanowiła więc odwrócić role i to ona zaczęła mnie przepytować. Najwyraźniej chciała mnie zdyskredytować: skąd pochodzę, czy rzeczywiście jestem dziennikarką, skąd się w ogóle wzięłam. Całkiem możliwe, że zachowałam się jak słoń w składzie porcelany, ale nie mogłam oczekiwać zrozumienia ze strony dominy.

Pastwiła się nade mną, wykorzystując mój status nowicjuszek. Zadawała mi pytania, którymi chciała sprawdzić moją wiedzę na temat BDSM, i szybko się połapała, że nie mam o niczym zielonego pojęcia. Wściekła się bardzo i zaczęła wykrzykiwać, że nie może uwierzyć, że mój szef, jej osobisty przyjaciel, wysłał do niej taką dziennikarską sierotę. Prawdę mówiąc, chciałam z miejsca dać nogę, ale odetchnęłam głęboko i odparłam, że wykonuję pracę najlepiej

jak potrafię i żeby mnie nie osądzała zbyt pochopnie. Przystąpiłam do ponownego szturmu.

– Co myśli Sublime Lady o przypadkach przemocy wobec kobiet, o których dowiadujemy się codziennie z hiszpańskiej telewizji? – rzuciłam ze społeczną troską na twarzy.

– Dostaję szału. Zawsze gdy o tym słyszę, podziwiam siebie jeszcze bardziej.

– Myślisz, że niektórzy niewolnicy przychodzą do ciebie, żeby odkupić swoje winy?

– Musiałabyś zapytać o to niewolników. To bardzo intymne sprawy. Ale z tego, co wiem, nie mam tutaj osobników znęcających się nad kobietami. Gdybym się o tym dowiedziała, nie wiedzieliby, jak uciekać.

Gdy słucham tych słów, stają mi przed oczyma wszystkie bez wyjątku twarze skurwieli, którzy mnie zranili, słusznie czy niesłusznie, to bez znaczenia, i pojmuję w końcu krucjatę armii domin. Jedno z moich oczu błyszczy w ciemności. Mam ochotę włożyć na siebie skórzane odzienie, liznąć czegoś z tej wyrafinowanej zabawy we władzę, podczas której torturowany facet skomli o litość, pragnę spełnić moją fantazję i wziąć go pod but, zrobić z niego dywan.

Podążam za dwoma ochroniarzami, przeciskamy się przez tłum i wchodzimy do środka. W klubie Bizarre jest scena, barowa lada i tuzin stolików dla gości. Przygaszone światła i dźwięki jakiegoś żałobnego marsza pomagają stworzyć odpowiednią atmosferę. Dwaj ochroniarze sadzają mnie przy uprzywilejowanym stoliku tuż obok sceny. Wskazówki ich pani są następujące:

– Jeśli chcesz, żeby Monique przyjęła twoją propozycję, zgłoś się na ochotnika w trakcie sesji, kiedy tego zażąda.

– OK – zgadzam się. Przyszłam tu z nadzieją, która wydawała mi się dość płonna, że Monique zaprowadzi mnie może do łazienki dla kobiet czy jakiegoś innego miejsca na zapleczu festiwalu i zademonstruje dźwięk swojego skózanego pejcza w dotyku z moją

skórą. Smakowita anegdota, coś zabawnego, coś, co pisze się w leadzie artykułu, żeby zażartować. Czym innym jednak było wyjście na scenę, by dać się zmasakrować na oczach publiczności. Dlaczego Monique odstępuje od swojej zasady, zgodnie z którą nie dominuje kobiet, i zaprasza mnie do udziału w spektaklu?

Na scenie w świetle reflektorów lśnią maszyny tortur. Jeden z niewolników jest już przywiązany rzemieniami do krzyża świętego Andrzeja. Monique pojawia się z niewolnikiem, który ma obroź na szyi i którego ciągnie jak psa. Ten jest bez maski. Na sali zalega cisza. Monique ma na sobie body z czarnego lateksu, pończochy w kolorze fuksji, także rękawiczki i wystylizowane kozaki na szpilkach. Rytuał rozpoczyna się skąpą pieszczotą penisa niewolnika, by po chwili zaaplikować mu bezlitosne uderzenie pejcem. Niewolnik nie jest młodym człowiekiem. Budową ciała przypomina staruszka biegającego maratony. Nie wiem, czy śmiać się, czy płakać, nie dość, że spolegliwy, to jeszcze zwiotczały. Krótka mówiąc, szkoda mi go. Oczywiście nie ma erekcji. Patrzy w podłogę. Trudno uwierzyć, że czerpie z tego przyjemność. Ale tak jest. Rozkosz nie musi być widoczna. Przyznaję, że mimo wszystko nie widzę nic zabawnego w upokarzaniu mężczyzny w taki sposób. Moje doświadczenie sadyzmu jest diametralnie różne. Przypuszczam, że mnie kręci maltretowanie psychologiczne. Odczuwam przyjemność, maltretując mężczyznę, gdy miażdżę go w dyskusji, góruję nad nim argumentacją, dopuszczam się paskudnych rzeczy za jego plecami, kpię z jego przyzwyczajień, wyglądu, marzeń, manipuluję nim, dopinam swego jego kosztem, ale nigdy nie musiałam go wiązać ani bić. Z drugiej strony moje dotychczasowe wyobrażenie o sadomasochizmie związane było raczej z wizerunkiem ognistej Betty Page chłoszczącej swoje niewolnice; byłam przekonana, że upokorzenie erotyczne to domena pięknych, odzianych w lateks ludzi. A nie coś takiego.

Monique sięga po zapaloną świeczkę i polewa płynnym woskiem pierś mężczyzny, którą wstrząsa lekki dreszcz. Na koniec zrasza kilkoma kroplami jego żołądź. Wśród widzów słychać westchnienie „och”. Następny numer to *bondage* (krępowanie i wiązanie) pokancerowanego członka niewolnika. Monique splata z mięsa

i sznura węzeł i organ niewolnika przybiera fioletowy kolor. Publika bije brawo. Ja nie. Ja się boję. Ja drzę. Jest mi żal. Ale nie tego kłębka mięsa, żal mi siebie.

BDSM (*bondage*, dyscyplina, dominacja i uległość), termin określający upodobanie seksualne, którego nie należy mylić z sadomasochizmem, oznacza całą subkulturę, której zwolennicy budują między sobą relacje podległości z własnej nieprzymuszonej woli i za obopólną zgodą partnerów. Przypomniałam sobie, że pomysł zabawy z Monique w zniewalanie wykuł się w moim chorym i ekshibicjonistycznym umyśle kilka minut temu. To ja wyraziłam zgodę. Ona będzie stroną dominującą, ja pasywną. Formy obustronnej rozkoszy. Dla mnie będzie to rozkosz ofiary.

– Może jest na sali ochotnik lub ochotniczka, ktoś, kto chciałby wejść na scenę i posmakować mojego pejsa? – Głos Monique jest przymilny, a nawet czuły. Widzę, że jedno z jej niepokojących oczu lśni w ciemności. Ma na myśli mnie. To mnie woła.

– Mam sto sześćdziesiąt osiem centymetrów wzrostu i ważę czterdzieści siedem kilo – objaśnia. Wstaje i mierzymy się, nie sędzę, by była tak wysoka. Jestem drobiną mięsa i kości. To nie o fizyczną wyższość idzie. Raczej o intuicję, dotyk, erotyzm.

Chętni, którzy chcą być zdominowani przez Lady Monique, muszą wcześniej odpowiedzieć na szereg pytań, między innymi dotyczących problemów zdrowotnych ofiary. Domina pragnie również wiedzieć, czy może zostawić na twoim ciele ślady, jakich akcesoriów byś sobie życzył, czy lubisz psią obrożę, uprząż lub pas cnoty, może knebel, a może wolisz być całkiem nagi. Jakiego rodzaju *bondage* ci odpowiada, mumifikacja czy skórzane pasy. Spyta cię także, czy chciałbyś odczuwać dumę czy upokorzenie wynikające ze statusu uległości. Czy chcesz odkupić swoje winy, czy cierpieć wbrew sobie, czy być użytym czysto instrumentalnie dla wyłącznej przyjemności Lady Monique. Czy wolisz być wobec treserki psem czy świnią, seksualnym niewolnikiem bogini, ofiarą w rękach oprawczyni, pacjentem pielęgniarstwa, więźniem przesłuchiwanym przez brutalną

śledczą czy niesfornym uczniem karconym przez bezduszną guwernantkę. Czy wyrażasz zgodę na upokorzenie werbalne, trening jeździecki, złoty deszcz, lewatywy, *fisting* czy bycie ludzkim meblem (niektórzy mężczyźni uwielbiają być krzesłami, stołami, dywanami, posągami). Czy liżesz stopy, buty, cipy, odbyty, czy lubisz kopniaki, policzkowanie, gorący воск, lód, zadrapania, deprawację sensoryczną czy niezastąpioną elektrostymulację. Trzeba wyznać wszystko jak na spowiedzi.

– Pokaż mi jakieś zawodowe sztuczki. Co muszę robić, żeby stać się dominą? Od jakich akcesoriów powinnam zacząć?

– Wszystko jedno, czy będziesz to robić za pomocą paznokci, słów, drewnianej łyżki, pasa, można korzystać ze wszystkiego. Nie ma tutaj reguł. To nie szkoła, do której idziesz z zeszytem i długopisem. Nie istnieją ograniczenia, możesz posługiwać się wszystkim, co podpowie ci wyobraźnia. Każdy klient jest inny: jedni nie życzą sobie śladów na ciele, inni przeciwnie, jedni przepadają za bacikiem, innym nie sprawia przyjemności kańczug, są tacy, którzy wolą szczotkę do włosów.

Wygląda na to, że Monique chętnie dzieli się swoimi sekretami. Ze mną w roli posłusznej uczennicy poczuła się swobodnie.

– A ty, od czego zaczęłaś?

– Od igieł, bo jestem wielką amatorką mocnych wrażeń. Od igieł i kleszczy. Ściskasz nimi cycki, sutki, jądra, penisa.

– Co muszę wiedzieć, zanim zacznę używać igieł?

– Odradzałabym ci igły na początek. Ja znam się dobrze na skórze, uczyłam się trochę dermatologii. Ty masz jakąś medyczną wiedzę?

– Nie.

– W takim razie o tym zapomnij. Musisz wiedzieć, gdzie nakłuwać. Masz do czynienia z żywym człowiekiem. Kiedy w grę wchodzi inna osoba, twoja odpowiedzialność wzrasta, to nie jest tylko głupia zabawa. Igrasz z wrażliwością, inteligencją, z ludzkim ciałem. Jeśli zwiążesz komuś ręce nad głową, musisz się upewnić, że krew dociera do czubków palców, że dłonie nie zaczynają drżeć i nie sinieją. Nie możesz przywiązać człowieka do krzyża i zostawić go na piętnaście czy dwadzieścia minut, chyba że ma fantastyczne

krążenie. Musisz kontrolować jego ciśnienie, czy nie jest zbyt niskie albo wysokie.

- Która z twoich zabaw jest najryzykowniejsza czy najboleśniej?
- spytałam, biorąc pejcza i wypróbując go na dłoni.

- Tu nie ma jednego kryterium, każda osoba jest inna, to jest jak DNA.

Najwyższy stopień? Taki, który wyznacza sobie każdy indywidualnie, każdy ma swój własny. Wskazane jest, by używać koła z osobami, które próbowały już innych rzeczy, chyba że lubią wisieć głową w dół. Są osoby, które odczuwają bardzo silne wrażenia na krzyżu, i takie, którym wystarczy powiedzieć „na kolana, psie”. Trudno określić, gdzie zaczyna się i gdzie kończy ostra jazda.

- Iberyjski macho musi mieć w sobie coś specjalnego.

- Iberyjski macho nie ma o niczym bladego pojęcia, myśli, że BDSM to rany, ból, krew. Nie liczę na pamiątkową tablicę w parku, ale mam nadzieję, że to, co robię, pomaga ludziom otworzyć umysły i wyzbyć się ignorancji.

- Kiedy uświadomiłaś sobie, że znalazłaś to, czego szukałaś w życiu?

- Od przedszkola biłam się z kolegami na podwórku. Zaczęłam z moim chłopakiem taki rodzaj zabawy, którą potem łączysz z seksem na własną modłę.

- Czy ludzie powinni oglądać płaczącą dominę?

- A czemu nie? Płakałam publicznie, gdy otrzymałam tytuł „Sublime Lady”, płakałam, gdy wręczono mi tytuł „Królowej Pik” w klubie Bizarre na Międzynarodowym Festiwalu Filmu Erotycznego w Barcelonie. Oczywiście, że możesz płakać.

- Ale przypuszczam, że obgryzanie paznokci nie jest mile widziane (pokazuję jej moje zmaltretowane palce).

- Cóż, obgryzając paznokcie, obnażasz przed wszystkimi swoją straszliwą słabość, niepewność i nerwowość, okazujesz brak samokontroli. Jeśli trzęsiesz się z nerwów w chwili, w której musisz założyć kleszcze albo wbić igłę, gdzie to wyląduje? Na sutku, w uchu? Nie możesz wątpić, musisz być pewna tego, co robisz. Prawdziwa pani musi umieć wytresować własnego psa, czyli mężczyznę.

- Jakiej rasy jest twój pies?
- To suka, bokser. Nazywa się Switch. Nie przejdzie przez ulicę bez mojego pozwolenia. Gdy wyczuje jakieś niebezpieczeństwo, bierze nogi za pas. Im lepiej poznaję ludzi, tym bardziej kocham moją sukę
- recytuje.
- Mężczyźni są jak psy?
- Mogłabym ich również porównać do innych zwierząt. Jedni są tępi jak krzesło, uliczna latarnia czy stół. Wielu używasz po to, by sprawić przyjemność uszom. Usłyszeć „dziękuję, moja pani” w chwilę po suchym trzasku pejcza to dla mnie najpiękniejsza muzyka. Kunszt i nabożność, z jaką całują twoje ręce, to „wybacz mi, pani”, czy to jak pochylają głowę i proszą o zezwolenie, by mnie pozdrowić. Fantastyczne uczucie. Jeszcze ich nawet nie dotknęłam palcem, a już drżą jak osiki. Gdzie tu jest krwiożerczość? Jestem perfidnie okrutna, oschle troskliwa.
- Czy mogę uprawiać seks z moim niewolnikiem?
- Ja nie praktykuję seksu z niewolnikami. Zasadniczo między panią i niewolnikiem może dojść do seksualnego zbliżenia tylko wówczas, gdy pani wyrazi zgodę. Niewolnik musi sobie na to bardzo zasłużyć.
- I trzeba być dominą przez dwadzieścia cztery godziny na dobę?
- Ja jestem osobą przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Mój charakter się nie zmienia.

Tego wieczoru Lady Monique nie miała pod ręką niewolnika, który mógłby nam posłużyć za królika doświadczalnego, tak więc praktyczną lekcję przeprowadziłyśmy na rogu stolika udającego czubek penisa.

Lekcja 1: W jaki sposób smagać męski członek z właściwą dosadnością i finezją. Monique kazała mi wziąć bacik. Udało mi się trzepnąć nim szybko w domniemaną żołądź.

– Pracuj nad ruchem nadgarstka – powiedziała Monique. – Dobrze, całkiem nieźle. A teraz wyobraź sobie, że to są sutki.

Lekcja 2: W jaki sposób celnie uderzać. Wręczyła mi krótką różgę i poprosiła, bym jednym uderzeniem oderwała kleszcze, które zacisnęła na krawędzi komody służącej za klatkę piersiową mężczyzny. Jeśli chodzi o prawdziwe sutki, należy zerwać kleszcze, nie rozrywając skóry.

Lekcja 3: Jak biczować. W tym celu zademonstrowała mi *flogger*, bat ze skórzaną rękojeścią i kilkoma rzemieniami.

– Pokaż, na co cię stać. Wypróbuj go na swojej dłoni.

Ścisnęłam rękojeść kańczuga, palcami drugiej ręki rozplotłam rzemienie i uderzyłam w dłoń z wrednym wyrazem twarzy. Teraz należało spróbować na czymś innym. Monique zasugerowała kozioł. Uderzyłam z takim animuszem, że wystraszyłam się, że się rozpadnie. Monique roześmiała się drwiąco.

– Gdyby to był niewolnik, już by było po nerkach. Nie chodzi o to, żeby walić z całej siły, ale z feelingiem.

Podobno okrucieństwo jest cechą wybitnie kobiecą. Spojrzałam na Monique i spytałam o najważniejszą rzecz, jaką powinnam wiedzieć, taką bezapelacyjnie obowiązkową.

– Wierzyć w siebie, kochać siebie i wiedzieć, że jesteś najlepsza. Musisz być świadoma tego, co robisz, konsekwentna, znać swoje ograniczenia, swoje obawy, znać ludzkie ciało, wiedzieć, czy możesz uderzyć i gdzie uderzyć. W przeciwnym razie to tak, jakby dać małpie pistolet.

Wstaję i idę w kierunku sceny owładnięta duchem masochizmu. Wchodząc po schodkach, natykam się na twarz Monique, która szepcze:

– Rozbierz się do stanika i majtek.

– Eee, mogę zostawić sobie spódniczkę? – pytam, nie wiedząc, co mówię, i nie wiedząc, co mnie czeka.

Jej ochroniarze ustawiają mnie na środku sceny jak posąg. Jestem sparaliżowana, bardziej strachem scenicznym niż lękiem przed bólem. Monique mówi do publiczności, coś objaśnia. Nie wiem co, ale mówi o mnie, tego jestem pewna. Że jestem uległa. Że mnie wychłostuje. Nie widzę publiczności, na szczęście oślepiają mnie światła. Niewolnik o sinych jajach kuca u mojego boku.

– Zdejmij bluzkę – mówi Monique, wykonując rytualny gest. Wypełniam posłusznie polecenie.

– Boisz się? – szepcze mi do ucha. Nie, odpowiadam. Nikt z obecnych nic nie zauważył, ale wyczuwa się naszą poufałość. Traktuje mnie z niezwykłą delikatnością. Zaprasza mnie uprzejmym gestem na kozioł. Zajmuję półklęczącą pozycję. Mam długie czarne kozaki, minispódniczkę i biustonosz. Uzmysławiam sobie, że mam całkiem fetyszujący wygląd. Monique unosi mi spódniczkę, odsłaniając mój mały, ale jędrny tyłek i czarne stringi, które włożyłam z okazji wizyty na festiwalu erotycznym.

– Masz milutki tyłeczek – mówi mi do ucha Monique. Pieści subtelnie moje pośladki. Daje mi kilka klapsów niczym kochająca matka. Chciałabym być na widowni, żeby móc zobaczyć z drugiej strony scenę *spankingu* (chłosta, smaganie dłonią) z samą sobą w roli głównej.

Czy będę dla kogoś ekscytująca? Monique znowu pieści mi pośladki. Uderza mnie jedną ręką i pieści drugą. Sposób, w jaki zmusza mnie do uległości, jest zwodniczy. Przypomina miłość dwojga ludzi. Na przemian ból i rozkosz.

– Wszystko w porządku? – pyta troskliwie pani, która będzie się nade mną „znęcać”. Odwracam głowę, żeby zobaczyć, do czego przymierza się na moim zapleczu. Nie mogę się powstrzymać. Bierze sławetny kańczug. Wypróbowuje go na dłoni, tak jak mnie uczyła poprzednim razem w swoich kazamatach. Raz, dwa, trzy. Rzemienie spadają na moje pośladki. Pierwszy raz to tylko łaskotanie. Za drugim i trzecim smagnięciem czuję na skórze przyjemne ciepło. Świszczy mi w uszach, jak wówczas, gdy ktoś próbuje wcisnąć mi coś przez telefon i przybiera ten charakterystyczny, uprzejmy, jednostajny ton; gdy dzieje się coś, czego nie rozumiem i czego nie mogę kontrolować, i ta dziwność i niespodziewaność nieprawdopodobnie mnie hipnotyzuje. Tak właśnie czuję się teraz. Czy to jest właśnie ta rozkosz maso?

Mój tyłek musi już być czerwony, myślę, to już pewnie ostatni raz. Ale nic z tego. Teraz uderza naprawdę mocno.

Nie wiem, czy to jakaś skaza, która ciągnie się za mną jeszcze z dzieciństwa, ale nieposłuszeństwo i późniejsza dyscyplina mają wiele wspólnego z moim charakterem. Czy faktycznie mogłabym być autentyczną niewolnicą, jak przedstawiła mnie publiczności Monique?

W tej chwili krótkotrwałego bólu nie widzę swojego życia jak przewijającego się przed moimi oczyma starego filmu, ale nachodzą mnie obrazy wszystkich sytuacji, gdy praktykowałam uległość z moimi łóżkowymi partnerami. Nie ma to jak dawka sadomasochizmu, żeby wyrwać seksualny związek z letargu. Poprosić partnera, żeby złoł ci skórę, nie jest niczym niezwykłym; to część życia w związku powiedzieć mu, żeby przywalił ci mocniej, tak od serca, żeby cię złajał, że jesteś zła i że trzeba dać ci to, na co zasługujesz, bo zwykła niewdzięcznica z ciebie. Mężczyźni odpowiadają na to wezwanie siarczystymi klapsami w pośladki partnerki i pełnymi furii pchnięciami bioder, udają, że chcą cię udusić, nie pozwalają ci dojść, biją cię po twarzy, zatykają ci usta rozpaleni fantazją, że jesteś suką, którą należy przywołać do porządku. Z uległą buntowniczką jest bardziej ekscytująco, mniej nudno. Nie wiedzą tylko, że to nie żadna fantazja, że ty naprawdę jesteś perfidną suką i że odgrywają się, nic o tym nie wiedząc. Kto dominuje kogo? Przeżywałam rozkosz skrępowana, niezdolna uczynić najmniejszego ruchu, chłostana, akceptując seksualne zniewolenie w zamian za odkupienie mojego ukrytego sadyzmu. Ale nigdy nie miałam pana.

Odwracam się, żeby zobaczyć, co dalej, a Monique z perfekcyjną precyzją wymierza ostatni cios w moje napiętnowane pośladki. Pomaga mi się podnieść. Skóra na moim tyłku pulsuje i płonie, ale wstaję z kozła i kieruję się ku wyjściu. „Spaść w *subspace*”. Tak kobiety ujarzmiane nazywają stan transu następującego po odegraniu roli pasywnej. Dramatyczna przemiana, w czasie której niewolnica wraca na powrót do roli szczęśliwej, dającej się urabiać kochanki. Opisują to jako wrażenie przypominające unoszenie się na wodzie albo w powietrzu.

– Wielkie oklaski dla niej – słyszę i wyczuwam cień kpiny w głosie mojej pani.

Dwaj goryle, po jednym z każdej strony, pomagają mi zejść ze schodków. Wciąż jeszcze drżą mi nogi. Po raz ostatni spoglądam na moją publiczność. W drodze do stolika towarzyszą mi owacje. I myślę sobie, co u diabła: te owacje są dla mnie, dla mnie.

TRANS

ON MYŚLAŁ, ŻE ONA JEST CHŁOPAKIEM, a ona myślała, że on jest dziewczyną. Poznali się na osiedlu i zaczęli widywać coraz częściej. Któregoś wieczoru Melvin został u Amelii na noc.

Ona spała, on nie, więc ją obudził.

– Słuchaj, ty nie jesteś facetem, no nie?

Amelia rozchyliła powieki.

– Ty też nie jesteś kobietą. Daj mi spać, dobra?

Melvin objął ją i zasnęli.

Ale w następnych dniach nie wiedzieli, co ze sobą począć. Amelii nie mieściło się w głowie, że mogłaby być z facetem, a być z Melvinem, nawet gdyby miał cycki, to było tak, jak być z facetem. Poza tym była lesbijką. I chłopczycą. I dziewczyną. Nic tu się nie zgadzało.

Melvin miał podobne pomieszanie z poplątaniem. Uważał się za osobę płci żeńskiej, której zawsze odpowiadała rola opiekuna. W końcu był przecież mężczyzną. I jego osaczone męskie hormony domagały się, by odgrywał rolę męża tej dziewczyny. Szukał Amelii na rogach ulic w podłych rejonach Limy, gdzie drinkowała ze swoimi przyjaciółmi. Brał się za łby z wszystkimi gnojami, którzy jej ubliżali.

– Słuchaj, tatuśku, klawo, że chcesz być jak facet, ale nim nie jesteś. Zgrywasz wielką chojraczkę, ale to ja muszę później za ciebie brać po mordzie. Jestem twoim mężem, do kurwy nędzy, spylamy na kwadrat.

Gdy byli tylko we dwójkę, Melvin nazywał Amelię „pączuszką”, Amelia zaś mówiła do Melvina *cholo*¹⁴.

Amelia twierdzi, że przy każdej popijawie Melvin wywrzaskiwał: „Jesteś moją kobietą. Poznałem cię, jak byłaś małą dziewczynką, i zrobiłem z ciebie kobietę”.

– Dlatego nigdy mnie nie zostawi. Jak mnie zostawi, wypruję mu flaki.

Dzisiaj rano przyleciałam do Paryża bezpośrednim lotem z Barcelony, z padniętym telefonem i cyckami pełnymi mleka. Zostawiłam w domu moje trzymiesięczne maleństwo, ale do piersi najwyraźniej to nie dotarło, dalej jak najęte produkują pokarm i mam wrażenie, że zaraz eksplodują. Czuję się podle z powodu mojej córeczki i myślę, że może to złe samopoczucie, które pogarsza się z minuty na minutę, jest zasłużoną karą. Na Charles de Gaulle jest godzina szczytu i z głośników płyną coraz bardziej absurdałne ostrzeżenia dotyczące zachowania środków ostrożności w stylu: jeśli masz w walizce butelkę szamponu, możesz zostać oskarżony o produkcję płynnych ładunków wybuchowych. Francuskie karty telefoniczne śmierdzą. Vanesa odbiera telefon głosem osoby, która dopiero co zwlokła się z wyra ze straszliwym kacem. Godzinę później dostrzegam ją w tłumie.

Zaoferowała się, że odbierze mnie z lotniska i przenocuje u siebie przez weekend. Z tego, co mówiła, idzie jej fenomenalnie. Podkreślała z emfazą, że ma swój samochód, mieszkanie i że mówi świetnie po francusku. Dodała, że zamierza studiować aktorstwo i że na razie pracuje „w czymś, co ma związek z Internetem”, ale że później mi to wyjaśni.

Vanesa uważa siebie za transseksualistkę, mimo iż nie przeszła operacji chirurgicznej zmiany płci. W Limie kolektyw LGBT (Lesbijki, Geje, Biseksualiści i Trans) używa określenia „trans”, które obejmuje tożsamości transwestytów, transseksualistów i osoby transgenderowe.

Poznałam ją przed czterema laty w Kápitalu, największej dyskotecie w dystrykcie Comas. W tamtym okresie Vanesa była niewątpliwie jedną z królowych nocy, przyciągającą spojrzenia wszystkich swoją

wystylizowaną figurą i czerwoną peruką wzorowaną na dziewczynie *Z piątego elementu*. Jednakże niedługo potem dowiedziałam się, że poleciała za ocean, podążając szlakiem marzeń większości transgenderowych Peruwiańczyków, i już więcej jej nie zobaczyłam.

Aż do dzisiejszego ranka.

Dzisiaj rano Vanesa odbierze mnie z paryskiego lotniska z kilkugodzinnym poślizgiem i bez auta na horyzoncie. Z daleka jest zniewalająca jak cztery lata temu, ale z bliska wygląda, jakby coś się w niej zepsuło czy przepadło na zawsze. Jest bardzo szczupła i jej koścista męska twarz niknie nieomal pośród kręconych, świeżo umytych, mokrych jeszcze włosów. Nie ma makijażu. Ubrana jest w obcisłe dżinsy, białe botki i biały golf. Pomimo zimna wyszła bez palta. Jak na „transseksualistkę” nie przesadza specjalnie, domyślam się, że chce uchodzić za zwykłą kobietę. Drobna postura i rozmiar *small* na to jej pozwalają.

Rozpoznajemy się i idziemy do pociągu. Po raz pierwszy zauważam niedyskretne spojrzenia mężczyzn i kobiet śledzących to zmysłowe ciało i dwuznaczne oblicze. Odwracają się, gdy słyszą jej gruby głos kierowcy ciężarówki.

– Nie znasz w Hiszpanii jakiegoś gościa, który chciałby się ze mną ożenić? – pyta mnie.

– Niech pomyślę...

Vanesa zaczepia wszystkich mężczyzn, którzy zatrzymują na niej wzrok. Za każdym razem, gdy mijają nas jakiś mniej więcej atrakcyjny okaz, rzuca: „O, idzie mój mąż”. Ściga jednego, gardłując: „Nie uciekaj, jestem kobietą z twoich snów”. „Zrobić ci loda?”, mówi po hiszpańsku. Francuzi patrzą na nią tak, jakby pytała ich o godzinę.

Widziałam na własne oczy, jak agenci Serenazgo¹⁵ spuszczaają psy, okładają pałkami i traktują gazem łzawiącym transseksualistów. W wiadomościach widziałam oczyszczanie miejsca zwanego *La Pampa de las locas*, gdzie pracują najbiedniejsi transi. Słyszałam o akcjach policyjnych pod nazwą „Profilaktyka 2008” i jej podobnych, mimo iż praca seksualna nie jest w Peru karalna. Czytałam w gazetach o zorganizowanych bandach, jak choćby rozbita grupa „Los mojarras”, atakujących transwestytów i pracownice świadczące usługi seksualne.

Co jakiś czas pojawia się informacja o znalezieniu ciała transwestyty zamordowanego brutalnie w „niewyjaśnionych okolicznościach” we własnym zakładzie fryzjerskim czy mieszkaniu. Według danych Limskiego Ruchu Homoseksualnego (MHOL) w roku 2006 ponad pięciuset homoseksualistów stało się obiektem ataków na ulicach peruwiańskich miast, w większości przypadków z użyciem przemocy.

Chociaż homoseksualizm nie jest w Peru nielegalny, niedozwolone jest małżeństwo między osobami tej samej płci i nie istnieje żadna ustawa antydyskryminacyjna, nie mówiąc o normie prawnej, która nawiązywałaby bezpośrednio do praw tak zwanych transgenderowców, jak ustawa dotycząca tożsamości płciowej przyjęta niedawno w Hiszpanii.

Gdyby ktoś zobaczył w supermarkecie całującą się parę tej samej płci, mógłby zadzwonić na policję lub wyprosić tę dwójkę za drzwi, argumentując, że „tutaj takie zachowanie nie jest dozwolone”.

W ogólnokrajowej ankiecie dotyczącej wykluczenia społecznego, przeprowadzonej w 2005 roku w Peru przez organizację pozarządową Demus, homoseksualny kolektyw znalazł się na pierwszym miejscu wśród najbardziej dyskryminowanych mniejszości w kraju nierówności społecznych. Siedemdziesiąt pięć procent ankietowanych nie akceptuje relacji seksualnych między dwiema osobami tej samej płci. Trzydzieści procent zaś wciąż jeszcze uważa, że homoseksualizm to choroba umysłowa.

W tym represyjnym krajobrazie transi stworzyli własne getto. Posługują się nawet własnym językiem, *hungarito*, dziwacznym zaszyfrowanym slangiem. Vanesa używa go w rozmowach z peruwiańskimi znajomymi w Paryżu. Mówi, że powstał w celu zmylenia policji. Wyrazy buduje się, dodając sylaby i poprzedzając je spółgłoskami „s” i „r”. Na przykład „Siesoromasaranko chłosoropasaraki” znaczy „Siemanko chłopaki!”.

Proszę spróbować odmówić w *hungarito* tę oto modlitwę, którą usłyszałam kiedyś od pewnej transseksualistki: „Boże mój, spraw, bym stała się niewidzialna dla policji”.

Ginekolog powiedział Amelii, że ma dziecięcą macicę. Amelia i Melvin nie mogli mieć dzieci. Tak bardzo o tym marzyli, że jedno spadło im z nieba. Córeczka anonimowej kobiety, która zamierzała usunąć ciążę w nielegalnym gabinecie. Postanowili, że ją przygarną. Miesiąc później Amelia stwierdziła, że jest w ciąży; pierwsze dziecko oddali pod opiekę jednej z ciotek i całym sercem oddali się tej nowej, biologicznej przygodzie.

Minęło kilka miesięcy, zanim przespali się ze sobą po raz pierwszy. Najpierw dlatego, że mieszkali z matką Amelii w jej skromnym domku i spali w trójkę w jednym łóżku. Ale pewnego razu rodzicielka nie przyszła na noc. Amelia przeniosła się na sofę. Melvin powiedział, że chce z nią spać, i dał jej słowo mężczyzny, że nic się nie stanie. Jego słowo mężczyzny, rzecz jasna, nie było warte funta kłaków. Para hipotetycznie homoseksualnych dzieciaków odbyła stosunek hipotetycznie heteroseksualny. Amelia zapomniała, że Melvin był mężczyzną z ciałem kobiety. I dlatego się jej spodobał. Rok później przyszła na świat Valery.

Gdy była jeszcze niemowlęciem, Melvin udawał, że karmi ją piersią. Od tego czasu dziewczynka dopominała się silikonowego cycka swojego taty. Ale wiedziała, kto jest kim. Gdy Amelia prosiła, by przyniosła jej buty, mała chwytła toporne adidas, a nie złocene pantofle Melvina na wysokim obcasie. Kiedy Amelia wkładała majtki, Valery pytała, dlaczego wkłada majtki taty.

Że przecież Amelia nosi slipy. Melvin obiecywał córeczce, że gdy dorośnie, dostanie jego pantofle. Amelia natomiast zabierała ją na mecze piłki nożnej rozgrywane na osiedlu.

Valery różniła się od dzieci adoptowanych przez homoseksualne pary, którym w oczach Kościoła grozi niebezpieczeństwo, bo nie mają rodziny jak Bóg przykazał. Nie, ona nie miała dwóch mam czy dwóch tatusiów. Miała jeden model żeński i jeden męski. Miała tatę i mamę. Chociażby cała reszta była bajzlem na kółkach.

Amelia uważa, że Valery nie będzie wcale przeszkadzać, że jej tata jest *cabro*¹⁶, a mama *machona*¹⁷. Ale ma nadzieję, że gdy dorośnie, będzie stuprocentową dziewczyną, dla własnego dobra. Na pytanie, jakie buty by chciała, Valery odpowiada, że buciki lalki Barbie.

Niekiedy postępowi rodzice wydają na świat reakcyjne potomstwo.

Ze swojej pierwszej imprezy w Limie po operacji powiększenia piersi Vanesa zapamiętała *mariconas*¹⁸ w swoich ogromnych SUV-ach, obwieszonych biżuterią i zlanych drogimi perfumami – i pomyśleć tylko, że ona taka właśnie chciała być, dokładnie jak te transseksualistki emigrujące do Europy i wracające do Limy niczym gwiazdy włoskiego kina. Zapytała je, jak to robią. Jedna powiedziała, że występuje w show, inna, że pracuje w dyskotecie, a jeszcze inna, że wyszła za milionera. Żadna z nich nie powiedziała prawdy.

Dla peruwiańskiego transseksualisty wyjazd do Mediolanu jest tym samym, co dla studenta prawa studia na Harvardzie. Jedni wyjeżdżają z Peru pod fałszywymi nazwiskami, korzystając ze świetnie zorganizowanej sieci nielegalnej emigracji do Włoch, która według Vanesy, ma swoich ludzi w ambasadzie w Limie. Do Mediolanu wyjechały wszystkie jej przyjaciółki, ponad dwa pokolenia dziewczyn, które dzięki seksualnym usługom wybudowały dla swoich rodzin prawdziwe wille na tych samych osiedlach nędzarzy na peryferiach Limy, na których się wychowały. W większości wypadków nie emigrują do dzielnic willowych, po prostu do istniejących budynków dobudowują jedno, a nawet dwa piętra, instalują jacuzzi albo baseny uchodzące za symbol pewnego statusu i rozbijają się wystrzałowymi autami. Dziewczyny, które kiedyś były mężczyznami i które mogły sobie pozwolić na zapierające dech w piersiach kobiece kształty – ich źródło dochodów – uzyskane podczas kosztownych operacji plastycznych, łącznie z operacją chirurgicznej zmiany płci, kosztującą dziesięć, dwanaście tysięcy euro. Tylko dzięki przekazom pieniężnym zdołały odbudować swój wizerunek w oczach tych, którzy je potępiali.

Reżyser filmowy Felipe Degrégori, pracujący nad filmem dokumentalnym o dyskryminacji limskich transseksualistów, twierdzi, że w obliczu odrzucenia i marginalizacji ich egzystencji emigracja pozwala im udowodnić, że i oni mogą pomóc rodzinie, rozwiązać jej problemy finansowe i w ten sposób zdobyć szacunek rodziców, rodzeństwa, sąsiadów, a nawet społeczeństwa.

– Płacą za akceptację swojej osoby pieniędzmi – mówi Degrégori – i bliscy zapominają, że są transwestytami, zapominają, że kiedyś uważali ich za wstyd i hańbę dla rodziny. Teraz są dobroczyńcami.

We Włoszech transseksualista może zarobić trzysta, czterysta euro dziennie.

– Moja córka Georgina myśli, że pieniądze dają ci klasę, ale to tak nie działa.

Georgina też jest transseksualistą, któremu się „udało”.

– Ma sto tysięcy euro w banku! – wrzeszczy Vanesa.

Nie tylko postawiła swoim rodzicom w Peru wymarzony dom, zmieniła też płeć. Vanesa nazywa ją „swoją córką”, bo to ona sprowadziła ją do Paryża.

To rodzaj sponsoringu, który funkcjonuje w środowisku latynoamerykańskich transseksualistek. Vanesa jest „matką” Georginy, bo zgodziła się pokryć koszty jej podróży, około pięciu tysięcy euro, czyli tyle, ile kosztuje zdobycie paszportu, bilet na samolot i zahaczenie się w europejskim mieście. To nic innego jak pożyczka, która dla „córk” jest wizą do spełnienia marzeń, toteż obowiązana jest pracować dzień i noc, aby w twardej gotówce spłacić „matce” kredyt zaufania, jakim ją obdarzyła. Możliwość opłacenia podróży nowicjuszek jest dla „matki” oznaką statusu i im więcej „córek” będzie miała na swoim koncie, tym większy prestiż zyska w świecie *mariconas*. Vanesa ma dwie „córk” w Paryżu, ale ona też jest czyjąś „córką”. Po „matce” właśnie dostała swoje żeńskie imię.

Od samego początku jej „matka” mówiła, że w Mediolanie istnieje tylko jeden sposób zbiccia forsy. Wypowiedziała tych pięć liter: k-u-r-w-a. Możesz tam pracować jako kurwa. Tak się o tym dowiedziała. Jednak Vanesa „matka” nie jest kurwą, jest złodziejką. Mieszka w Mediolanie od szesnastego roku życia i jest jedną z wielkich szefowych tego biznesu w mieście.

Czternastego stycznia dwa tysiące trzeciego roku Vanesa wyleciała z lotniska Jorge Chávez w Limie ubrana w męskie ciuchy i ze związanymi włosami. Wiza turystyczna opiewała na piętnaście dni. Do Włoch miała przedostać się z Francji. Do Mediolanu jednak nie dotarła. Gdy wyszła z metra w centrum Paryża, wszystko wydało jej się znajome. Tknęło ją silne przeczucie: może mogłaby to zorganizować w inny sposób. Może w tym pięknym mieście nie będzie musiała być kurwą. Zadzwoiła do Vanesy do Mediolanu

i powiedziała, że nie może wyjechać z Paryża. Że zwróci jej pieniądze, pracując w stolicy Francji. I znalazła sobie pracę przy sprzątaniu biur.

Jednej z pierwszych nocy w Mieście Światła, gdy jeszcze wynajmowała pokój w hotelu, pewna peruwiańska dziewczyna zabrała ją do najlepszej dyskoteki na Champs Élysées. Tam zagadnął ją starszy mężczyzna. Miał na imię Alain i był doradcą finansowym w Paryżu. „Stary”, jak go nazywa, zaprosił ją do siebie do domu. Słucham tej opowieści i uświadamiam sobie, że Vanesa tworzy w niej swoją paryską legendę. To jej utracony raj. Sześć miesięcy z Alainem, kiedy mogła sobie kupić pantofle od Gucciego, kiedy pojechała do Disneylandu, kiedy miała samochód roku, kiedy sprowadziła „córkę”.

Jednej przyjaciółce w Peru zafundowała salon fryzjerski, innej zoperowała nos. Mówi tak, jakby własnoręcznie posługiwała się lancetem. Nie tylko mogła sobie pozwolić na wysyłanie pieniędzy do Limy, lecz także odwiedziła swoje koleżanki w Mediolanie. „Musisz mieć dobrą fuchę w Paryżu”, zachwycaly się, widząc jej torebkę od Diora.

W swojej prywatnej legendzie Vanesa nie jest kurwą, tylko młodą dziewczyną, która ma „czułych, opiekujących się nią przyjaciół”. W taką przynajmniej wersję powinienam wierzyć.

– Ile kobiet wychodzi za mąż dla pieniędzy? Ile kobiet jest kurwami i nie chce się do tego przyznać?

W jej opowieściach to ona zawsze stoi na straży honoru swoich rodziców i rodzeństwa, zadaje się z milionerami, bo się jej podobają, bo przywiązuje się do nich, jak przywiązuje się córka do rozpieszczającego ją ojca.

– Znajome mówiły mi: „Ciotka, nie czaj się, zarabiaj dupą, korzystaj z młodości”. Ale ja nie chciałam.

Nie miała też zamiaru ciuć drobnych, sprzątając przez całe życie biura. Dlatego nastawiła się na starych milionerów. Ale co się stało? Dlaczego zmieniła plany? Poprawia sobie loczek nad czołem, przeglądając się w oknie wagonu, i mówi:

– Zakochałam się i dałam dupy.

Carmen zorientowała się, że jej brat jest homoseksualistą, bo z jej szafy zniknęły ciuchy. W rodzinie była jeszcze jedna taka osoba jak Melvin. Wujek. I Carmen pomyślała, że to może jakieś genetyczne uwarunkowania. Wstydziła się tak bardzo, że gdy natykała się na Melvina na jakiejś imprezie, uciekała w popłochu.

Któregoś dnia Melvin pojawił się w telewizyjnym talk-show, opowiadając o swoim życiu. Jeśli robi to, żeby zwrócić na siebie uwagę, zawyrokował ojciec, powinien iść do psychologa, a jeśli dla pieniędzy, niech weźmie się do jakiejś roboty. Kiedy Melvinowi wycięto wyrostek robaczkowy, lekarz oznajmił rodzinie, że syn ma nadmiar żeńskich hormonów. W tym czasie tata zaczął znikać, a jak się zjawiał, nierzadko spuszczał mamie manto. Carmen uważa, że rodzice zaniedbali Melvina z powodu własnych problemów małżeńskich. Tata znalazł sobie inną i zostawił ich.

Od czasu do czasu Carmen widuje Valery i mówi, że jej bratanica znosi całą tę sytuację bardzo źle. Martwi się, bo jej zdaniem dziewczynka wychowuje się w nieodpowiednim środowisku. Mówi slangiem i ma włosy obcięte krótko jak chłopak, identycznie jak Amelia.

Ostatnio wydała się jej bardzo chuda. Wie, że Valery tak naprawdę opiekuje się matka Amelii, osoba w bardzo podeszłym wieku. Amelia żyje swoim obłąkanym życiem i nie interesuje się małą, mówi Carmen. Kiedy bratanica przychodzi do niej w odwiedziny, próbuje ją dokarmiać, ale ona nie chce jeść.

– Skurczył się jej żołądek.

Według Carmen dziewczynka pyta ciągle, dlaczego jej tata chodzi w butach na obcasach i maluje sobie usta.

Odpowiada wtedy, że tata jest kłownem i dlatego się przebiera.

Wysiadamy na stacji Jean Jaurès Quartier, o kilka kroków od jej mieszkania przy alei Secrétan, obok dworca północnego i kanału l'Ourcq.

– Musimy kupić coś do jedzenia, bo w lodówce puchy.

Vanesa wchodzi do Día. W supermarkecie należącym do hiszpańskiej sieci panuje dekadenska atmosfera. Ponoć sprzedawane tam warzywa, owoce i mięso nie są zbyt przyjazne dla zdrowia. Trzeba kupować produkty paczkowane. Vanesa wrzuca do koszyka ziemniaki, mleko i coca-colę.

W dzielnicy Vanesy mieszkają ludzie różnego pokroju, choć najwięcej jest tych z klasy średniej. Nad kanałem w nocy zbiera się grupka gejów. Vanesa napomknęła o tym tonem wścibskiej sąsiadki, jakby zdawała sprawozdanie z jakiegoś niezwykłego zjawiska, a nie czegoś, co jest częścią jej życia. Mówi, że zaraz zobaczę jej mieszkanko, nieduże co prawda, ale mające jedną olbrzymią zaletę: mieszka w nim za zupełną darmość. Wynajęła je na podstawie paszportu i pewnego dnia przestała za nie płacić. Minęło kilka miesięcy i właściciel podał ją do sądu, ale popełnił fatalny błąd, bo oskarżono go o czerpanie zysków z wynajmu nielegalnym imigrantom. Jeśli Vanesa wygra sprawę, mieszkanie może nawet przejść na jej własność. Własne mieszkanie w Paryżu to nie w kij dmuchał.

W tej, jak się okazuje, czterdziestometrowej kawalerce, salonie połączonym z kuchnią, moje najwyższe zdumienie wzbudza zapach. Jak to możliwe, żeby w Paryżu woniało Limą? Ściślej rzecz biorąc, pewnymi domami w Limie o pewnych określonych godzinach. To woń brudnego odzienia wymieszana z zapachem kawałka mięsa duszonego w wodzie z ryżem i czosnkiem. Rozkręcone na całego ogrzewanie sprawia, że jest niemal gorąco. Tutaj grzeje się na okrągło. Na parapecie nad jednym z grzejników śpi kotka Zoła. Mieszka też tutaj hałaśliwa para australijskich papużek. Iście barokowy wystrój wnętrza wydaje się pochodzić w linii prostej z kontenera na śmieci. Naprzeciwko gigantycznego telewizora stoi stary okrągły stół. Wyświechtana sofa. Na ścianie obraz przedstawiający zimowy pejzaż z mężczyzną na saniach sunących przez śniegi. Łóżko w głębi, a na ścianie liście palmy ułożone dziwacznie wokół wielkiego portretu Vanesy, w takiej konfiguracji przypominającego obrazek świętej. Figurki dalmatyńczyków i wazony pełne starych kluczy, guzików, jednocentowych monet. Ze sterczących ze ścian gwoździ zwisają przedmioty tak różnej

natury, jak etola z piór czy czapka Mickey Mouse jako ucznia czarnoksiężnika. Na lodówce kilka zdjęć Vanesy pozującej z innymi dziewczynami, też transseksualistkami, i fotografia chłopaka z dziewczynką. Czteroletnia na oko mała uśmiecha się szelmowsko i robi znak, który w Peru oznacza homoseksualistę: otwarte koło utworzone za pomocą palca wskazującego i kciuka.

Na środku pokoju wznosi się coś w rodzaju namiotu zaimprovizowanego z prześcieradeł, które jednocześnie służą za drzwi. W środku śpi Frederic, mąż. Nie widzę go. Słyszę tylko, jak chrapie i puszcza bąki. Vanesa powstrzymuje śmiech.

– Oj, tatuśku! Śpisz jak wieprz, nie wstyd ci? Może byś już tak wstał? Wczoraj byliśmy na imprezie i wróciliśmy o szóstej rano.

Zaczynam czuć się nieswojo.

– Frederica poznałam trzy dni po tym, jak wyszedł z więzienia – mówi Vanesa, wkładając zakupy do lodówki.

Zachodzę w głowę, jak mi się będzie spało pod jednym dachem z dwójką nieznajomych, byłym więźniem i jego transseksualną dziewczyną. Frederic, rodowity paryżanin, został zatrzymany w Rzymie z kilkoma kilogramami kokainy. Dostał pięć lat. Wracał z ładunkiem z Brazylii. Zdaniem Vanesy jego była dziewczyna, brazylijska prostytutka, posłużyła się nim jako kurierem. Zaraz po wyjściu na wolność wyruszył na poszukiwanie dziewczynek, których kiedyś był stałym klientem i które rezydowały w tym mieszkaniu. Przypadkiem znały się z Vanesą. Ona nie obsłużyła go tamtej nocy, ale gadali do białego rana.

– Lubisz jajka sadzone?

Smaży dwa jajka i wcinamy je z chlebem posmarowanym masłem, popijając coca-colą. Śniadanie w limskim klimacie.

– Dlatego nie mogę się z nim chajtnąć, serce ty moje. Gdyby nie to, dawno już miałabym papiery. No bo weź sobie wyobraź – Peruwianka i były przemytnik narkotyków biorą ślub. Dopiero miałabym kipisz na każdym lotnisku.

Pokazuje mi zdjęcia. Na jednym z nich jest z młodym blondynem.

– Ten chciał się ze mną zenić, bo myślał, że jestem kobietą.

Gdy wyznała mu prawdę, doznał szoku.

– Myślał, że znalazł kobietę, z którą mógłby się ożenić i mieć dzieci. Ja na to: dzieci mam. Ale zwinął żagle.

Wyciąga inną fotkę, na której jest z Frederikiem i jego rodziną na obiedzie gdzieś na łonie natury. Wyglądają na bardzo szczęśliwych. Rodzina Francuza wie, że Vanesa jest transem, i akceptuje to. Frederic ze zdjęcia jest prawie dwumetrowym potężnie zbudowanym mężczyzną z łysą czaszką.

– Dobry z niego chłopak, ale ostatnio jest trochę podłamany. Czasami nie daje mi grosza, ale mnie nie zależy na pieniądzach.

Frederic był kierowcą autobusu, dopóki nie uległ wypadkowi. Pruł swoim autem dwieście na godzinę. Kiedy policja i pogotowie dotarły na miejsce, miał jedną nogę za głową, opowiada rozbawiona Vanesa. Poskręcali go stalowymi śrubami i dostaje co miesiąc trzysta euro renty, ale to tyle co kot napłakał.

– Za to sprząta, pierze i gotuje obiady za pięć euro.

– Dzień dobry.

Frederic wychodzi w bokserkach i koszulce z krótkimi rękawami.

– Śpisz jak knur.

Po kilku minutach pojmuję, że chamskie odzywki są nieustającą formą okazywania sobie czułości. Frederic idzie do kuchni i krzyczy stamtąd oskarżycielskim tonem:

– Vanesa, a gdzie kurczak?

– Tutaj, wyjęłam go z lodówki.

– Ale nie ugotowałaś. Teraz trzeba będzie czekać godzinę!

Pan domu mówi bardzo osobliwą mieszanką francuskiego, włoskiego i portugalskiego. Tylko dzięki łacińskim korzeniom tych języków możemy się zrozumieć po hiszpańsku.

– Powtarzałam ci sto razy, kochanie, kochanie, pora wstawać. Pozwoliłam ci pospać, żebyś później się nie pieklił, a ty co? No, już, dosyć tego, zajmij się obiadem i nie truj dupy.

Przez moment nie wiem, kto w tym domu ma jaja. Tak czy inaczej, obydwójce chcą udowodnić, że je mają. Odnoszę wrażenie, że jestem tutaj jedyną kobietą, i zaczynam się czuć bardzo samotna.

– Dałeś jeść kotu?

Francuz potrafi powiedzieć w bezbłędnym peruwiańskim dialekcie: kurwatwojamać.

– Tak, już jadł.

To jej kot.

Frederic nalewa sobie w milczeniu coca-coli.

– Jak ten facet mnie stresuje, słowo daję – wzdycha Vanesa.

Mam zamiar spędzić czterdzieści osiem godzin z parą na skraju załamania nerwowego lub będącej o krok od rzucenia się na siebie z pazurami, lepiej więc, jeśli wymyślę jakiś temat do rozmowy. Na dobry początek powinnam zwrócić się do tego Obelixa. Pytam o coś, co już wiem: jak ją poznał.

– Tutaj, w tym mieszkaniu, jak...

– Już jej mówiłam, zamknij dziób.

– Nie jesteś zbyt czuła, co, Vanesa? – nie mogę się powstrzymać.

– Ja jestem bardzo czuły – mówi Frederic po hiszpańsku – ale on nie.

Przypominam sobie, że francuski zaimek osobowy „ona” (*elle*) wymawia się jak hiszpański „on” (*él*).

Vanesa jest kobietą uwięzioną w ciele mężczyzny. Ale według Frederica tak naprawdę to chłopiec uwięziony w ciele (fałszywym) kobiety.

W czasach, gdy Melvin wyglądał jeszcze jak mężczyzna, pracował jako konduktor Combi¹⁹. Gdy rzucił studia na kierunku hotelarstwo i turystyka na Uniwersytecie San Martín, żeby stać się kobietą, ojciec przestał się do niego odzywać. Miał powiedzonko, które powtarzał w kółko: „Syn pedał niech spedała na cmentarz”. Dlatego kazał mu ćwiczyć karate.

Pewnego dnia spytał syna, skąd u niego ta obsesja przebijania się w kobiece łachy. Jeśli chce, niech już sobie będzie gejem, ale nie ma powodu, żeby wywoływać skandal. I on miał w banku kolegów gejów, którzy w domu żyli jednym, a na ulicy drugim życiem.

Czasem reakcyjni rodzice wydają na świat postępowe potomstwo. Dla ojca ściął włosy, zalewając się łzami.

Dla córki wyjechał do Europy, by pracować jako kurwa.

Bardzo mnie boli głowa i chyba mam gorączkę. Muszę iść natychmiast do łazienki i odciągaczką pokarmu odciążyć piersi, w przeciwnym wypadku ryzykuję infekcję. Nad wanną Vanesy odciągam i odciągam centymetry sześciennie mleka rękami, bo odciągaczką nie daję rady. Wychodząc z łazienki, myślę, że natura potrafi być niezwykle okrutna. Teraz dałabym wszystko za cycki z silikonu. Dałabym nie wiem co, żeby na kilka godzin uwolnić się od kondycji kobiety. Myślę, że podobnie muszą się czuć transseksualiści, usiłując uwolnić się od ciała, które ich niewoli. Vanesa tymczasem zmienia koszulkę. Obnaża swoje niemal doskonałe piersi i nie mogę uniknąć porównań. Zżera mnie ciekawość i pytam, czy mogę ich dotknąć.

– Jasne!

– Nie czuć nic dziwnego...

– Są całkiem normalne, widzisz, mogę je nawet złączyć.

– W głębi jest coś twardawego, ale ogólnie są dość miękkie, sprawiają wrażenie naturalnych...

– Tak, miałam szczęście.

– Nigdy się nie starzeją. Są lepsze niż prawdziwe...

– Zwyczajnie opadają.

– Ach, to one też opadają...

– Jedna znajoma wygląda, jakby wykarmiła pięć szczeniaków, sześć kotków i cztery świnki. Ale moje, nie wiem dlaczego, nie opadają.

– I jak to robisz?

– Nic nie robię. Podobno mogą pęknąć, ale tłukłam się już tyle razy na pięści i nic.

Operacje Vanesy: nos, implanty piersi wypełnione solą fizjologiczną – zaletą soli fizjologicznej jest to, że w razie rozerwania się implantu ciało ją absorbuje, wyjaśnia – i dużo hormonów, ściśle rzecz biorąc, tabletki antykoncepcyjne. I trochę silikonu, który sama sobie wstrzyknęła w biodra, bo operacja jest bardzo droga. Kupiła igły w aptece i zamknęła się w pokoju w jakimś hostelu. Wypełniła każdy zakamarek swojego męskiego ciała tym tłustawym płynem i natychmiast pojawiły się w tych miejscach kobiece zaokrąglenia.

Ale cycki zoperował jej peruwiański chirurg za tysiąc dwieście dolców.

– I udało mi się trochę przyoszczędzić. Wybuliłam tylko siedemset. Powiedział, że dopłacę mu resztę przy następnej wizycie, jak wyciągnie mi szwy. Nigdy mnie już nie zobaczył. Wyciągnęłam szwy obcinaczką do paznokci.

Vanessa lubi siebie. Jest nieznośnym narcyzem. W próżności bije na głowę wszystkie znane mi kobiety. Opowiada o swoim ciele i cieszy się, że dopisało jej szczęście. Dzięki drobnym kościom mogła wykreować ciało przypominające ciało dwudziestokilkuletniej dziewczyny. W niczym nie przypomina transseksualistów o kanciastych krągłościach.

Tragedia Vanesy polega na tym, że czuje się kobietą, ale nawet w tej sytuacji ani myśli o zmianie płci.

– Jednej znajomej zrobili łechtaczkę z żółdzi penisa. Mówi, że niby czuje, że dochodzi, ale nie ma wytrysku. Inna znowu skarży się, że nic nie czuje, nawet podczas sikan. Mówi do swojego męża: „Wkładasz go czy nie?”, a on na to: „Przecież już włożyłem”. Ja zawsze będę facetem. Nie mogę zmienić się w kobietę, choćbym nie wiem jak się zoperowała. I tak dopuszczam się bluźnierstwa przeciwko Bogu w mojej obecnej postaci, to co by było, gdybym zrobiła sobie operację? To straszne, że nie mogłam urodzić się kobietą, ale widocznie tak mi było pisane.

Wychodzimy na spacer po okolicy. Pakujemy się do kabiny telefonicznej. I gdy przez szybę jak na ekranie telewizora obserwujemy przechodzących mężczyzn wszelkiej maści, wyznaje mi prawdę:

– Nie operuję się, w przeciwnym razie nici z interesu. Zrobię to, gdy nie będzie mi już stawał.

Na zdjęciu Amelia ma może sześć lat. Mama ubrała ją w białą sukienkę, a długie włosy przystroiła wstążkami. To dzień jej chrzcina.

Gdy ma lat jedenaście, do szkoły chce wkładać wyłącznie dres. Na pytanie matki, gdzie jest jej spódnica od mundurka, niezmiennie

odpowiada, że uprana.

Pewnego dnia matka musiała zaakceptować fakt, że jej córka jest jedną z tych dziewcząt, które wyglądają jak mężczyźni. *Chitos*²⁰ – mówią o nich. Wychowała ją jak dziewczynkę. Gdzie popełniła błąd, co zrobiła źle? Dusza wróciła jej do ciała, gdy córka zakochała się w chłopaku, chociaż nie przypominał mężczyzny. Amelia to straszne imię dla chłopaczary biegającej za piłką. Zmieniła je na Michael. Lubiała przebywać w towarzystwie mężczyzn, żeby podpatrywać, jak się ubierają, wiedzieć, o czym gadają, aby ich naśladować. Ale zakochiwać się potrafiła tylko w dziewczynach. Aż do dnia, w którym zobaczyła Vanesę.

Gdy wymieniam imię Amelii w obecności Frederica, Francuz mówi: „A tak, Michael, żona Vanesy”. Od miesiąca nie mają o niej wiadomości. Vanesa twierdzi, że Amelia przepija pieniądze, które jej wysyła. Zapewnia, że zawsze będą rodziną, ale że jej postępowanie nie jest w porządku.

– Nie jestem męskim szowinistą, ale jeśli się nią opiekuję, byłoby miło, gdyby potrafiła to docenić. Prosiłam ją, żeby mi nie nawaliła, a ona i tak nawaliła.

Kiedy się rozstali, powiedziała jej, że jeśli pewnego dnia miłość wygaśnie, zawsze będzie mogła na nią liczyć.

– Teraz spiknęła się z jakąś prostytutką i nie jestem zazdrosna. Zadzwoiła do mnie i sama mi to powiedziała, poprosiłam tylko, żeby na siebie uważała.

– Może upijała się z tęsknoty za tobą...

– Wiesz, ile wydawałam na telefony do niej? Osiemset euro, stary mi dawał.

Dzwoniła do niej o pierwszej w nocy i gadały do piątej rano.

– Puszczaliśmy jej piosenki i płakaliśmy przez całą noc.

Dzisiaj w nocy Frederic i Vanesa zabiorą mnie do lasu. Lasek Buloński to park znajdujący się na zachodnim krańcu Paryża, niedaleko przedmieść Boulogne-Billancourt. Jak można przeczytać w Wikipedii, rozciąga się na powierzchni 8459 km² i jest dwa i pół raza większy od Central Parku w Nowym Jorku i trzy i trzy dziesiąte raza większy od londyńskiego Hyde Parku. Podczas wojny stuletniej las stał się kryjówką wielu bandytów. Henryk IV kazał zasadzić tam

piętnaście tysięcy drzew morwowych w nadziei rozwinięcia rodzimej produkcji jedwabiu. Małżonka, której się wyrzekł, Małgorzata de Valois, miała tam swój azyl. W roku 1852 Napoleon III przekształcił to miejsce w park. Paryżanie nazywali go „Ogrodem Ziemskich Rozkoszy”, lecz podobnie jak obraz Hieronima Boscha nie jest żadnym rajem, mógłby być raczej piekłem dla pokręconych dusz. Robert Bresson nakręcił film zatytułowany *Damy z Lasku Bulońskiego* opowiadający historię kobiety, którą okoliczności życiowe zmuszają do prostytuowania się w tymże lesie. W lasku doliczono się tysiąca pięciuset osób obojga płci parających się świadczeniem usług seksualnych, ale kilka lat temu przeprowadzono „czystkę” i teraz została tam tylko nieliczna grupa kobiet i setki transseksualistów, przede wszystkim latynoskich imigrantów bez papierów.

Czuję się bardzo chora. Mam pewnie ponad trzydzieści osiem stopni gorączki. Infekcja murowana. Obie piersi są twarde jak kamienie. Vanesa śpi. Po zjedzeniu potrawy z kurczaka upichconej przez Frederica udaliśmy się na spoczynek. Co godzinę chodzę do łazienki, żeby odciągnąć pokarm, ale to nie wystarcza. Muszę iść do jakiegoś szpitala i wydebić elektryczny odciągacz, z pomocą którego mogłabym upuścić większe ilości i ulżyć mojemu cierpieniu. Vanesa nie chce iść ze mną, zmienia się w kapryśnego i niewdzięcznego bachora, gdy ktoś próbuje wyciągnąć ją z łóżka. Oświadczam, że pójdę sama, ale wówczas jej mąż ofiarowuje mi swoje towarzystwo. Idziemy na piechotę na porodówkę. Nie mają tam zbawiennego odciągacza. Radzą mi odciągać ręcznie. Po powrocie do mieszkania zaspana Vanesa mówi, że Michael przydarzyła się podobna historia, kiedy karmiła Valery. Pokazuje mi, jak uciskać piersi.

Mimo iż nie przyznała się do tego otwartym tekstem, Vanesa pracuje jako prostytutka. Z początku usiłuje mi wmówić, że pojedzie do lasku tylko tej jednej nocy, żeby zdobyć kilka euro. Poza tym przed chwilą ktoś do niej zadzwonił, zamawiając „dominację psychiczną i fizyczną”. Zamieściła ogłoszenie z numerem telefonu na jakiejś stronie w Internecie, chociaż, prawdę mówiąc, nie ma z niej wiele pożytku. Kiedy klienci przychodzą do niej do domu, może im zaśpiewać nawet sto pięćdziesiąt euro za jeden numer w łóżku, w którym, jak mnie informuje, będę spać dzisiejszej nocy. Ale

prościej jest skoczyć do lasu; tam zarabia trzydzieści euro od łebka, ale ruch jest bezustanny i czasem klienci są wyjątkowo hojni.

– Robiłam teatr dla dzieci, tańczyłam w kabaretach, chciałam udowodnić, że transwestyci nie przyjeżdżają do Europy tylko po to, żeby się kurwić, ale – jak to mówią – i w Paryżu nie zrobisz z gówna ryżu.

Frederic twierdzi, że Francuzi nie mają uprzedzeń, że kiedy kochają, jest im obojętne, czy podmiotem ich miłości jest mężczyzna, czy kurwa, czy i to, i to jednocześnie. Zanim odda swoją dziewczynę w ręce wszystkich satyrów tego miasta, przygotowuje jej rozkoszną kąpiel w pianie, którą cięta jak osa Vanesa gardzi.

– Mówiłam ci tysiąc razy, żebyś mi nie robił piany.

– Nie jestem twoim niewolnikiem.

– Oj, oj, oj, widzieliście go, jaki macho!

Po raz pierwszy w życiu idę na kurwy z kurwą. Vanesa zakłada obcisłe spodnie i top. Tej nocy w Paryżu panuje przenikliwe zimno, a w lesie, jak mówią, temperatura spada do zera. Vanesa nie wkłada palta.

– Wolę umrzeć z zimna niż z głodu.

Ładujemy się do zdezelowanego auta Frederica. Mąż Vanesy zna od podszewki paryski świat prostytutki. Wcześniej żył z dwiema prostytutkami. Mówi, że pracował jako nielegalny taksówkarz transseksualnych dziewczyn, chociaż chwilowo jest na bezrobociu. Zabierał je spod domu i kasował dziesięć euro za podwiezienie w pobliże lasu. Widzę, że przednia szyba jest pęknięta. Dochodzę do wniosku, że Francuz nie uczy się na swoich błędach i nadal jeździ z niedozwoloną prędkością. I w rzeczy samej pędzi jak wariat i przejeżdża wszystkie skrzyżowania na czerwonym świetle.

– To nie gdzieś tutaj zabiła się Lady Di? – pytam żartem, ale odpowiadają tylko, że nie, że to daleko stąd.

Widzę już nagłówki w gazetach: „Handlarz narkotyków, transwestyta i dziennikarka giną w wypadku samochodowym w drodze do kurwolasu”.

– Klienci, którzy przyjeżdżają do lasu, chcą wiedzieć, co masz między nogami. – Jednym ze swoich zdań, które mogłyby znaleźć się w antologii ordynarnego realizmu latynoamerykańskiego, Vanesa

potrafi cię otrząsnąć z drobnomieszczańskiego strachu przed śmiercią i przywrócić życiu.

– Niektórzy myślą, że jesteś kobietą, ale gdy odkrywają swoją pomyłkę, nie zniechęcają się, przeciwnie, to ich jeszcze bardziej rajcuje. Picują, że to ich pierwszy raz, i pytają, czy mogą go dotknąć, czy mogą go zobaczyć. A potem tam klęczą. Każdy nosi w sobie swój własny dramat.

Vanessa potrafi być niezwykle wulgarna, ale marzy jej się, żeby traktowano ją jak delikatną, subtelną dziewczynę. Każdy nosi w sobie swój własny dramat.

Michael dowiedziała się, że Vanessa zakochała się w innym i że ma zamiar zostać w Paryżu. Z początku czuła się samotna i żeby nie cierpieć bez końca, znalazła sobie narzeczoną. Teraz mieszka z nią i z małą Valery. Mówi, że jest w niej bardzo zakochana. Czasami Valery przegląda zdjęcia Vanesy i mówi: „Mój tata jest bardzo ładna”. Michael powiedziała Valery, że jej nowa dziewczyna jest jej najlepszą przyjaciółką. Chodzą razem na spacer z jej dziećmi, których nazywa braciszkami.

Michael mówi, że Vanessa nie wysyła pieniędzy na Valery od roku. A kiedy jeszcze wysyłała, zdarzały się kilkumiesięczne poślizgi. Wie, że nie jest jej lekko, ale potrzebuje pieniędzy bardziej niż kiedykolwiek. Pracuje na centralnym targu, gdzie zgrzewa torby foliowe, zdarza się, że do świtu. Gdy uda jej się wrócić przed ósmą, może zaprowadzić córkę do szkoły.

Wszystko wróciło do normy: Melvin jest z facetem, a Amelia z dziewczyną.

Moim oczom ukazuje się las przecięty na pół autostradą, którą mkniemy skuleni w tej rakiecie na kółkach. Po obu stronach rozciąga się mroczne, złowieszcze i otchłanne królestwo natury. Można w nim urzeczywistnić wszelkiego rodzaju fantazje seksualne w stylu *Władcy pierścieni*. Jeśli dobrze wyteżyc wzrok, da się wyodrębnić z mroku

całkowicie sztuczne, przystrojone perukami, futrami i długimi złocistymi kozakami człekokształtne postaci, które nie są bynajmniej elfami. Pewnego razu jakiś chłopak poprosił Vanesę, żeby go związała, na co niespodziewanie zjawiła się policja. Vanesa czmychnęła ile sił w nogach, zostawiając samopas spętanego delikwenta. Niejedna została poharatana nożem czy odwieziona do szpitala w stanie śpiączki. W jakim stanie wyjdiesz z krzaków, zależy od tego, z kim w nie wejdiesz. Tej nocy Vanesa postanowiła zdemaskować niektóre mity: mówi, że w lesie Arabowie wyzywają je od najgorszych, ale później nadstawiają dupską. Że czarni z małym interesem nie należą wcale do rzadkości. I że zdarzają się algierskie transseksualistki. Trzeba być przygotowanym na wszystko.

Frederic zostawia nas w miejscu, gdzie spotykają się Peruwianki. Są tam już dwie nasze rodaczki, które zrobiły sobie przerwę w pracy i jak co noc jedzą chifę kupioną od pewnego Ekwadorczyka. Jedna z nich to Tatiana, druga europejska córka Vanesy. Rozmawiają o fryzjerce, byłym wychowawcy przedszkolnym. Tatiana przygarnęła ją pod swój dach i wygląda na to, że fryzjerka przystawiła się do jej męża, którego Tatiana, nawiasem mówiąc, poznała w lesie.

– Wszystkie nowe chcą ot tak na zawołanie zdobyć to, co nas kosztowało wiele lat ciężkiej pracy i wyrzeczeń – rzuca Betina, najstarsza ze wszystkich. Jej rozgoryczenie kontrastuje z entuzjazmem młodziutkiej Brazylijki, która wrzeszczy jak postrzelona: „Jestem kobietą, jestem kobietą!”.

– Zawsze biorą ją za ciotę – oświadcza Vanesa.

Mała *carioca*²¹ rozpościera palto pod wiatr i nęci przejeżdżające auta obnażonymi piersiami i skąpymi stringami. Blask świateł zmienia ją na krótką chwilę w galion dryfującego okrętu. Zsuwa w dół stringi, rozchyła kępę włosów i pokazuje nam z dumą, jak wygląda prawdziwa kobieta. Przesuwa palec z dołu do góry i oblizuje go gestem aktorki filmów porno. Bez wątpienia jedzie na jakimś magicznym wspomaganium. Wiadomo, że niektóre dziewczyny pracujące w lesie biorą prochy, żeby podołać zimnu i ciężkiej harówce z klientami.

– Vanesa ma śliczne ciało, a że jest drobna, może uchodzić za kobietę. Brazylijka jest kobietą, zgoda, ale zachowuje się jak

transwestyta. Niekoniecznie trzeba być kobietą, żeby być kobieca – stwierdza lapidarnie Betina.

– Brazylijka to nimfomanka – dodaje Tatiana.

Patrzę na Vanesę i jej sfabrykowaną kobiecość. Idzie w kierunku sznura wolno sunących aut, z których oceniane są jej walory. Gdyby została z nami, nie mogłaby pracować. Przede wszystkim dlatego, że właśnie wrócił Frederic o wyglądzie onieśmielającego alfonsa.

W tej chwili obok nas zatrzymuje się stary peugeot z kobietą w środku. To siostra Frederica, która czasowo odziedziczyła nielegalny taksówkowy interes. W oczekiwaniu na powrót Vanesy Frederic proponuje mi przejażdżkę po lesie. Siadam obok Florence, wielkiej kobiety w okularach i okutanej w poncho z alpaki, które otrzymała w prezencie od jednej z Peruwianek.

– Jak się masz, Carolino? Pozdrów ode mnie męża. – Frederic zwraca się do wysokiej brunetki dygocącej na skraju szosy.

Frederic przyjaźni się ze wszystkimi. Macha do nich ręką przez okno auta i wyjaśnia mi, kto jest kim. To Ameryka Łacińska, myślę, nasz kontynent w mikroskali. Ta to Argentynka. Ta, Peruwianka, ale z hiszpańskimi papierami. Tamtą znaleźli z rozwaloną głową. Na tę mówią Ñata²², robi *ceviche* palce lizać.

Nie mogę oderwać wzroku od siostry Frederica. Florence cierpiała na depresję i ważyła już sto dwadzieścia kilo, opowiada jej brat. Teraz schudła trzydzieści sześć kilogramów i próbuje wydobyć się z dołka, zarabiając na życie jak się da.

Tamte w perukach to arabskie transseksualistki. A tam, gdzie ten zator, pracują kobiety. Ten facet to Ekwadorczyk, sprzedaje jedzenie. Tamta to Paloma, była w Peru policjantką. Za nią stoi Shirley, jeszcze jedna Peruwianka, studiowała na uniwersytecie i jest bardzo inteligentna. Piętnaście–dwadzieścia osób żyje w Ekwadorze z tego, co tamta dziewczyna, ta, co opiera się o drzewo, zarobi co noc tyłkiem w lesie. A tamta ma AIDS, chociaż trzeba przyznać, że dba o klientów. Francuski rząd daje jej lekarstwa, jedzenie, dach nad głową, dostała nawet papiery.

Paryskie Stowarzyszenie Prewencji, Działania, Zdrowia i Pracy na rzecz Osób Transgenderowych (PASTT), które pracuje z dziewczynami z lasku, otrzymuje setki podań o karty pobytu,

mieszkania, uregulowanie sytuacji prawnej, większość bowiem transseksualistów znajdujących się w tej sytuacji to obcokrajowcy. Żadne z podań nie otrzymuje odpowiedzi.

Czuję się niewidzialna przy moim metrze sześćdziesięciu i skromnych wymiarach. Obserwowane przeze mnie sceny to jedna z tych rzeczy „dla mężczyzn”, jak piłka nożna czy filmy o superbohaterach. I nie mogę przestać myśleć o tym, jaki byłby świat bez kobiet. Ostatecznie transseksualista nie jest niczym innym jak projekcją wyobrażeń mężczyzny na temat kobiety. Dlatego mężczyźni hetero tak bardzo fascynują transseksualiści. Bo w tych czasach są najbardziej zbliżonym obrazem kobiecego ideału, jaki mogą spotkać.

Florence musi nas już zostawić. Idziemy z Frederikiem na piechotę szukać Vanesy, która od ponad godziny nie daje żadnego znaku.

- Trochę dziwne życie, nie sądzisz? – rzuca niespodzianie Frederic.
- Dziwne?
- Do dupy.

Przeglądam mu się wówczas po raz pierwszy i uświadamiam sobie, że Frederic to rozsądna osoba.

Temperatura spadła poniżej zera i mam wysoką gorączkę. Frederic chodzi tak, jak prowadzi samochód. Ciągnie mnie przez niebezpieczne skrzyżowanie na czerwonym świetle. Zaraz pękną mi piersi, są tak twarde, jakbym miała w każdej po osiem litrów silikonu. Ten reportaż mógłby nosić tytuł *Under the milk wood*.

Niedawno Vanesę przyskrzyniła w lesie policja. Za transseksualizm, za kurewstwo i za nielegalny pobyt. Pryszcz. Powiedziała, że jest Kubanką, że w jej kraju mordują pedałów, i puścili ją. Po wyjściu z aresztu zadzwoniła do Peru, szukając pociechy, ale tam chcieli tylko wiedzieć, kiedy przyśle pieniądze. Dlatego zmieniła telefon. Dlatego trudno ją było namierzyć.

W mroku przeszłości utonęły szczęsne dni, kiedy przebierała się za anioła dobroczyńcę swoich sióstr *mariconas*. Teraz jest zakochana w tym dobrodusznym i inteligentnym sutenerze, w tym żabojadzkim wydaniu *white trash*, który robi jej kąpiele z pianą i traktuje jak rozpieszczonego bachora.

Vanessa wyłania się wreszcie z lasu jak sponiewierana wróżka. W godzinę zainkasowała dziewięćdziesiąt euro. Przed chwilą zgubiła dychę i jest wściekła.

W drodze powrotnej do domu wstępujemy do sklepu i za pieniądze z prostytutki kupujemy chleb, szynkę, ser, masło, herbatniki i czekoladę. Chcą mnie ugościć. Potem zaszywamy się w ich norze z ogrzewaniem rozkręconym na maksa i jemy razem niemal szczęśliwi. Przypominam sobie wówczas, że dzieci Frederica też są daleko, jak dziecko Vanesy, jak moje dziecko tej nocy. Opowiedział mi o tym kilka godzin temu, gdy szliśmy na porodówkę. Matka zabrała je do Brazylii i więcej ich już nie zobaczył. Dzisiaj wszyscy jesteśmy daleko od naszych dzieci. Zastanawiam się, czy leżąc w swoim małżeńskim łóżu, w którym nigdy nie będą mogli spłodzić wspólnego potomstwa, myślą o nich. Na przykład o Valery. Biorę gorącą kąpiel i przy okazji odciągam kolejną porcję mleka, które znika w odpływie. Dziewczyny z lasu mówią, że zaraz po powrocie do domu wchodzi pod prysznic, żeby poczuć się lepiej. Zasypiam na moim palcie w łóżku, w którym od czasu do czasu Vanessa zarabia na życie.

[14](#) Wieloznaczny termin będący odzwierciedleniem uwarunkowań historycznych, ekonomicznych, społecznych, politycznych i kulturowych życia w Peru. Jego podstawowe znaczenie to mieszaniec hiszpańsko-indiański, indiańsko-murzyński, również Indianin czystej krwi, a nawet Indianin wiodący życie białego człowieka. Często ma wydźwięk pejoratywny. Tutaj pieszczotliwe określenie używane w stosunku do bliskiej osoby (przyp. tłum.).

[15](#) Prywatna firma ochroniarska o szerokich uprawnieniach działająca na terenie całego Peru, w wielu wypadkach wyręczająca policję (przyp. tłum.).

[16](#) Homoseksualista w Peru (przyp. tłum.).

[17](#) Lesbijka w Peru (przyp. tłum.).

[18](#) Egzaltowany homoseksualista, który swoim ubiorem i zachowaniem naśladuje kobiety, ciota (przyp. tłum.).

[19](#) Sieć małych furgonetek spełniających rolę miniautobusów będących częścią transportu publicznego w Limie (przyp. tłum.).

[20](#) W więziennym slangu w Peru – lesbijka (przyp. tłum.).

[21](#) Rodowita mieszkanka Rio de Janeiro (przyp. tłum.).

[22](#) Osoba o małym, płaskim, szerokim nosie, charakterystycznym dla rasy czarnej (przyp. tłum.).

#TONIESIKI

BYŁY M CZEKA NA MNIE o piątej po południu w swoim mieszkaniu w centrum Barcelony. Jestem na miejscu kilka minut przed czasem. Wsiadam spanikowana z taksówki i dzwonię do niego. Tu Gabriela. Jestem na dole. Wejdź, odpowiada głos. Ogarnia mnie zwątpienie, patrzę za siebie, jakbym zaraz miała wziąć nogi za pas, ale nie uciekam. W windzie modłę się przede wszystkim, żeby był czysty, żeby nie był zbyt antypatyczny, żeby mnie nie zgwałcił, nie zamordował. Wyrzucam sobie, że mam chyba nie po kolei w głowie albo że mam jaja jak dzwony, albo bardzo małe neurony, myślę, ale za późno – dotarłam na miejsce i drzwi się otwierają. Wczoraj w nocy, jakoś przy czwartym drinku, opowiedziałam w barze, że pracuję nad reportażem w pierwszej osobie na temat kobiecej ejakulacji, ale że chyba nic z tego nie wyjdzie, bo nie znalazłam Ninja Squirt. Gość, który około dwa tysiące ósmego roku zyskał taką sławę, masturbując kobiety w przebraniu ninja, mutował w coś w rodzaju seksualnego terapeuty i teraz liczy sobie dwieście euro za sesję treningową. W mailu wysłanym z Tajlandii uprzedził mnie, że jeśli mam zamiar napisać artykuł, nie jest zainteresowany, lecz gdybym zechciała zainicjować „drogę do samoodkrycia”, możemy porozmawiać. Celem jego misji jest, jak napisał, pomóc „kobietom nawiązać łączność z najgłębszymi pokładami ich seksualności”, „uaktywnić pulsacje macicy, ich ośrodka władzy, i tym sposobem dać im siłę wykraczającą daleko poza seksualność”.

Nie miałam centa przy duszy i żadna gazeta nie zapłaciłaby mi za pielgrzymkę do mojego ośrodka władzy, więc tej nocy, przybita, sięgałam właśnie po ostatniego drinka, gdy M odciągnęła mnie na

stronę i opowiedziała mi z euforią o swoim byłym. Jest kimś w rodzaju guru „genitalnego spidermana”. Co? Tak, to specjalna technika masturbacji polegająca na wkładaniu palców ułożonych w taki sposób, w jaki Spiderman strzelał z nich pajęczyną, która rozpiniała się między budynkami. Uwierz mi, tryska z ciebie jak z fontanny. Były mąż doprowadził ją do wytrysku wiele razy, a wieść o jego niezwykłym talencie obiegiła cały barceloński seksualny underground (sic!) i okolice. Jest szybki i zabójczy, podkreśliła. Spytałam, czy nie zechciałaby mi towarzyszyć, ale dopiero co zerwali i nie czuła się na siłach, by popełnić podobną ekstrawagancję. Czego to się nie robi z miłości do dziennikarstwa, zakonkludowała M i zadzwoniła do byłego. Zgadza się, ale o siódmej musi być z powrotem w pracy.

Dlaczego niby muszę fatygować się do jakiegoś faceta, żeby mi to zrobić? Czy ejakulacja u kobiet to sprawa mężczyzn, sprawa ninja, zawodowców, specjalistów o długich palcach, kwestia siły, ręki, mięśni? Co takiego chcę sobie udowodnić? Jakaś część mnie, lubiąca sprawować nad wszystkim kontrolę, nawet nad moimi własnymi orgazmami, czuje się skalana, gdy pukam do tych drzwi, mimo to nie cofam się. Muszę się przekonać, czy to prawda, muszę trysnąć jak gejzer. Zaprasza mnie do sypialni. Facet jest dziwny, ale kamień spada mi z serca, bo przynajmniej nie wygląda na psychopatę. Prosi mnie, żebym usiadła na łóżku, sam podsuwa sobie krzesło. Rozmowa jest krótka, uwagi techniczne. Rozmawiamy o tym, że sytuacja jest nietypowa i że nie można wykluczyć, że nie będzie mi łatwo się podniecić. Prosi, abym rozebrała się od pasa w dół i położyła wygodnie na łóżku. Chcesz pieścić się sama czy wolisz, żebym ja to zrobił? Ty, mówię. Na tym etapie już mu ufam. Jestem bardziej gnuśna i sucha niż pustynia Atacama.

Znalazłam się w tej sytuacji, bo nie mam wytrysku. Nie moczę łóżka. Nie mam orgazmu ze spryskiwaczem. Nie zmieniam się w fontannę di Trevi, kiedy się pieprzę. Nie zraszam twarzy moich kochanków. Moje orgazmy należą do kategorii niebryzgających. Ta biblijna nieomal tajemnica, ta czarna dziura seksualności kobiet stanowi dla mnie od lat zagadkę mroczniejszą od Trójkąta Bermudzkiego. Co nie przeszkadza mi solidaryzować się

z odpowiedzią na ogólnoswiatową kampanię przeciwko *squirtingowi*, złotemu deszczowi, i wszystkim *water sports* razem wziętym, jak również na zakazy w Wielkiej Brytanii i na niedawne odkrycie naukowe – czy raczej głupi afront – zamykające sprawę konkluzją, że ejakulacja u kobiet nie jest niczym innym jak oddawaniem moczu. Podpisuję się pod światowym hasztagiem #notpee i zdjęciami zmoczonej pościeli, kałużami ejakuladerek na podłodze i dywanach jak świat długi i szeroki. Jest jeszcze coś. Kiedy pytam moją przyjaciółkę L, czy *squirtuje*, odpowiada: „Wystarczy mi orgazm. Może teraz mam się jeszcze zadręczać, że nie ejakuluję?”. To najzdrowsza opcja, jak mi się wydaje, ale ja nie jestem zdrowa i mnie to nie wystarcza. Jest w mojej naturze pewna tendencja do katowania się, głos, który szepcze mi bezustannie: „A jeśli jestem kobietą niekompletną?”. To tak jak być jedynakiem: nie w tym rzecz, że nie możesz żyć bez rodzeństwa, którego nigdy nie miałeś, ale zawsze będzie ci towarzyszyć uczucie, że coś straciłeś.

Czy wszystkie kobiety mogą osiągnąć wytrysk? Czy to kwestia fizjologiczna, czy może można to jakoś wyćwiczyć? Nie przypadkiem utkwiły mi w pamięci słowa mojej przyjaciółki MF: „Ja mam kapitalny orgazm, ale to drugie jest jak garniec złota pod tęczą. *Fucking* tęcza. Zorza polarna. Śmiejesz się jak jakaś kretyńka i lepiej nie wychodź na ulicę, bo masz jak w banku, że potrąci cię samochód”. Ale przytrafiło się to jej raz, raz w ciągu czterdziestu lat! „Może to jedno z tych doznań, które im rzadziej się przytrafiają, tym lepiej smakują”. Tak, jasne.

Od dłuższego już czasu zastanawiałam się, czy istnieje coś na podobieństwo Wielkiego Złocistego Orgazmu, orgazmu, który łączyłby szczytowanie z tryskającym strumieniem, kiedy oświeciła mnie w tej kwestii Elena, dziennikarka, przyjaciółka i aktywistka promująca *squirting*. Wyjaśniła mi, że osiąga go poprzez masturbację łechtaczki i odpowiednie uciskanie w strefie punktu G, „kobiecej prostaty”. Stamtąd gruczoły Skenego wydzielają płyn, który paskudzi pościel. Elena mówi, że czasem ma wytrysk i nie szczytuje, kiedy indziej zaś szczytuje i nie ma wytrysku. A czasem i to, i to jednocześnie. Orgazm i ejakulacja to dwie różne rzeczy, ale mogą iść w parze. Poczułam, że jestem blisko czegoś na kształt odpowiedzi.

Muszę wyznać, że pewnego razu widziałam Elenę, jak szczytuje i ejakuluje, i szczerze jej zazdrościłam. Poczułam się o wiele gorzej, niż gdyby opublikowała książkę lepszą od mojej.

A teraz jestem tutaj. Czuję się jak zepsuta maszyna, którą trzeba naprawić za pomocą młotka. Facet wkłada i wyjmuje palce. To strata czasu, myślę sobie. Uczucie jest dość nieprzyjemne. Gdyby zachciało ci się siku, nie powstrzymuj się, mówi. Przenoszę się na podłogę, jestem na czworakach. Niezawodna pozycja, twierdzi. Masturbuje mnie od tyłu. Uzmysławiam sobie, że z gramofonu leci jakiś hardcore. Niewątpliwie muzyka ambient, idealna dla jego dogłębnej i ciężkiej ofensywy. Szepcze mi uprzejmie do ucha: „W razie czego mam przygotowanego mopa”. Słyszę nieomal szczekanie mojej zębatej waginy.

Zawsze wydawało mi się podejrzanym, że tylko na filmach porno ze scenami *squirtingu* orgazmy kobiet są tak realne. Jakby rozkosz musiała być widoczna, żeby istnieć naprawdę. Jakby ekstazę można było zmierzyć albo porównać. Jakby w seksie nie chodziło o intymność, ale o spektakl. Ma to zapewne związek z mężczyznami płacącymi zawrotne sumy *squirtującym* prostytutkom. Z Cythereą, królową odrzutowego wytrysku i z pornograficzną fikcją. Również z mistrzami ejakulacji obu płci zbijającymi kokosy na składanych nam obietnicach „uwolnienia autentycznej kobiety, którą nosimy w sobie” za pomocą wodnego wytrysku.

Chce mi się siku. Czuję, że zbliża się coś bardzo dziwnego. Jakby mi coś pękło w środku. To coś rozpaczliwego, nie do zniesienia, coś, co nabiera tempa i nagle ustaje. Tak, to musi być to. Spomiędzy nóg wypływa mi płyn, transparentny i czysty, rozbryzguje się na podłodze, dokładnie w zasięgu mopa. „Nie było łatwo, przez chwilę myślałem, że nie dasz rady”, mówi. Ale nie doszłam. I pomyślałam tylko: Na co mi wytrysk, takie coś, jeśli na szczyt nie mogę dojść? Brzmi jak słowa piosenki.

Czuję, jak palce faceta wyslizgują się ze mnie, i myślę, że może któregoś dnia z bagażem zdobytej wiedzy wyruszę na poszukiwania orgazmu doskonałego, elektryzującego i wodnego. Może nie istnieje, może już go doświadczyłam, może nigdy nie nastąpi i przyjdzie mi, jak do tej pory, po prostu wilgotnieć, szczytować, będąc jedyną

prawdziwą kobietą, jaką mogę i chcę być. A może czeka mnie w przyszłości. W seksie zawsze jest jakiś nowy garnek złota pod tęczą, *squirting* albo może coś jeszcze bardziej spektakularnego. Prostuję się. Zanim mój masturbator przejedzie po podłodze mopem, zanurzam palec w płynie, wącham go, smakuję. To nie siki.

IM WIĘKSZA URODA, TYM GŁĘBSZA ZMAZA

SIERGIEJ PANKIEJEW PŁACZE PO RAZ PIERWSZY W obecności swojego lekarza. Nos mu nabrzmiwa i czerwienieje gwałtownie od spazmatycznego płaczu. To bardzo proste, uważa, że jego nos jest jak gromada wpatrujących się w niego białych wilków siedzących w bezruchu na drzewie rosnącym naprzeciwko okna. Zygmunta Freud gładzi brodę, gdy szlochający Pankiejew znowu mówi o swoim nosie, mrocznym i niekształtnym centrum jego twarzy. Dzisiaj nie myśli już wracać do wizji ojca penetrującego brutalnie jego matkę, nie chce nic wiedzieć o zdarzeniu z siostrą, która kiedyś ściągnęła majtki i powiedziała „częstuj się”, czy o wszystkim, co w swoich marzeniach chciał zrobić z angielską guwernantką, zanim ta odkryła, że ją podgląda, i zagroziła mu obcięciem kawałka penisa. Siergiej pragnie tylko jednego, aby białe wilki siedzące nieruchomo na gałęziach jak gołębie zniknęły, ale one tylko wykrzykują w jego stronę, że przypomina tę przekłętą fotografię Cindy Sherman, że jego twarz jest jak cyrk z kobietą-kurą, a nos, zwłaszcza nos, kupką gówna. Nieszczęsny rosyjski bogacz.

Cierpię na dysmorfofobię, na tę samą chorobę, która dręczyła Pankiejewa i którą daremnie usiłował leczyć Freud. Podobnie jak rosyjski arystokrata obsesyjnie przejmuje się każdym szczegółem, który uważam za defekt w budowie mojego ciała. Najbardziej niepokojące w takiej chorobie jest to, że defekt może być rzeczywisty lub urojony. Nie jest jasne, kto lub co definiuje, co jest prawdziwe, a co produktem chorej wyobraźni. To tak, jakby znaleźć się wśród potworów z naszych koszmarów, dzieci o dwóch twarzach,

niemowląt rodzących się z rodzeństwem w brzuchu i kotów o sześciu łapach.

Zło jest realne jak deformacja i gnicie.

Nikt nie wzgardzi mną równie szczerze jak ja sama. To jest mój triumf.

Głos wewnątrz to ciągle wyliczanie nieszczęść i barokowości: moje krzywe zęby, czarne kolana, grube ramiona, obwisłe piersi, małe oczy wciśnięte w dwa czarne worki sińców, błyszczący i pryszczaty nos, czarne jak u czarownicy włosy, okulary, załazek garbu, załazek drugiego podbródka, blizny, owłosione i pulchne pachy, plamista skóra usiana piegami i pieprzykami, małe czarne dłonie z poobgryzanymi paznokciami, brak talii, płaski tyłek, pięć kilo nadwagi, szczeciniaste owłosienie wzgórka łonowego, owłosiony odbył, wielkie brązowe sutki, obwisły i pokryty rozstępami brzuch. Brzmienie mojego głosu, mój oddech, woń mojej pochwy, moja krew, mój odór. A przede mną jeszcze starość. I rozkład.

W pewnym okresie rysowałam siebie, robiłam kolaże z wyciętych zdjęć, łączyłam części mojego niedoskonałego ciała z fragmentami ciał niewiarygodnie pięknie zbudowanych modelek. Na jednym z autoportretów mam rubin w sutku i ciało bohaterki komiksów erotycznych z lat siedemdziesiątych. Jestem wycinankową, trójgłową lalką, której odcięłam ciało i zostawiłam sukienki.

Wszyscy zakompleksieni ludzie są formalistami. Nietzsche ujął to tak: „(...) odzwierciedla się człowiek w rzeczach, to wszystko jest dlań pięknem, co obraz jego odbija. (...) Brzydotę pojmuję się jako zapowiedź i oznakę zwyrodnienia”²³. Z reguły uznaje się, że w naszym świecie istnieją brzydcy ludzie, ale nikomu nie przejdzie przez myśl, że mógłby należeć do tej grupy. W najgorszym razie to kwestia gustu czy punktu widzenia: albo piękno jest pojęciem subiektywnym, albo jego postrzeganie warunkuje epoka czy to, w jaki sposób rozumie je kultura zachodnia. Nikt nie chce być sympatyczny. Żadna kobieta nie chce być tylko miła. Niewiele jest rzeczy tak grubo pokrytych kurzem jak piękno wewnętrzne. Zdarzało mi się nie tak rzadko osądzać z dużym zaangażowaniem innych pod względem estetycznym, jakbym była nieomylną wyrocznią w tym temacie. Powszechnie wiadomo, że dla ludzi naprawdę pięknych to

nie jest temat do rozmowy – ludzie naprawdę piękni nie zdają sobie sprawy z tego, jacy są piękni – ale dla brzydkich też nie, dla nich to nie jest jakiś temat: to temat jedyny. W istocie rzeczy ktoś, kto nie mówi o fizycznym wyglądzie innych ludzi, choćby sam nie był specjalnie piękny, już tylko powstrzymaniem się od głosu może uważać się po trosze za ładnego. Tymczasem zwyczajnego człowieka, a nawet kogoś połowicznie pięknego, znacznie oszpeca mówienie o pięknie czy o brzydocie innych.

Oszalałam? Myślę, że niewielu osobom podobam się na pierwszy rzut oka, jest ich tak mało, że gdy mi się to przytrafia, jestem zaskoczona, co może być bardzo irytujące w świecie, w którym połowa ludzkości może pochwalić się historią miłości od pierwszego wejrzenia. Oczywiście, gdy już mnie poznają, wtedy tak, wtedy dostrzegają moje zalety, również te fizyczne, jak moje wielkie piersi, czarne jak węgiel i lśniące włosy, małe, dobrze zarysowane usta z tą szczyptą egzotyizmu i bezradności; zwłaszcza naga wyglądam jak świeżo pojmana autochtonka z amazońskiej puszczy, to dodaje pikanterii, pikanterii kolonialnej, tak właśnie mówią mi moi kochankowie albo przyjaciele, którzy niekiedy są brzydkimi geniuszami: uważam, że jeśli moi kochankowie lub przyjaciele są brzydcy, w jakimś sensie dotyka to również mnie, bo przy nich brzydnę jeszcze bardziej. To samo dotyczy mojego pisania. To, co piszę, zawsze czyni mnie brzydszą. Nie będę tutaj mówić o nienawiści, jaką żywię do pisarek, które nie dość, że dobrze piszą, to na domiar złego są okazami kobiecej piękności. Mam jedną zakopaną w moim ogrodzie. Piękno zabija. Dla Bataille’a pragnienie piękności jest równoznaczne ze zbrukaniem jej, „nie dla niej samej, tylko dla radości, jaką daje pewność, że ją profanujemy. (...) Im większa uroda, tym głębsza zmaza”²⁴.

Umberto Eco, brzydali bez żadnego ale, w swojej *Historii brzydoty* cytuje Marka Aureliusza – zwanego „mądrym”, a nie „pięknym” – by przyrównać piękno niedoskonałości „do spękanej skórki od chleba”. Za brzydką uważała się również Alejandra Pizarnik, argentyńska

poetka i samobójczyni. Pizarnik napisała: „Pragniesz być inna. Inna, którą jesteś, pragnie być inna”. To moje motto na Facebooku. Nigdy kilka słów (wyrwanych z kontekstu) nie wyjaśniło mnie lepiej.

Kochać pięknego mężczyznę i – co gorsza – być przez niego kochaną, nie jest wyłącznym przywilejem pięknych kobiet. W filmie Ettore Scoli *Miłosna pasja* przystojny kapitan włoskiej armii odkomenderowany do pilnowania granicy poznaje Lady Foscę (Valeria D’Obici), kuzynkę jednego ze swoich przełożonych, która wyróżnia się tym, że jest brzydka i cokolwiek niekształtna. Chorowita, histeryczna Fosca o kościstej i anemicznej twarzy, mysich uszach i długim nosie zakochuje się w przystojnym kapitanie. Piękna i bestia na opak.

Nie tylko jest brzydka, ale na dodatek cierpi z powodu swojej brzydoty. A nie ma na świecie innej rzeczy, której bardziej pragnęłaby brzydka kobieta, niż uroda. Jej narcyzm jest jak pragnienie, którego nie można ugasić, a jej wewnętrzny świat to ciemna dolina, dlatego pożąda kogoś, kto z technicznego punktu widzenia nie może tego jej pragnienia odwzajemnić. I osacza go. Dla niego gotowa jest się upokorzyć, jej oddanie jest rozpaczliwe i dzikie, jej pragnienie ją uwzniośla, można by nawet rzec, że czyni ją ładniejszą. Jej miłość jest przewrotna; jakiś dyletant mógłby ją nazwać samobójczą. W rzeczywistości Fosca pragnie być inna. Nie tyle kocha samego mężczyznę, ile jego urodę, i marzy o jej zawłaszczeniu, w ten bowiem sposób zdołałaby może ująć sobie nieco brzydoty. Piękny mężczyzna jest zwierciadłem, w którym ona się przegląda. Ale brzydka kochanka jest moralnym zwierciadłem pięknego mężczyzny. Bolesna sytuacja damy okazuje się magnesem dla współczującego i ślepo wielbionego mężczyzny. Niemal tak silnym jak pajęczyna, którą oplata go brzydula. I tak przystojny kapitan udziela jej wsparcia, dotrzymuje towarzystwa, opiekuje się nią, obdarza Foscę życzliwością, uwagą i spojrzeniami, których świat jej odmówił. Zanim ją poznał, był tylko pięknym mężczyzną, teraz jest istotą tragicznie wielką.

Być nicią przewodnią rozmowy, tematem, postem mającym wyzwolić lawinę publicznej drwiny.

Ktoś umieścił na anonimowym blogu zdjęcie, na którym siedzę na ziemi i jem banana. Pod zdjęciem jest trzysta dziewięćdziesiąt pięć komentarzy na temat mojej brzydoty i wszystkich mężczyzn, których podobno zaliczyłam, będąc w związku małżeńskim, a także stwierdzenia, jaką to jestem zdzirą w ogólności. Zdzira nigdy nie bolała mnie jakoś szczególnie, nie traćmy na to czasu. Ale tamto, tamto, ta oczywistość...

Kiedyś też nienawidziłam się w ten sposób.

Jeśli cielesne zaburzenia dysmorficzne są chorobą psychiczną, to czy wszystko jest tworem mojej wyobraźni? Czy jestem brzydka? A może w rzeczywistości jestem piękna? A jeśli to tylko twór mojej wyobraźni, to dlaczego ludzie o tym mówią, dlaczego piszą o mojej brzydocie? Dlaczego to jest temat do rozmowy? Dlaczego w takim razie kocha mnie piękny mężczyzna? Czy powinnam być piękna? Czy ludzie chcieliby, żebym była piękna, aby w ten sposób usprawiedliwić swój ból, swoje łaknienie, swoją nikczemność? Czy w tym przypadku jest to związane bardziej z moją nieczystością moralną czy fizyczną? Nie z tym, że byłam śliczna jak obrazek, jak mówili tata i mama? A może obie rzeczy naraz? Czy sfiksowałam, zadając sobie te pytania? Czy inni ich sobie nie zadają?

Narysowałam kiedyś obrazek zainspirowana zdaniem, które usłyszałam z ust kogoś, kto mnie kocha, pomimo moich zaburzeń, kompleksów, a może właśnie z ich powodu. Stwierdził: „Szkoda, że nie mogłem cię poznać, gdy byłaś małą dziewczynką, i powiedzieć ci: jesteś najpiękniejszą dziewczynką na świecie”. Na moim rysunku osoba ta podróżuje do przeszłości, odnajduje mnie, sadza na swoich kolanach i będąc dla mnie najpiękniejszym mężczyzną na świecie, szepcze mi do ucha to zdanie, a ja mu wierzę i nigdy już tych słów nie zapominam. I tak w tej alternatywnej historii mojego życia rosnę bez zaburzeń i nie zadaję już sobie pytań.

[23](#) Fryderyk Nietzsche, *Zmierzch bożyszcz, czyli jak filozofuje się młotem*, przeł. Stanisław Wyrzykowski, nakład Jakóba Mortkowicza, Warszawa, Kraków 1906, str. 81.

[24](#) Georges Bataille, *Erotyzm*, przeł. Maryna Ochab, „Słowo/Obraz Terytoria”, Gdańsk 2007, s. 140–141.

TRIO

NIGDY NIE POTRAFIŁAM BYĆ WIERNA. Odkąd odkryłam istnienie rozkoszy poza pretensjonalnymi ścianami łazienki, systematycznie łamię najświętsze pakt miłości. Początkowo przypisywałam to brakowi charakteru albo słabej umiejętności stawiania na swoim, by żyć z minimalną koherencją. Jak czerpać przyjemność z dobrego wiarołomnego seksu, nie poświęcając niedzielnych filmów i śniadania w łóżku? W jaki sposób zachować w odwodzie emocje potajemnych spotkań, nie wyrzekając się snu w objęciach kochanego i dającego poczucie bezpieczeństwa ciała? Jak żyć bez asa w rękawie? Przeklęty odwieczny głos szeptał mi przez całe lata: „Nie możesz mieć wszystkiego. Musisz wybrać”. Ale ja nigdy nie umiałam wybrać. Chciałam mieć wszystko. I daleka od obwiniania „społeczeństwa” czy „katolickiego wychowania” za moje sprzeczności, postanowiłam sabotować miłość, ten niedoskonały model, tę śmiertelną pułapkę, która skazała mnie nieodwołalnie na nędzę podwójnego życia. I tak rozpoczęłam wojnę partyzancką. Jeśli nie położono jeszcze zrębów pod prawdziwą rewolucję człowieka, za swój obowiązek uznałam pracę w pocie czoła na rzecz zmiany: spotykać się pokątnie z przypadkowymi kochankami, pisywać do nich zaszyfrowane listy i przeprowadzać zmasowane ataki na reakcyjne cele, czyli na moich partnerów. Poczułam się w roli niewiernej mścicielki walczącej o wolność ponad prawem. Z maską na twarzy, przyodziana w połatany lateksowy kostium wychodziłam nocami, by podkładać małe ładunki dynamitu pod mur monogamii. Wracałam o świcie bardziej samotna niż kiedykolwiek. I szczęśliwsza. Byłam niewierna wobec wszystkich, przez tysiąc i jedną noc. Byłam niewierna na

schodach, w autobusach, w dziesiątkach bezgwiazdkowych hoteli i pod rozgwieżdżonym niebem, na plaży, na parkingu, w muzeum, w przepaści, pod ich nosem. Byłam niewierna w Wielki Piątek, w Dzień Matki, w Boże Narodzenie, a nawet podczas zamachu stanu. Pijana, trzeźwa, zaraz po przebudzeniu i na chwilę przed snem. Byłam im niewierna z sąsiadami, ze szkolnymi kolegami, z kolegami z pracy, z byłymi chłopakami, z przyjaciółmi, z przyjaciółkami, z ich najlepszymi przyjaciółmi, z ich innymi ja, z fascynującymi nieznajomymi i ze zwykłymi nieznajomymi. Z sześcioma tego samego dnia, z dwoma tej samej nocy, z trzema w jednym łóżku. Nie dochowałam wierności żadnej z moich zdrad i oczywiście jeden ze zdradzonych został moim mężem.

Kiedyś Jaime opowiedział mi, że pierwszą książką, jaką miał w rękach, jeszcze zanim nauczył się czytać, był egzemplarz *Otella*, który przechowuje do dzisiaj. Mogę jednak zaświadczyć, że demon zazdrości, ta „zielonooka potwora, co sama z swej szczyty strawy”, nie miał dla niego konkretnej formy ani tak przerażającego wyglądu, dopóki nie poznał mnie.

Jaime jest poetą i chociaż usiłuje rozpaczliwie postępować jak istota racjonalna, zachowuje się zazwyczaj jak superbohater, którego jakiś tajemniczy czarny charakter pozbawił supermocy: jest pogrążony w myślach, nieprzenikniony, nigdy nie wiadomo, co naprawdę myśli; ktoś mógłby powiedzieć, że jest jednym wielkim workiem kompleksów, ale – co do tego nie mam żadnych wątpliwości – nie ma w nim cienia egoizmu. Jest szlachetny i prawdziwy. Odpowiada mniej więcej idei, którą podzielamy oboje, jaki powinien być mężczyzna. Przypuszczam, że dlatego jesteśmy razem.

W tamtym okresie trwałam w dogorywającym związku i Jaime został moim kochankiem. Ja natomiast byłam dla niego przypadkową przygodą, nigdy nie dał mi próbki romantycznego zainteresowania, dopóki nie zerwałam ostatecznie z jego rywalem. Poza tym Jaime był niewinny. To ja kłamałam, ja oszukiwałam. W taką wersję chciał przynajmniej wierzyć. Widział siebie w roli zwykłego zamiennika w mojej historii i było mu z tym całkiem dobrze. Ale wówczas wydarzyło się coś nieoczekiwanego: zakochaliśmy się w sobie.

Jeden z moich ulubionych pisarzy, Philip Roth, napisał: „Jeśli nie doprowadzają cię do szaleństwa nałogi twojego męża, sprawią to jego cnoty”. Rok po nawiązaniu naszej relacji Jaime i ja mieszkaliśmy razem. Byliśmy bardzo różni, ale postanowiliśmy oddać się bez reszty naszej małej, nowej rodzinie. Myślałam, że wraz z nią zamknęłam pewien etap, a przede mną otwierał się niezrozumiały i nieuchwytny raj monogamii. Jaime był wniebowzięty. W krótkim czasie przestał być cynicznym kochankiem, by zmienić się w opiekuńczego towarzysza. Nie można było oprzeć się wrażeniu, że masz do czynienia z jednym z tych aktorów zapewniających, że to rola, na którą czekali całe życie. Lecz wkrótce różnice między nami zaczęły stawać się coraz bardziej ewidentne. Moje fantazje, moje ekscesy, całe to rusztowanie, na którym do tej pory wspierałam swoją seksualną tożsamość, na Jaimego działały jak płachta na byka. Nie znosił w naszym łóżku żadnego obcego elementu, nawet gdy w grę wchodziła zwykła fantazja. Co prawda, ja też odczuwałam zazdrość; w gruncie rzeczy ogarniała mnie trwoga na samą myśl, że Jaime mógłby się zakochać w innej lub czuć się emocjonalnie związany z kimś jeszcze oprócz mnie. A u Jaimego te odczucia związane były prawie wyłącznie ze sferą seksu. Ponadto jego zazdrość była typową zazdrością, z której skręca się większość mężczyzn: obowiązywała z mocą wsteczną. To jest fenomen, którego nigdy nie zrozumiem. Kiedy ja prosiłam (zmusiłam niemal) Jaimego, by opowiedział mi szczegółowo o swoich poprzednich doświadczeniach seksualnych, pragnęłam tylko, by się nimi ze mną podzielił, by stały się również moimi. Dlaczego jemu sprawiało tak wielki ból samo wyobrażenie mnie sobie z innym? W kontekście mojej przeszłości Jaime czuł się jak biblijny Lot: gdyby spojrzał za siebie, mógłby zmienić się w słup soli.

Czytałam w jakiejś encyklopedii, że zazdrosny mężczyzna doświadcza o wiele silniejszego szczytowania i produkuje większą ilość spermy niż mężczyzna pewny miłości, jaką go obdarzają (z tego względu powinni mi podziękować za te bolesne orgazmy). Plemniki zazdrośnika są jak żołnierzyki z *Gwiezdnych wojen*, gotowe rozerwać na strzępy plemniki konkurencji. W grę wchodzi nie tylko pragnienie absolutnego posiadania czy poczucie wyłączności. To nie tylko

kwestia egoizmu. Nie wierzę również w istnienie wewnętrznego mechanizmu obrony, którym zawiaduje „geniusz gatunku”, jak twierdził ten kretyn Schopenhauer. Z całą pewnością zazdrość jest reakcją instynktowną, irracjonalną, ale jej fundamentem jest konstrukcja społeczna, którą wznieśliśmy jak betonowy gmach wokół kwiatka. Kobieta niewierna z natury gubi się ostatecznie – no i co z tego! – w labiryncie zazdrości i czuje, jak skacze jej do gardła kłamiwe serce na każdy ryk minotaura, tego zazdrośnika, który tłucze pokrwawionymi rogami w ściany wzniesionego przez siebie więzienia.

W gorączkowym labiryncie monogamii utrzymywaliśmy się jakoś przy życiu zadekowani pod dziurawą strzechą, aż tu nagle, ku naszemu zaskoczeniu, sprawy uległy zmianie.

Nie wiem, w którym dokładnie momencie łóżkowy żart o zaaranżowaniu trójkąta przybrał formę rodzinnego projektu. Nie wiem, jak to się stało: może we dwójkę czuliśmy się zbyt samotni. Pomysł trójkąta był jednym z moich wątpliwych wkładów w nasz związek. Bo gdy poznałam Jaimego, temat zazdrości już całkowicie kontrolowałam. To znaczy miałam już za sobą słodko-gorzkie doświadczenie oglądania po raz pierwszy mojego chłopaka z inną: jest to wrażenie równie nieprzyjemne, jak widok obcego człowieka korzystającego z twojej szczoteczki do zębów. Na widok ukochanych osób spółkujących z kimś, kto nie jest tobą, odczuwasz ból w okolicach żołądka (jak po zrobieniu pięćdziesięciu skłonów na mięśnie brzucha) i wiesz, że jest to jeden z tych pożytecznych bólów, które prędzej czy później wyjdą ci na dobre.

Zawsze byłam głęboko przekonana o zasadności niestawiania sobie granic, zwłaszcza w seksie. Nie pamiętam, jak do tego doszło, że zaczęłam partycypować w trójkątach, a potem stałam się ich gorącą orędowniczką; nie były jeszcze wtedy zbyt modne, nie kręcono seriali telewizyjnych czy filmów o trójkątach, a znani ludzie nie opowiadali o swoich doświadczeniach w tym względzie. Miałam szesnaście lat. Sypiałam z chłopakiem starszym od siebie. To on

pokazał mi po raz pierwszy film pornograficzny, w którym dwie milutkie blondynki zgodnie polerowały językami jednego penisa. W uznaniu pedagogicznych wysiłków chłopaka próbowałam wyrzucić na nim wrażenie czy rozpać go moimi historiami nastolatki. Lubiłam opowiadać o moim masturbacyjnym rytuale w domowej łazience. Czułam się niezwykle ważna, zdradzając mu szczegóły zabaw z koleżankami, zwłaszcza gdy odgrywałam rolę mężczyzny. W ten niewinny sposób praktykowałam po raz pierwszy pocałunki z językiem. Nie pamiętam nic bardziej ekscytującego w wieku dziesięciu lat, jak dni, w które jedna z koleżanek zostawała na noc w domu i udawałyśmy, że zasypiamy, by dotykać się po omacku, bez słowa, niby przez przypadek. Chyba tak to właśnie było, za sprawą tych odległych reminiscencji, tych baśni bajarek całujących się pod kołdrą pozwoliłam osobom trzecim wejść w ten upragniony i świeżo zdobyty pierwszy związek.

Nie zrobiłam tego, żeby się przypodobać i spróbować, choć może faktycznie chciałam spróbować i trochę się przypodobać. Tak czy owak, razem z tym pierwszym chłopakiem zaprosiliśmy którąś z moich koleżanek do naszego łóżka. Właściwie to my wskoczyliśmy do jej łóżka, do łóżka jej rodziców, ściśle rzecz biorąc, bo nie mieliśmy jeszcze własnego i byliśmy zbyt młodzi, żeby wynająć pokój w hotelu. Tamtego dnia, kiedy ujrzałam, jak się bezczęści to, co uważałam za swoją własność, moje niezbywalne prawo, poczułam z osłupieniem, że coś we mnie pęka na zawsze. Być może dawne przekonania. Nagle rozkosz bycia jedyną została zastąpiona przez rozkosz bycia jedną z wielu. Nie wiem, czy nie rozmiijam się trochę z prawdą, bo przecież nie byłam jedną z wielu, byłam oficjalną żoną, hrabiną Batory celebrującą rzeź dziewic. Nauczyłam się, że w miarę możliwości powinnam unikać sytuacji, w których byłabym tą trzecią. Z mojego biurokratycznego feudum w pałacu miłości mogłam decydować, z kim dzielić łóżko, komu użyczać mojego chłopaka, na jak długo i na jakie spektrum miłosnych działań się godzić. Sprawowanie kontroli nad tym, co działo się między naszymi ciałami, było moją prerogatywą i immunitetem.

Zawsze towarzyszy ci jakiś strach. Dlatego byłam jednocześnie i zła, i zbyt dobra. Byłam sadystką, byłam masochistką; nie

potrafiłam nazwać tej nowej wściekłości, tej nowej energii. Konfuzja, jakiej doznałam tamtego dnia, towarzyszyła mi we wszystkich późniejszych trójkątach. Ta konsternacja wypływa z faktu, że w chwili uprawiania miłości w trójkącie zazdrość i żądza ścierają się z równą dzikością. Niekiedy zazdrość zwycięża i pożera wszystko, co spotka na swojej drodze, niekiedy górą jest żądza. Po moim pierwszym trójkącie z kobietą zażyczyłam sobie trójkąta z dwoma mężczyznami. Była to dla mnie dość poważna sprawa. Mój chłopak był mi to dłużny. Rozpoczęliśmy poszukiwania i pewnej nocy, zalani w pestkę, poznaliśmy dwóch bardzo sympatycznych chłopaków, którzy poszli z nami na plażę, o nic nie pytając. Tamtej nocy kochałam się z dwoma nieznanymi, a mój chłopak przyglądał się akcji z bliska. Kiedy temat trójkątów masz już pod kontrolą, zaczynasz się czuć jak reżyserka gonzo filmu pornograficznego (podgatunek trójkąty), która usiłuje uatrakcyjnić obsadę.

Według Wikipedii trójkąt to *ménage à trois*, seks grupowy, w którym uczestniczą trzy osoby i który nie jest orgią. Jako reżyserka filmów o trójkątach musiałam być bardzo ostrożna. Nie chciałam, żeby moje usiłowania zmontowania *Julesa i Jima* skończyły się na *Trzech świnkach*. W pewnym okresie poświęciłam sporo czasu na dokonanie dziwacznych klasyfikacji znanych mi trójkątów. Próbowałam znaleźć doskonałą formułę trzech istot zebranych w celach mniej więcej przyzwoitych, jak, dajmy na to, trzej tenorzy: Domingo, Carreras i Pavarotti. Tak, jeśli seks jest kwestią numerologii, trójka to moja szczęśliwa cyfra. Trójka jest kontemplacyjna, przywodzi na myśl kosmos i nieskończoność. Bo trójkąt miłosny, ma się rozumieć, nie jest trójkątem geometrycznym. Nie posiada przeciwprostokątnej ani kąta prostego i można się domyślać, że między żadną ze stron nie dochodzi do konfliktu. Nie dysponujemy statystykami w tej kwestii, ale możliwe, że we Wszechświecie jest więcej trójkątów niż par, chociażby w większości przypadków jedna ze stron nie miała pojęcia, że jest częścią układu trójkowego, a nie dwójkowego. Gdy prawda wychodzi na jaw, wiele kobiet i mężczyzn niebędących liberałami ani z natury, ani z wyboru godzi się dzielić swoimi partnerami, by uniknąć nieuchronnego rozstania.

Kiedy poznałam Jaimego, urzeczywistniły się moje pragnienia odtworzenia w sposób nareszcie dojrzały i systematyczny nieśmiały, młodzieńczych doświadczeń z więcej niż dwiema osobami. Musiałam nalegać, ale też nie za bardzo. Gdy tylko dogadaliśmy się co do szczegółów (to znaczy gdy Jaime zyskał pewność, że zrobimy to wyłącznie z kobietami), wzięliśmy się do roboty. Jak widać gołym okiem, nie był to sprawiedliwy układ. W gruncie rzeczy zapiekła feministka mogłaby mnie za to ukamienować. Ale uwaga, nie można zapominać, że miałam na sumieniu imponującą, haniebną passę przyprawiania rogów, która musiała być w jakiś sposób odkupiona. Obdarowanie nowego ukochanego tonami glamourowej wolności, choćby tylko wewnątrz ustalonych przeze mnie granic, było moim paszportem do nieba. Poza tym należy wziąć pod uwagę jeszcze jeden czynnik, to mianowicie, że mnie, jak tylu innym kobietom, podobają się przedstawicielki mojej płci. Słyszałam, że nikt nie zna lepiej ciała kobiety jak inna kobieta. Ja tak nie uważam. Jeśli mężczyzna się postara, może osiągnąć tę samą maestrię. Kobiety nie łączą się w pary z tego powodu. To nie dlatego, że kobiety wiedzą, gdzie dotykać. Lubię od czasu do czasu zniszczyć mit pierwotnej pary i połączyć się z moją własną substancją. Wierzę w magię przeciwko Naturze. Ale ujmując to bardziej precyzyjnie, lubię czuć w innej kobiecie przymioty, które mężczyzna czuje we mnie. Łagodności, miękkości, giętkości, wszystkiego, co odgaduję w sobie samej (to, co inni mogą osiągnąć z uciechą, ale ja mogłabym poznać tylko za sprawą i łaską rozdzielenia lub jakiejś innej wolty science fiction), doznaję, gdy kobieta całuje mnie w usta.

Cóż, oboje szukaliśmy kobiety prawie dokładnie w tym samym celu. Nie wiedzieliśmy, gdzie znajdziemy tę bliźniaczą, trojaczą duszę, ale przeczuwaliśmy, że jest bardzo blisko. Kiedy ktoś żyje w „stanie trójkąta”, tkwiąc na dobre w trzecim wymiarze, nie jest to niemożliwe. Dlaczego by nie pokusić się o myśl, że jeśli są na świecie osoby poszukujące swojej drugiej połówki jabłka, to muszą też istnieć takie, które szukają jabłka całego?

W każdym razie znaleźliśmy kogoś takiego. Była moją przyjaciółką, z tych, na które zawsze mogłam liczyć w potrzebie. Nie należała do

osób szczególnie towarzyskich; w zasadzie gdy nie stroniła od ludzi, tryskała podłym, dość histerycznym, permanentnie sarkastycznym humorem. Mimo iż znałam ją dobrze, wciąż zaskakiwała mnie ta jej niezwykła agresywność, jaką przejawiała w najmniej oczekiwanych momentach. Myślę, że nienawidziła ludzi, ale nie mogła się z tym pogodzić, co wywoływało u niej ataki paniki i często zdarzało się, że nagle zastygała między ludźmi jak mumia. Prowadziła samotniczy tryb życia, chociaż wydawała się nie tyle bezbronna, ile przyparta do muru. I jeszcze jeden szczegół: według naszej wiedzy nie miała nikogo. Nie była może Anaïs Nin, ale my też nie byliśmy Henrym i June. Tamtej zimy zaczęliśmy widywać się z dużą częstotliwością. Umawialiśmy się co wieczór. Rozmawialiśmy o seksie i tylko o seksie.

Pierwszy potrójny pocałunek nastąpił w obskurnym barze w centrum miasta. Najpierw poprosiła Jaimego, żeby ją pocałował. Jaime rzucił mi rutynowe spojrzenie, którym upewniał się, że akceptuję rozwój sytuacji; potem ją pocałował. Potem pocałował mnie, a potem ją, potem pocałowałyśmy się obie, a potem ona i ja pocałowałyśmy jego. Potrójny pocałunek jest czymś tajemniczym, dopóki nie nastąpi. W istocie nasze usta złączyły się w geście przypominającym trzy kurczaczki walczące o jednego robaka. Z tym że nie wpadliśmy na to, że ów śmiertelny robak był czwartym bohaterem tej historii. I zaczynał pożerać nasze języki.

Na ogół trójkąt ma krótki żywot. Jest wyzwaniem dla matematyki serca. Nagła śmierć unosi się nad nim, nad jego niespokojnym snem. Przygoda w trójkącie raz od wielkiego dzwonu to jedna strona medalu, druga zaś, diametralnie różna, to próba nadania jej charakteru formalnego. Trójkąt w prawdziwym codziennym życiu to nie jest pornograficzny film trwający dwadzieścia cztery godziny na dobę. Chociaż ja, podobnie jak aktorki porno odczuwające dotkliwie skutki podwójnej penetracji w trójkącie mężczyzna–kobieta–mężczyzna, doszłam do wniosku, że bardziej mi odpowiada mniej forsowny trójkąt kobieta–mężczyzna–kobieta, to jest dwie kobiety, które stają się jedną, i mężczyzna, który wystarcza za dwóch.

Nagła śmierć unosi się nad trójkątem. Na przykład: Jaime prowadzi auto z prędkością stu kilometrów na godzinę, nie odrywając wzroku od lusterka wstecznego, podczas gdy ona i ja obdarzamy się

wilgotnymi pieścizotami na tylnym siedzeniu. Jesteśmy nagie, całujemy się z takim ferworem, że zdarza się nam ugryźć. Ona ma orgazm na ulicy X. Ja, gdy skręcamy w ulicę Y. To scena z realnego życia, zdarzyła się tamtej pierwszej nocy potrójnego pocałunku, ale można też traktować ją jak metaforę. Symultaniczność to utopia trójkąta. Ona mogłaby siedzieć za kierownicą, a my z Jaimem gzić się z tyłu. Mogłaby wówczas postanowić wyjść z samochodu i zostawić nas bez paliwa. Równie dobrze mogłabym prowadzić ją, a oni w tym czasie brudzić tapicerkę i zaparowywać przednią szybę. W tym przypadku mogłabym stracić widoczność i przyspieszywszy umyślnie, rozbić auto.

Saldo trójkąta jest tak nieprzewidywalne, jak saldo wypadku samochodowego (pas nie jest wystarczającym zabezpieczeniem). W wyniku potrójnego zderzenia prawie zawsze ginie jedna osoba, a dwie zostają ranne. Wkrótce zakochała się bez pamięci w Jaimem. Jej brak doświadczenia i zdeterminowana heteroseksualność sprawiły, że szala przechyliła się na tę stronę.

Ale najpierw była aborcja. Fatalna lekkomyślność całej trójki. Ona wiedziała, co trzeba zrobić, więc tamtego ranka poszliśmy razem z nią zrobić skrobankę. Usiłując przepłóścić smutek, żartowaliśmy, że moglibyśmy mieć to dziecko; dziecko naszej trójki z oczami Jaimego, jej skośnymi oczami i z jakimś detalem mojej pysznej osobowości! Mieszkalibyśmy pod jednym dachem i chodzilibyśmy z nim do kina na kolejne części *Harry'ego Pottera*. Ja, która byłam już kiedyś po tamtej stronie, doświadczałam teraz beznadziei aborcji w poczekalni jak facet, tylko czytając kobiece czasopisma i obgryzając paznokcie.

Kiedy było po wszystkim, poszliśmy na kolację, wypiliśmy dużo wina i obiecaliśmy sobie, że już nigdy nie pójdziemy do łóżka. W gruncie rzeczy bardzo się kochaliśmy. Kiedy ja i Jaime pobraliśmy się, noc poślubną spędziliśmy w trójkę.

Trójkąt ma zazwyczaj krótki żywot, ale niezależnie od dramatyczności finałowej sceny wykreowanej przez twoją wyobraźnię, nie umiera w dniu, w którym postanawiasz go uśmiercić. Pewnej nocy, kochając się w naszym cudownym, trzyosobowym małżeńskim łóżu, tak jak potrafią to robić tylko trzy osoby, wybuchła

nagle nieutulonym płaczem. Jaime był za nią i gdy się poruszał w górę i w dół, do mojego wzgóрка łonowego docierały echa ich wspólnych wstrząsów. Na koniec Jaime położył się na mnie. To wówczas nasza dziewczyna zaczęła płakać. Objęliśmy ją, ale na próżno. Myślę, że do tego czasu przerobiliśmy ten temat z tysiąc razy. To było tak, jakby nagle wszystkie przyschnięte powierzchownie rany, które jej zadaliśmy, bluznęły krwią na naszych oczach.

– Chcę już iść – powiedziała.

Jaime odwiózł ją do domu. Noc była szczególnie zimna. Ja zostałam w łóżku z tym idiotycznym uczuciem wdzięczności, że to nie ja (choć raz) musiałam spadać na drzewo. Poczułam to samo, co czuję, gdy z okna samochodu widzę na pustej ulicy nieznaną parę skaczącą sobie do oczu: ulgę, że to nie ja jestem tą dziewczyną. Byłam wdzięczna, że jest nas troje, nie dwoje. Że to nie ja byłam narzeczoną w tarapatach, tylko tą drugą, i że wystarczyła jedna osoba, żeby się tym zająć. I że tym kimś nie byłam ja. Byłam wdzięczna za tę chwilę samotności i za to, że miałam całe łóżko dla siebie i dla mojego smutku.

Jeśli ona była ofiarą, to czy my stawaliśmy się automatycznie jej oprawcami? Nigdy nie powiedzieliśmy nic, co choćby przypominało kłamstwo, ale w tamtym dokładnie momencie Jaime miał świadomość, że sama szczerość już nie wystarcza. Kiedy zatrzymali się pod jej domem, nie uczyniła najmniejszego gestu, który wskazywałby, że chce wysiąść z auta.

– Ty skurwielu – wrzasnęła na Jaimego, próbując go uderzyć.

W końcu Jaime, najtaktowniejszy i najlepiej wychowany facet, jakiego znam, wypchnął ją na ulicę i wrócił do domu.

Gdy ona odeszła na zawsze, pograżyliśmy się w samotności i rozpacz. Nasze łóżko stało się ogromne, bezkresne. Wówczas podjęliśmy decyzję o dofinansowaniu niszowego rynku prostytutek obsługujących pary.

W trójkącie zawsze jest dwójka ekshibicjonistów i jeden *voyeur*. Nie jestem zbyt pewna prawdziwych powodów mojego zamiłowania do przyglądania się Jaimemu kochającemu się z inną kobietą. Każdy *voyeur* posiada własne, wyrafinowane uzasadnienie. Odkąd zerwaliśmy na zawsze z prostytutkami, zorganizowaliśmy wiele

trójstronnych randek, za każdym razem na neutralnym gruncie, z dala od przyjaźni i bardzo daleko od miłości. Ze znajomymi lub obcymi wykazującymi zainteresowanie tą formułą. Czasem patrzę na Jaimego i naszego specjalnego gościa z kąta pokoju, ukryta w ciemności, i bojaźliwą dłonią sekunduję rozkołysanemu ruchowi ich ciał, jakbym dotykała grzbietu rozwścieczonego zwierzęcia. Oni wiedzą, że tam jestem, choć mnie tam nie ma. Udam niewidzialną. Nie masturbuję się, wyłącznie patrzę, pożądam w samotności. Przyglądam się im, bo w jakimś sensie w tej samej chwili łączę się z nimi, zdobywam władzę nad ich ciałami. Dla kogoś, kto nie lubi zbyt siebie, możliwość bycia kimś innym jest czymś fascynującym. Jestem jak zjawia szukająca żywego ciała, w którym mogłaby zamieszkać. Po każdym trójkącie z inną dziewczyną analizujemy z Jaimem przebieg spotkania. Wcielam się w postaci naszych gości, z ich imionami i sposobem bycia, jęczę jak one, naśladuję ich ruchy w łóżku, to, w jaki sposób przywierają do Jaimego i drżą wstrząsane dreszczami rozkoszy. Staję się nimi, znajduję ciała, w których mogę zamieszkać. Proszę Jaimego, żeby zwracał się do mnie, używając ich imion. Jak zwykle w takich sytuacjach to, co dla jednych jest chorobą, dla innych jest lekarstwem. Czasem w trakcie zabawy Jaime chwyta dłońmi moją głowę i mówi do mnie po imieniu, patrząc mi w oczy: „Gabriela”. A ja płaczę i nie wiem dlaczego.

ISABEL ALLENDE BĘDZIE PISAĆ Z ZAŚWIATÓW

DWUDZIESTEGO CZWARTEGO WRZEŚNIA 2012 ROKU po południu umierała Isabel Allende i wszystkie damy sądzące, że znały ją od zawsze, jakby każda linijka, która wyszła spod jej pióra, napisana była z myślą o nich, zapaliły aromatyczne świece na ołtarzykach w swoich pokojach i ułożyły energetyczne kamienie wokół egzemplarzy *Ewy Luny*. Moja matka, nie szukając daleko. Tragiczna wieść obiegła błyskawicznie całą planetę i tysiące osób podłączonych w tym czasie do Internetu wyraziło publicznie swój żal. A literacki świat rozpoczął przygotowania do złożenia pisarce hipotetycznego (i protekcyjnego) hołdu: „Miała niezłomne powołanie, dzięki któremu sprzedała miliony książek”. Albo „bardziej niż pisarką była kulturowym fenomenem”. Ale Allende zmarła tylko na Twitterze, jak tyle innych osób umierających dzisiaj, zanim śmierć się o nie upomni. Kilka minut później zmartwychwstała w tym samym miejscu, w którym straciła życie. „Konam, ale ze śmiechu”, napisała na swoim koncie.

Jaką spuściznę pozostawiłaby po sobie Allende, gdyby rzeczywiście zmarła owego wrześniowego popołudnia? Syna, męża, troje wnuków, suczkę, kilka bestsellerów i podzielaną przez większość krytyków literackich opinię, że najbardziej poczytna pisarka hiszpańskojęzyczna jest słabą pisarką. To musi być zabawne mieć hejterów tej miary, co Bolaño lub Poniatowska. Isabel Allende skończyła siedemdziesiąt lat. Jej śmierć w związku z tym staje się czymś prawdopodobnym nawet dla niej, mimo iż – podobnie jak

w niektórych jej książkach zamieszkanymi przez duchy – dla autorki *Domu duchów* śmierć nie jest końcem.

– Żyję zawsze z myślą, że to, czego doświadczam, jest jedynie częścią rzeczywistości – powiedziała mi w dniu, w którym poznałam ją w Meksyku. – Istnieją tysiące wymiarów, do których nie mamy dostępu.

Isabel Allende wierzy, że wszystko jest możliwe. Kiedy zjawia się na lotnisku w mieście Meksyk, nie możesz przestać myśleć o jednym, choćby zawodowa część twojego mózgu broniła się przed tym ze wszystkich sił: Isabel Allende jest niższa, o wiele niższa, niż to sobie wyobrażałeś. Ubrana jest na czarno, ma niebosiężne szpilki, długie kolczyki, złote naszyjniki i torbę, która zawieszona na ramieniu wydaje się niewspółmiernie wielka. Ma w sobie dużo kokieterii. Jej namiętność do dodatków rzuca się w oczy: uwielbia chusty na szyję, indyjskie tuniki, biżuterię. Później się dowiedziałam, że sama robi pierścionki, bransoletki, łańcuszki dla przyjaciół. Oczekiwanie na literacką sławę rozdziera cię na pół. Najbardziej profesjonalna część twojego mózgu opowiada się instynktownie po stronie krytyki, uświęconej literatury. Cała zaś reszta pragnie rzucić się do nóg show-biznesu. Bardzo niewielu pisarzy osiąga sławę. Jest niezaprzeczalnym faktem, że nikt, kto pragnie sławy, nie powinien myśleć o pisaniu książek. Ale jej się to udało, podobnie jak Stephenowi Kingowi, Garcíi Márquezowi czy J.K. Rowling. Ujrzyć Allende na żywo, to tak jak zasiąść w kinowym fotelu z torbą popcornu w ręku: rozrywka murowana. Zostałyśmy zaproszone na kongres zatytułowany *Doświadczenie intelektualne kobiet w XXI wieku*. Nazajutrz wieczorem ma wystąpienie. Powinna przyjść pół godziny przed swoim mistrzowskim wykładem, żeby można jej było zrobić makijaż.

– O nie, nikt nie będzie mnie pacykował – stwierdza kategorycznie.
– Nie chcę wyglądać jak Kaplica Sykstyńska.

Drugą rzeczą, o której nie możesz przestać myśleć, gdy poznajesz Isabel Allende, jest to, że zachowuje się tak, jakby świat był sceną, na której ona w swoich strzelistych szpilkach wchodzi na stół, aby wyglądać na jeszcze wyższą i by nas rozśmieszać. Zazwyczaj robi to, śmiejąc się z samej siebie. W kilka minut potrafi obwieścić

publicznie, że: „jeszcze potrafię uwieść mojego męża pod warunkiem, że znieczuli się trzema kieliszkami wina”, „miałam erotyczny sen, w którym Antonio Banderas leżał nagi na tortilli, pokryty chili i guacamole”, „wyszłam za mąż za penisa” albo, jak miała mi powiedzieć w drodze do hotelu, „na szczęście mam męża, bo w przeciwnym razie byłabym zmuszona zamieścić ogłoszenia w sieci w stylu: «Latynoska babcia, siedemdziesiątka na karku, niskiego wzrostu, szuka bratniej duszy». Zgroza! Nikt by nie odpowiedział!”. I ostrzega, że do jutra nie odpowie na żadne pytanie.

Z okien samochodu, który odebrał ją z lotniska, Allende patrzy na przedmieścia *chilangos* i usiłuje sobie przypomnieć, co robiła podczas ostatniej wizyty w Meksyku. Obserwuję jej profil odcinający się na tle szyby i wybiegam myślami w przyszłość. Dla osoby takiej jak ja, lękającej się bardziej zniknięcia niż śmierci, przebywanie w jej obecności to jakby znalezienie się u boku nieśmiertelnej istoty lub przynajmniej kogoś, kto nie zniknie w wyniku takiej błaźniny jak śmierć. Myślę też o mojej mamie i o tym, co musiała przeżywać, gdy zaczęła krążyć pogłoska o śmierci Allende. I nie chcę się do tego przyznać, ale bardzo możliwe, że w jakimś sensie uważam nawet Isabel Allende za moją mamę, ma coś bowiem z miłej i ujmującej pani, w którą wolałabym się nie zmienić. Może to z powodu apaszek na szyi, długich kolczyków i szamańskiej aury. A może nie chcę stać się elegancką i dystygowaną kobietą, chociaż nią jestem czy będę. Allende przyleciała do Meksyku w towarzystwie wysokiej, bardzo szczupłej, bladej i dyskretniej kobiety. To Lori Barra, szefowa Isabel Allende Foundation, żona Nicolása Fríasa, jedynego syna pisarki, rodzaj amerykańskiego alter ego, której relacjonuje w języku angielskim wszystko, o czym rozmawiamy.

Książki nie są dla ludzi tym, czym są w opinii krytyków. Przypuszczam, że nie jestem jedyną, która czytała Allende z winy swojej matki. Na jej nocnym stoliku zobaczyłam książki, których nie chciała mi pożyczyć, musiałam je zwędzić (jediną powieścią, jakiej nie mogłam przeczytać, była *Paula*, bo dostałam na nią szlaban, chociaż widziałam, jak zalewając się łzami, czytała historię matki, której umiera córka). Natomiast Garcíę Márqueza dał mi do czytania tata, abym mogła zasmakować wielkiej literatury. Żaden z tych

nurtów nie usunął w cień drugiego. Zawsze bardzo dobrze rozumiałam, czym jest każdy z nich, i w tych różnych obszarach wyobraźni i uczuciowości pozostają do dzisiaj. Jak nie kojarzyć moich lektur z doświadczeniami z tamtego okresu? Oczywiście, gdy zaczęłam studiować literaturę i ja zawołałam: „Isabel Allende to literatura drugorzędna”, i poczułam się bardziej inteligentna. Rozmyślania, jakim oddaję się u jej boku, gdy dojeżdżamy do hotelu, sprawiają, że rośnie we mnie napięcie. W jaki sposób przełamać lody, jeśli prosiła, bym zamilkła? Posuwamy się wolno w gęstym ruchu D.F., gdy profesjonalna część mojego mózgu słyszy, jak zadaje jej pytanie.

– Ile masz wzrostu?

– Metr pięćdziesiąt – odpowiada. – Teraz wszyscy są o wiele wyżsi. Kiedy byłam młoda, ludzi było dużo mniejsi.

I zaraz Isabel Allende performerka, stand-uperka, showgirl, dodaje: „Jedynym miejscem, w którym czuję się dobrze, jest Tajlandia, bo w Stanach Zjednoczonych, gdzie mieszkam, zewsząd otaczają mnie wielkoludy. Łącznie z moimi wnukami”. Mówi z nieskalanym chilijskim akcentem, wypowiada słowa z tą samą zawrotną prędkością, z jaką płynie jej potoczysta, żwawa proza. „Mamy te same geny, ale nie wiem, może to kwestia jedzenia. Kiedy jestem na jakimś koktajlu, widzę jedynie włosy w nosach facetów, w tak niskich rejonach się obracam, wszystkie krewetki spadające z talerzy lądują na mojej głowie. Niskim ludziom nie jest lekko w tych czasach”. Teraz ona mówi i zadaje pytania, sprytna: jeśli chcesz zamknąć usta komuś dociekliwemu, zbombarduj go pytaniami. Pyta, czy mam dzieci. Ja pytam o jej wnuki. Prosi, by jej pokazać zdjęcie mojej córki w telefonie. Ot, zwykła rzecz, dwie panie zabijające czas podczas jazdy samochodem. „Jaka śliczna!”, mówi. Ale ona nic mi nie pokazuje.

Isabel Allende jest dla hiszpańskojęzycznej literatury tym, czym Shakira dla latynoskiego popu: obie mają pogodne i chwytliwe przeboje zawierające jakieś dogmatyczne mniej więcej przesłanie

oraz fanów wypełniających stadiony. Pop, ta manifestacja ulotności, paradoksalnie zapewnia Allende nieśmiertelność. Nie ominęły jej w życiu nieszczęścia, ale ona sprawia wrażenie, że swoją misję niesienia rozrywki traktuje bardzo poważnie. Zdaje się cieszyć bezkarnością pozostającą wyłącznie w zasięgu jednostek, które urodziły się z darem pozwalającym im bawić nieprzebrane tłumy. Allende jest bowiem nie tylko częścią wielkiego przemysłu rozrywki – to jej życie. Gdy ktoś ją odwiedza w jej kalifornijskiej posiadłości z zapierającym dech w piersiach widokiem na zatokę San Francisco i pyta, czym zamierza się zajmować przez ostatnie lata życia, odpowiada zawsze tak samo: „Pisaniem książek”. Nie można wykluczyć, że po śmierci Allende będzie pisać z zaświatów.

Allende jest łatwym celem dla strzegących kanonów powieści. Możliwe, że tylko nieliczni spośród krytyków autorki są gotowi przyznać, iż gwałtowność ich ataków bierze się z uprzedzeń: kobieta o pochodzeniu burżuazyjnym, autorka feministycznej kolumny w magazynie mody na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, bez wykształcenia akademickiego i o ograniczonej kulturze literackiej, zaczyna publikować powieści w wieku czterdziestu lat, z autobiografii tworzy znak firmowy, a jej książki znikają z supermarketowych półek. W świecie, w którym najbardziej idiotyczne rzeczy są zwykle najbardziej popularne, pięćdziesiąt milionów sprzedanych egzemplarzy może tylko budzić podejrzenia.

Ale postaw się w jej sytuacji: pomyśl przez chwilę, że nazywasz się Allende w Chile, wyjedź na emigrację, rozwiedź się, wychowaj dzieci, żyj podwójnym życiem, poświęć się dziennikarstwu i pisaniu powieści, bądź częścią tego pokolenia latynoamerykańskich kobiet, które robiły wszystko naraz, i odnieś sukces w długim cieniu boomu, w którym nie było ani jednej prawdziwej pisarki, wyłącznie wiernopoddańcze żony, które robiły wszystko i wszystko robiły dobrze, aby ich mężowie mogli skończyć swoje książki i pewnego dnia zdobyć Nagrodę Nobla. Znajdź w sobie odwagę, by na

południowym krańcu kontynentu pisać o emocjach i seksie zamiast o tunelach i labiryntach. I wówczas aspiruj do wieczności.

A teraz spróbuj podtrzymać literacką karierę przez trzydzieści lat z podobną wydajnością i takim samym powodzeniem. Spróbuj tego, publikując w dodatku dobrze napisane powieści. Bo powieści Isabel Allende takie są: jest w nich głos i wyobrażenia karmiące się doświadczeniami zgoła nieksiążkowymi. Isabel Allende konstruuje swoje opowiadania wokół prostoty i czasem popada w ckliwość, nie stroni od jedwabnej koronki, ale jej ekspresja czerpie siłę z bogactwa rodzinnych relacji, z komedii i dramatu codzienności, ze znajomości jednej ze stron kobiecego kosmosu, przyjmując niekiedy wydźwięk humorystyczny i demaskatorski, jak to ma miejsce w *Domu duchów*. Kiedy indziej, jak w *Ewie Lunie* i *Niezgłębionym zamyśle*, potoczność i pomysłowość jej prozy czynią ją bardziej przystępną i konfesjonalną. W książkach Allende historię zastąpiła pamięć i nareszcie wydaje się, że seks jest częścią domowego ogniska, a nie tylko królestwem poetek ciała. W *Pauli*, kronice oczekiwania na wybudzenie się ze śpiączki córki, być może najlepszej z jej książek, opisuje cierpienie męża czuwającego przy łóżku ukochanego, lecz nieodwołalnie umierającego dziecka. U Isabel Allende świadomość człowieczeństwa osiąga pułap, do którego nie dostaje jej język. Rezultat tej przygody już znamy: niewielu pisarzy potrafiło stworzyć tak solidną relację z milionami czytelników jak Allende, relację opartą na jakimś tajemniczym i uzależniającym odbiorcę składniku przepajającym stronicę jej powieści, którego przenikliwy rynek nie omieszkał uczynić artykułem pierwszej potrzeby na przestrzeni tych wszystkich lat, mając w pogardzie jakąkolwiek logikę, z wyjątkiem logiki rządzącej tą bliską i nierozzerwalną więzią między odbiorcą i autorem. Isabel Allende nie jest Virginią Woolf, nie jest Clarice Lispector, nie jest Alice Munro, ale nie jest również autorką bestsellerów w stylu Dana Browna – i jego prostackiej, ezoterycznej wizji kryminału – na którego nie rzucono nawet połowy gromów, jakie spadły na jej głowę. Ale Brown już prawie nie istnieje. Tymczasem Allende przejdzie do historii, choćby nie była wieczna. Jak długo może cieszyć się popularnością znany pisarz po publikacji ostatniego hitu? Na tegorocznym kongresie tylko-dla-kobiet

usłyszałam nazwiska, których nie słyszałam od lat: na przykład Meksykanek Laury Esquivel i Ángeles Mastretta. I od razu pomyślałam: „To one jeszcze żyją?”. Wczoraj widziałam autorkę prawdziwych bomb komercyjnych jak *Wydrzyj mi serce* i *Mal de amores* (za którą Mastretta otrzymała nagrodę Rómulo Gallegos) przechodzącą korytarzem w Palacio de Bellas Artes. Na widok jej twarzy o wydatnych kościach policzkowych, troskliwej fryzury prosto z salonu piękności i wolno poruszającej się kruchej postaci odniosłam wrażenie, iż znalazłam się z powrotem w latach osiemdziesiątych. W Wikipedii można przeczytać, że publikowała kolejne książki. W ostatnim dwudziestolecu dwudziestego wieku te trzy pisarki uznawano za najbardziej słyszalne głosy tak zwanej „literatury kobiecej” – rodzaju odnogi prawdziwej literatury ze skłonnością do kiczu i sentymentalizmu – której Isabel Allende była bez wątpienia najważniejszą eksponentką. Po tych złotych latach tendencja, jak się wydaje, umarła z przesytu i tylko Chilijka nie opuściła pierwszych miejsc w rankingach sprzedaży. Odniósłszy sukces *Przepiórkami w płatkach róży*, Esquivel zaszyła się w pałacyku na przedmieściach D.F., a po jakimś czasie wystartowała w wyborach parlamentarnych. Teraz prowadzi warsztaty i pisze książki w stylu *12 kroków do szczęścia*. Kilka lat po tamtej gargantuicznej konsumpcji przepiórek Allende wydała własną książkę o seksie i kuchni: *Afrodyta*, spis recept pomagających w znalezieniu idealnego kochanka lub – innymi słowy – książkę z gatunku tych, które z punktu skazują pisarza na wygnanie z literatury pisanej wielką literą.

Nazajutrz po przybyciu do stolicy Meksyku Isabel Allende już na mnie czeka, perfekcyjnie umalowana jak wczoraj, gdy wysiadła z samolotu. Kilka minut później siedzimy wygodnie w salce z wi-fi przy amerykańskim śniadaniu z bakalią, rozmawiając na temat przyczyn, dla których kobiety tak bardzo utożsamiają się z jej historiami i z optymistyczną wizją świata, gdzie relacje i emocje bohaterów są najważniejsze. Kiedy poruszam temat jej zawodowych

nienawistników, powtarza zdanie, które tyle już razy słyszeliśmy z jej ust, jak to przymiotnik „kobiecy” przyczynia się do obniżenia produkcji literackiej kobiet walczących od lat z segregacją. Nade wszystko chciałabym wiedzieć, co czuje, będąc osądzana nie przez krytyka, co jest względnie łatwe do zniesienia, ale przez innego pisarza czy pisarkę, zwłaszcza jeśli owi autorzy cieszą się wysokim prestiżem.

– Ze złą krytyką radzę sobie tak samo jak z sukcesem – odpowiada tonem, który z rutynowego i obojętnego staje się energiczny i dumny. – I konstatuję, że o dziwo, Elena Poniatowska nie wyraża swojej opinii o innych pisarzach. Dlaczego w takim razie wypowiada się na mój temat? Bo sprzedają książki.

Menedżerowie goszczący w hotelu mogliby pomylić Poniatowską z jakąś rosyjską tenisistką.

– Mówienie o mnie czyni ją bardziej widoczną – kontratakuje Allende. – Nikt nie spytałby Poniatowskiej, co sądzi o moich książkach, gdyby nie fakt, że się sprzedają. Bolaño? Nigdy nie powiedział o nikim dobrego słowa. Był bardzo dobrym pisarzem i okropnym człowiekiem.

Gwoli ścisłości, Bolaño nazwał ją „literacina”. Szydzenie z Isabel Allende nie jest oznaką inteligencji, lecz częścią latynoamerykańskiego folkloru literackiego.

– Są ludzie, którzy mówią, że jestem geniuszem, czy powinnam w to wierzyć? Ja mam do wykonania pracę. Na tym kończy się moja odpowiedzialność.

Tutaj Isabel Allende poważnieje. Ale nie całkiem.

To prawda: Isabel Allende nie pozwala nikomu robić sobie makijażu. Tak powiedziała wczoraj na lotnisku i utkwіło mi to w głowie jako dowód czegoś. Ale ten drobny przejaw buntu mówi nie tyle o jej zaprawionym w feminizmie zaangażowaniu w walkę przeciwko dyktaturze urody, ile o jej kobiecej próżności: Allende maluje się sama, „bo wie najlepiej, jak podkreślić swoją urodę”. Obserwuję ją, jak przeglądając się w małym lusterku, dokonuje nieznaczących

poprawek. Za kilka godzin w Palacio de Bellas Artes wygłosi przed setkami osób swój mistrzowski wykład. Jednym z gości będzie prezydent Meksyku z małżonką. Za trzydzieści minut w tej sali udzieli specjalnego wywiadu na żywo dla programu informacyjnego, dlatego przypudrowuje sobie nos. Ma na sobie pomarańczową bluzkę, spódnicę i czarny rozpięty sweterek. Przygotowuje się. Mówię jej – szczerze – że wygląda wspaniale.

– Pomimo wieku trzymam się bardzo dobrze, a to kosztuje majątek! Ale nie jestem niewolnicą mody – zaznacza. – Strasznie mnie irytuje głupota kobiet, które myślą, że ich życie ulegnie zmianie, bo przefarbują sobie włosy na inny kolor.

Czubkami palców muska ufarbowane na kasztanowo włosy, by nadać im kształt lekkich fal. Modeluje je na uszach. Swoją drogą dzisiaj jest Dzień Kobiet i spędzenie go u boku Isabel Allende jest logiczną formą jego świętowania. Fundacja, solidarne i rewindykacyjne projekty pisarki na rzecz kobiet obligują ją do uczestnictwa w konferencjach przez sześć miesięcy w roku.

– Mając taką władzę i takie możliwości – konkluduje – zamiast pomagać zmieniać warunki życia kobiet na lepsze, nakładają im jarzmo uwarunkowań estetycznych.

Allende mówi to z głębokim przekonaniem, co nie przeszkodziło jej jednak zoperować się kilka lat temu. Naciągnęła skórę na twarzy i wyeliminowała niektóre zmarszczki.

– Tak, a co to kogo obchodzi? Oczywiście, że zrobiłam sobie operację plastyczną. I gdybym nie przyrzekła synowi, że już nigdy więcej, zrobiłabym to jeszcze raz.

Isabel Allende mówi o swoim jedynym i rozpieszczanym synu tak jak o zazdrosnym i kontrolującym mężu.

– Mój syn krzywi się, nawet gdy się maluję – stwierdza. – Ale na tym kończą się jego wpływy.

Mimo wszystko pisarka jest kobietą klasyczną, która choć wychowana na panienkę z dobrego domu, ciężko pracowała, aby wyzwolić się przez literaturę. Teraz odczuwa potrzebę usprawiedliwienia syna i jego awersji do makijażu.

– Dla niego to przejaw próżności, której nie cierpi. Moja synowa się nie maluje i spójrz, jaka jest ładna – mówi, pokazując na drugi

koniec sali. – Chodzi do fryzjera tylko dwa razy w roku. Cały mój syn: lubi jej prostotę i naturalność. Ja jej mówię: „Lori, nie zaszkodziłaby ci odrobina szminki”. Ale on za tym nie przepada.

Allende jest zbuntowaną babcią, która staje się na powrót małą dziewczynką w obliczu autorytetu syna.

– I zoperujesz się znowu?

– Teraz nie, ale może za pięć lat zrobię coś jeszcze z twarzą. Z operacjami trzeba uważać, bo co ci po naciągniętej twarzy, jeśli nie można operować rąk, jeśli ledwo zipiesz i chodzisz jak babuleńka?

W jej słowach pobrzmiewa obawa przed przyszłością, a może pewność, że wcześniej czy później ją czeka to samo. Jeśli dotrzyma słowa danego synowi, od tej pory jej wygląd będzie modelował tylko czas.

– Nie ma nic głupszego, jak te kobiety w Los Angeles, ponaciągane, jakby dopiero co wyszły z magła, a przecież widać, że to starowinki – prycha. – Trzeba mieć trochę zdrowego rozsądku.

Allende mówi, że jej życiowa filozofia zrodziła się w okresie, gdy pracowała w „Pauli”, czasopiśmie dla kobiet, w którym jak w żadnym innym współistniały tematy lekkie i ważne, moda i problemy kobiet.

– Od tamtego czasu nie zapominam, że jestem kobietą, że jestem sexy i że jestem feministką. Okazuje się, że można.

Trudno znaleźć pisarza, który byłby oddanym czytelnikiem Isabel Allende. Gdy otrzymała Krajową Nagrodę Literatury Chilijskiej, niektórzy z jej kolegów po piórze i rodaków zareagowali oburzeniem. Pisarz Alejandro Zambra stwierdził na przykład, że to tak „jakby dać Nobla Paulu Coelho”. Kto będzie pamiętał o jej twórczości, gdy odejdzie? Dla kogo pisze Isabel Allende? Z pewnością nie dla argentyńskiego pisarza Patricia Prona. Autor *El mundo sin las personas que lo afean y lo arruinan*²⁵ (cóż za adekwatność!) uważa, że nie warto czytać Allende.

– W swoich książkach eksploatuje najbardziej znane techniki i formy boomu – postępowego w swoich założeniach projektu kulturalnego i literackiego – i zaprzęga je w służbę konserwatywnej

wizji świata, zgodnie z którą latynoamerykańskość – czymkolwiek by była – można przeżywać wyłącznie na jeden sposób, a jeśli się jest kobietą, tylko z perspektywy kuchni.

Pron zapowiedział, że opublikuje tę odpowiedź na swoim blogu z recenzjami książek w zakładce *Pytania od czytelników*.

– W tym znaczeniu Allende jest jak jeden z tych złodziei ciał z filmów science fiction z lat pięćdziesiątych – dodaje. – Albo jak monstrualna taenia zjadająca swojego żywiciela od środka.

Gdyby ktoś pokusił się o wydanie antologii zatytułowanej *Wiekopomne chwile krucjaty przeciwko Isabel Allende*, krytyka Prona powinna by tam znaleźć swoje poczesne miejsce – wizja pisarki zombi i krwiopijcy. Ale – gwoli sprawiedliwości – twórczość Allende nie rozwijała się na bazie jednej tylko recepty: swoją wersję realizmu magicznego zawarła zaledwie w dwóch pozycjach – jej adwersarze powołują się i usiłują postawić ją pod mur za jedno tylko dzieło – eksplorowała takie gatunki, jak pamiętniki, powieść kryminalną, historyczną, a nawet młodzieżową. Nieścisłością byłoby przykleić tej twórczości etykietę romansu, bo w odróżnieniu od Corín Tellado i jej naśladowczyń, bohaterki fikcji Allende – do których zaliczam samą autorkę – to kobiety, które nie tylko przeżyły rewolucję seksualną, zdobyły niezależność, czytały Simone de Beauvoir i stosowały pigułkę antykoncepcyjną, ale również wpłynęły na własną rzeczywistość.

Drogą mailową zwróciłam się do dziesięciu autorów z prośbą o ich opinię na temat Allende. Szczerze mówiąc, dopuściłam się nieco manichejskiej selekcji ich profili, aby otrzymać garść „różnorodnych” czy – jak to nazywałam w cichości serca – „korzystnych” opinii. Nawet pisarze, a zwłaszcza pisarki, których uważałam za ideologicznie najbliższych Allende, odpowiedzieli, że nie czytają jej książek czy też że ich one nużą, chociaż publicznie nigdy nie odważyliby się do tego przyznać. Czy dlatego że darzą ją sympatią, czy dlatego że w końcu to bardzo nieelegancko wypowiadać się nieprzychylnie o odnoszącej sukcesy koleżance?

Santiago Roncagliolo, „pisarz mężczyzna”, którym tak pogardzano w Peru, jakby był „pisarzem kobietą”, i który sprzedał tysiące

egzemplarzy powieści *Czerwony kwiecień*, również ma swoją opinię o niej.

– Generalnie szanuję bestsellery. Nie jest łatwo chwycić za serca miliony czytelników na całym świecie i gdy się to komuś udaje, mogę tylko wyrazić swój podziw, nawet jeśli nie jest to typ literatury, którą lubię czytać.

Pośród pozaliterackich cnót Isabel Allende, których jest bez liku, Roncagliolo wyłowił jedną godną podziwu:

– Jeśli jest w niej coś, co naprawdę podziwiam, to jej zdolność wzbudzania nienawiści i wściekłej zazdrości w tej chmarze snobów piszących w języku hiszpańskim. Ze wszystkich dzieł Isabel Allende największą rozkosz sprawia mi widok wymalowanych furią twarzy literatów uważających się za prawdziwych twórców, bo nikt nie chce ich czytać. Dziękuję za zatrucie im życia.

Norman Mailer mówił, że pisanie książek z myślą o stworzeniu bestsellera nie różni się zbyt od małżeństwa dla pieniędzy. Z książkami te rachuby nie zawsze wychodzą. Książka zawierająca wszystkie składniki niezbędne do odniesienia triumfu może ponieść klęskę. A ta, która znajduje się na potencjalnie straconej pozycji – sprawić niespodziankę. Kilka lat temu coś takiego przytrafiło się Marii Dueñas w Hiszpanii: z nauczycielki, która nie napisała w swoim życiu ani jednej książki, z dnia na dzień stała się pisarką bestsellerów. Jej powieść *Krawcowa z Madrytu* zrobiła furorę za sprawą informacji szeptanej, wydawnictwo nie wydało na promocję ani centa. Historia hiszpańskiej modystki, która otwiera pracownię krawiecką w Maroku, sprzedała się – tu oklepane zdanie – w nakładzie półtora miliona egzemplarzy i została przetłumaczona na dwadzieścia siedem języków. Spytałam Dueñas, co sądzi o Allende.

– Olśniła mnie *Domem duchów* i od tamtego czasu jestem jej wierną czytelniczką. Podziwiam jej talent i energię, którą promieniuje mimo życiowych dramatów. Punkt odniesienia w literaturze tworzonej przez kobiety, ogromna inspiracja, mistrzyni.

Dueñas to przykładna adeptka, nowa dziewczyna w klubie pisarek bestsellerów, tych niezwykłych fenomenów siejących książki i zbierających kolejki wielbicieli. Również jej proza jest kontynuacją tej formy rozumienia pracy literackiej jako ocalenia pamięci własnej,

rodzinnej i kolektywnej, utraconej, ale będącej na wyciągnięcie ręki. Jedna z tych dokumentalistek serca, które przekopują i reorganizują przeszłość, aby zwrócić ją wspólnocie w przystępnej wersji, za co rynek odwdzięcza się całą swoją miłością. Jakby to było takie łatwe pisać prosto i zarabiać miliony.

Isabel Allende definiuje się jako „matka kupidynka”: nie była zbyt oględna, gdy podjęła kroki mające na celu doprowadzenie do zbliżenia jej syna z Lori Barrą.

„Mój biedny, rozwiedziony syn z trojgiem dzieci potrzebował kobiety!”, oświadcza. Historie rodzinne Allende są równie ekstrawaganckie, jak sagi jej fikcji, i gdy zagłębiasz się w biografie pisarki, odkrywasz, że jest w tych narracjach o rodzicach prawdziwych, urojonych lub adopcyjnych większa dawka realizmu niż fantazji. Pierwsza żona Nicolása i matka trójki jego dzieci porzuciła go dla innej kobiety, ni mniej, ni więcej, tylko narzeczonej jednego z synów Willy’ego Gordona, męża Allende. Teraz dzieci spędzają część roku ze swoimi matkami, drugą zaś część z Nicolássem i jego nową żoną. Wszyscy dobrze ze sobą żyją i mieszkają w sąsiedztwie głowy rodu, łącznie z mężem Pauli, jej zmarłej córki. Na Allende spadły nie tylko jej własne cierpienia, ale również nieszczęścia Willy’ego, jej męża, którego rodzinna historia jest przerażająca. Trójka jego dzieci uzależniła się od narkotyków: córka zmarła na skutek przedawkowania (wydawszy wcześniej na świat dziewczynkę zarażoną wirusem HIV), zaś synowie dopiero teraz, jako czterdziestolatekowie, rozpoczynają normalne życie po latach spędzonych w więzieniach i ośrodkach rehabilitacyjnych. *Dziennik Mai* Allende jest swego rodzaju oczyszczeniem rodziców z bólu, jaki przyszło jej dzielić z mężem.

Jeden dzień z życia Isabel Allende. Wstaje o szóstej rano, bo jej suczka je o tej porze śniadanie. „Moja biedna psina – mówi – też jest stara”. Ma dziesięć lat, to znaczy tyle, ile Allende w przeliczeniu na

psie lata. Następnie mąż przynosi jej filiżankę herbaty. Potem medytuje, ćwiczy i jest gotowa do pracy. Zaszywa się w swojej „norze” na sześć, siedem godzin. Teraz Willy Gordon pisze również, stał się pisarzem na mocy życia z pisarką i nawet publikuje własne książki, nie niepokoją się więc zbytnio nawzajem, zajęci pracą: „Nie jestem nikomu do niczego potrzebna”. Od czasu do czasu wychodzi popatrzeć na zatokę San Francisco i wraca do pisania. Po południu oglądają filmy z uporem wypożyczane w wideoklubie. Odpowiada na maile, rozmawia z Lori Barrą.

Według miłośników dat rok dwa tysiące dwunasty był dla Allende rokiem okrągłych liczb: skończyła siedemdziesiątkę, ale również obchodziła trzydziestolecie publikacji pierwszej powieści, *Domu duchów*, której zawdzięcza sławę i majątek, ale i piętno surogatu dzieła Garcíi Márqueza. Minęło też dwadzieścia lat od śmierci jej córki. Agentka Allende, Carmen Balcells, przekonała ją do napisania wspomnień, które miały być antidotum na ból, żeby nie oszaleć: *Paula* to zapis miesięcy czuwania przy łóżku córki pogrążonej w śpiączce. Mimo iż była przekonana, że nikogo nie zainteresuje książka o śmierci, ze wszystkich jej dzieł *Paula* przetrwała najdłużej.

Zbliża się pora jej mistrzowskiego wykładu w Palacio de Bellas Artes. Lori Barra wygląda dzisiaj bardzo ładnie – jak prorokowała teściowa, że będzie wyglądać, jeśli pociągnie lekko usta szminką – i włożyła czerwoną, bardzo twarzową sukienkę. Píše coś w komputerze, w drugim końcu sali, być może zajęta sprawami fundacji pisarki, której pomaga w logistyce. Pytam teściową przeglądającą prasę, jak to jest pracować z synową. Allende opowiada, że gdy zobaczyła ją po raz pierwszy, z miejsca wiedziała, że to doskonała żona dla jej syna. Przeprowadziła długie przesłuchanie i zabrała ją na samotny spacer, aby lepiej poznać. Dopiero później przekonała się, że w dodatku będzie jej zaufaną współpracownicą. Teściowa i szefowa. Brzmi jak koszmar. Ale Lori jest szczęśliwa, że może jej wszędzie towarzyszyć.

– Czasem zapominam, że jest moją synową – mówi Allende. – Jest wspaniałą towarzyszką. Mieszka trzy ulice ode mnie. Jeśli gotuję jakieś chilijskie danie, połowę jej posyłam. Gdy ona kupuje dwa kilo dojrzałych pomidorów, kilogram mnie oddaje. Troszczę się o nią tak bardzo i ona o mnie, jak nie troszczyłyby się o siebie prawdziwa matka i córka, bo tam zawsze są jakieś zgrzyty.

Po chwili, patrząc na nią z oddali, dodaje:

– Czasem zapominam, że nie jest moją córką, że nie mogłaby nią być: spójrz, jaka jest wysoka, jaką ma aparycję.

Dwa razy w roku Isabel Allende odwiedza swoich rodziców mieszkających w Santiago de Chile. Ktoś mi powiedział, że jej ojczym, Ramón Huidobro, uwielbia o niej mówić. W dzieciństwie wypowiedziała mu wojnę na śmierć i życie, gdy zdała sobie sprawę, że po rozwodzie rodziców ten człowiek zajmie miejsce jej ojca u boku matki. Ale zdobył sobie jej podziw i z czasem stał się jedynym ojcem pisarki. Huidobro nie zainspirował żadnej z jej książek. „Jest zbyt porządny i rozsądny – napisała o nim Isabel Allende. – Powieści zaludniają szaleńcy i kanalie, ludzie dręczeni obsesjami, ofiary bezlitosnych trybów przeznaczenia”. Na przykład jej biologiczny ojciec, którego znaleziono martwego na ulicy jak bezdomnego włóczęgę, po którym pozostało jej tylko wspomnienie jego lodowatego ciała w kostnicy.

Wujek Ramón, jak go nazywa od tamtego czasu, liczy sobie blisko sto lat. Proszę, aby zdefiniował swoją pasierbicę jednym zdaniem.

– To intelektualistka – mówi głos po drugiej stronie telefonu.

– Intelektualiści nie przepadają za nią zbytnio, proszę pana – mówię.

– Bo w tym kraju ludzi zżera zazdrość. Zawsze tak było: proszę sobie przypomnieć Nerudę, Vicente Huidobra. To jest dowód na to, jak dziwny jest ten kraj.

Pytam o jego relację z Allende.

– Zwykła relacja ojca z córką.

– Mógłby mi pan opowiedzieć jakąś anegdotę z nią związaną?

– Nie ma już nic do opowiadania – mówi, wkładając wysiłek w każde słowo, ledwie go słyszę. – Ona wyczyściła wszystko do ostatniego okruszka.

Isabel Allende muska palcami twarz i szyję, jak mają w zwyczaju kobiety upewniające się, że nie uległy transformacji podczas snu. Dotyka podbródka i opiera brodę na nadgarstku. Jest cierpliwa i za chwilę będzie musiała przygotować się do wykładu. Może dlatego, że zostało nam mało czasu, rozmawiamy o starzeniu się.

– W starzeniu się nie ma żadnego glamouru. Za to ewidentna degradacja fizyczna – przyznaje. – Nie mam już siły, żeby robić rzeczy, które robiłam dawniej. Jestem o wiele bardziej selektywna, nie tracę czasu na głupoty, nie oglądam idiotycznych programów w telewizji czy filmów, które nic mi nie dadzą. Jeśli czytam jakąś książkę i nie wciągnie mnie do trzydziestej strony, nie ślęczę nad nią do końca.

Mówi, że lata doświadczenia pomagają jej w życiu, ale nie w pisaniu. W każdej książce – podkreśla – trzeba wymyślić wszystko od nowa. Nie popełniać tych samych błędów. A strach, gdy zaczynasz pisać, paniczny strach, który czujesz na samym początku, jest zawsze ten sam. To z biegiem lat nie zmieniło się ani na jotę.

– Dlaczego nie możesz tracić czasu?

– Bo pędzi coraz szybciej – mówi i jej źrenice się rozszerzają.

– Ale przecież pisarki to nie aktorki, które nagle przestają otrzymywać role, bo zaczynają się starzeć.

Isabel Allende przyznaje, że w tym znaczeniu starzenie się jest błogosławieństwem. Dzisiaj ma więcej czytelników, których zdobyła wieloletnią pracą.

– To dziwne: czuję, że z racji tych trzydziestu lat mojej pisarskiej pracy jestem dziś szanowana bardziej niż kiedyś – mówi. – Nie dlatego, że piszę lepiej czy gorzej, ale dlatego, że minęło dużo czasu.

Wiele razy chciała rzucić wszystko w diabły, ale przekonała się, że literatura jest jedyną niezbędną rzeczą w jej życiu. Jej upór jest

również walką z czasem i nawet gdy pisaniu towarzyszy często cień udręki, Isabel Allende odczuwa absolutny komfort.

– Kiedy piszę, nie muszę się sobie podobać ani być inteligentna – mówi wzruszona. – Ani nikogo urzekać.

Szczerść Isabel Allende wprawia w zdumienie. Nie lęka się żadnego tematu, a przecież czuję, że muszę być ostrożna, rozmawiając o czasie i nieuniknionej śmierci z kimś, kto ma świadomość, że dawno już pokonał połowę drogi. Ale ona, która nie lęka się być tylko pisarką bestsellerów, nie powinna obawiać się śmierci.

– Strach przed śmiercią opuścił mnie wraz ze śmiercią mojej córki Pauli. Najpierw, na krótko przed narodzinami mojej wnuczki, patrzyłam, jak umiera. Moment śmierci przypomina bardzo moment narodzin: to przejście z jednego wymiaru w drugi.

Isabel Allende deklarowała niejednokrotnie, że przyszłość jej nie interesuje, że pisze dla tego, co tutaj i teraz. Jest nawet gotowa, byśmy o niej zapomnieli, aby jej powieści wyszły z mody i gruba warstwa kurzu zatarła jej ślady z większym okrucieństwem, niżli mógłby to uczynić najsroższy z krytyków. Ale niektórzy w to wątpią. Carlos Franz, chilijski pisarz i jeden z niewielu dysonansowych głosów w oskarżycielskim chórze, podnosi wiele jej zasług, choć krytykuje za próby „czepiania się przyszłości” ciągłym biadoleniem nad tym, że we własnym kraju traktuje się ją jak powietrze, gdy tak naprawdę przyszłość jest nam nieznana.

– Nawet Isabel Allende znajdzie swoje miejsce – wielkie lub małe – w smutnym Panteonie Chilijskiej Literatury, z którego teraz ją rugują – powiedział Franz.

„Nie ma nic przerażającego w śmierci; przerażającym byłoby żyć wiecznie”, mówi pisarka. W książce *Paula* przypomina żartobliwą odpowiedź Salvadora Allende, stryjecznego brata jej ojca, którego kiedyś zapytano, jaki napis chciałby mieć na swoim nagrobku. „Tutaj leży przyszły prezydent Chile”, odpowiedział bez wahania wieczny aspirant, zanim został wreszcie prezydentem. Pewnego popołudnia stryjek Salvador Allende próbował uczyć swoją krewniaczkę strzelania do tarczy, posługując się tym samym karabinem, który znaleziono przy nim później, po jego samobójczej śmierci w Palacio

de la Moneda. Młoda kuzynka, wywijając bronią w powietrzu, wycelowwała niechcący w głowę polityka. Funkcjonariusze ochrony rzucili się na nią i powalili na ziemię. Stosownym dla niej epitafium mogłaby być linijka z jej powieści *Ewa Luna*: „Śmierci nie ma. (...) Ludzie umierają tylko wtedy, gdy się o nich zapomina. (...) Jeśli mnie nie zapomnisz, zawsze będę z Tobą”²⁶.

Rodzice Isabel Allende mają ponad dziewięćdziesiąt lat i córka zdaje sobie sprawę, że w każdej chwili może zadzwonić telefon i będzie musiała lecieć do Chile. Przez te wszystkie lata nie przestała wierzyć w duchy. Nie jest bynajmniej amatorką seansów spirytystycznych, ale wierzy w wymiar magiczny oraz w potęgę pamięci i wyobraźni, dzięki którym może nawiązać łączność z innymi światami. I mówi, że nie wszyscy umarli jej towarzyszami. Są ludzie, którzy odegrali w jej życiu bardzo ważną rolę, a mimo to nie ma ich u jej boku przez cały czas.

– Paula jest ze mną zawsze. Gdy czekam długo na windę, mówię do niej: „No, Paula, przyślij mi wreszcie tę windę”.

Autorka *Domu duchów* patrzy przez wielkie okna na ciemne meksykańskie niebo, które brutalnie oddziela boskość od ludzi.

– Mądrość nie spadnie ci z nieba tylko dlatego, że mijają lata – zastrzega. – Niestety. Bez względu na wiek, chyba że wykonasz wielką pracę duchową i psychologiczną, jesteś tylko tym, kim byłeś zawsze.

Wszyscy wiedzą, że swoimi historiami o miłości i cieniach Isabel Allende wzrusza do łez tysiące ludzi, ale zapewne tylko nielicznym wiadomo, że potrafiła również rozśmieszać. Jak w mrocznej epoce (w której dominującym kolorem była wojskowa zieleń i krwista czerwień), kiedy nazywała rzeczy po imieniu i tryskała feministycznym humorem, w czasach, gdy nie śnił się nam nawet *Dziennik Bridget Jones*, kolumna Carrie Bradshaw czy *Girls*. We własnej kolumnie, publikowanej w latach siedemdziesiątych i zatytułowanej żartobliwie *Ucywilizuj swojego troglodytę*, bardzo dobrze grała swoją rolę w odwiecznej (a teraz już przebrzmiałej)

wojnie płci, traktując samca jako istotę podrzędną, niewolnika penisa. Cieszyła się wielkim wzięciem, szczególnie wśród mężczyzn.

Napisała kilka bestsellerów, niektóre z nich bardzo przyzwoite, inne blagierskie i gniotowate, ale kto nie popełnił kiedyś gniota? Spod jej pióra wyszło też wzruszające świadectwo i absolutny bestseller, *Paula*, o której podczas lektury myślałam, że to książka, jaką chciałabym napisać, chociaż nieco inaczej.

Czyżbyśmy musieli wszyscy pisać jak Clarice Lispector, aby zasłużyć na komplementy w dodatku kulturalnym?

Na krótko przed naszym rozstaniem przychodzi mi do głowy, że jestem już tak zmęczona bezustannymi atakami na Allende, że napiszę dziesiątki artykułów i nie spocznę dopóty, dopóki nie zdołam wywindować jej na literacki Parnas. Ale później sobie myślę: Co, u diabła! Przecież jest bogatą pisarką, ma sławę, jest szczęśliwa. Nie potrzebuje obrońców. „Pani jest chyba najgorszą dziennikarką w tym kraju, dziecko”, zrugął ją Pablo Neruda w dniu, w którym Allende odwiedziła go w Isla Negra, aby przeprowadzić z nim wywiad. „Nie ma pani w sobie za grosz obiektywizmu, chce być pani zawsze w centrum uwagi i przypuszczam, że kłamie jak najęta, a w przypadku braku wiadomości wymyśla ją sobie. Dlaczego nie zajmie się pani pisanie powieści? W literaturze te defekty są cnotami”. Allende wzięła sobie te rady do serca dosłownie. I tak rozstała się z rolą zuchwałej dziennikarki, której założycielka „Pauli”, Delia Vergara, powierzała najłżejsze i najbardziej relaksowe tematy – wystrój wnętrz, horoskop, przepisy kulinarne – między innymi dlatego, że podobnie jak Neruda miała podejrzenia co do jej dziennikarskiej etyki. „Była zajadłą feministką, ale o szóstej po południu biegła do domu, by obsłużyć swojego męża niczym gejsza. Pouczała nas, w jaki sposób należy to robić!”, opowiedziała mi jej była szefowa.

Czasem jednak frywolne, lekkostrawne temaciki reporterki Isabel Allende przybierały bardzo poważny charakter. Jej najbardziej pamiętnym reportażem jest *Wywiad z niewierną kobietą*, rozmowa, jaką przeprowadziła z pewną damą z wyższych sfer, małżonką ważnego polityka, która wraz z dwoma przyjaciółkami wynajmowała garsonierę na schadzki z kochankami. Księża ją potępili, kobiety

obdarzyły uwielbieniem. Wkrótce znalazła sobie nową specjalność, która na pewien czas miała przynieść jej rozgłos, postanowiła bowiem grać główne role w swoich „reportażach-przygodach”, jak sama je nazywała, przeżywając opisywaną problematykę na własnej skórze i stając się w ten sposób, wyprzedzając swoją epokę, reportażystką gonzo prasy dla kobiet. Pewnego razu podszyła się pod tancerkę w klubie nocnym. Nagrały ją kamery jakiejś stacji telewizyjnej i konserwatywne społeczeństwo chciało ją ukrzyżować. Innym razem dostała zlecenie na artykuł o LSD, a jej, co nietrudno zgadnąć, nie przyszło nic innego do głowy, jak spróbować osobiście jego działania. Ale to było wiele lat temu. Gdy co poniektórzy oddają się co jakiś czas żenującemu sportowi drwienia z niej, Allende, jak co roku ósmego stycznia, wierząc w magię liczb, zaczęła pisać swoją czternastą powieść. Napisała już sto stron historii dziejącej się w Kalifornii, której bohaterką będzie młoda dziewczyna.

Podczas wielkiego wieczoru Isabel Allende na kongresie kobiet pisarka Sabina Berman przedstawia ją, mówiąc: „Republika Czytelników Isabel Allende jest większa niż którykolwiek z hiszpańskojęzycznych krajów”. Teraz kolej na nią. Najpierw na scenę wchodzi mężczyzna, który ustawia dla mówczyni podwyższenie. Allende wspina się na piedestał. Cała sytuacja wygląda bardzo komicznie. Stworzyła komiczną sytuację i śmieje się z niej. Zaczyna wykład. Przechodzi od dowcipów na swój temat do fabuły i paraboli, od paraboli do anegdoty dramatycznej. Od banalnego wyznania do rozdzierającego świadectwa czy dytyrambu opiewającego kosmiczną kobiecą energię: „Kiedy kobiety są razem – ogłasza – promienieją radością”. Podróżuje od własnego doświadczenia do doświadczeń tysięcy kobiet na całym świecie. I prowadzi audytorium od jednej wykalkulowanej emocji do drugiej: „Mogę powiedzieć, że moje życie jest naznaczone miłością, a tematem moich książek zawsze jest miłość. I ja w to wierzę, nawet teraz w to wierzę, w wizję życia, w którym triumfuje miłość”. Świat

to jej scena. I Allende opowiada z niej teraz historię, którą zaczęła od pytania: „Czego chcą kobiety?”.

To jest dokładnie to, co wszyscy i wszystkie chcemy wiedzieć.

A ona, jak się wydaje, to wie.

[25](#) Świat bez ludzi, którzy go szpecą i doprowadzają do ruiny (przyp. tłum.).

[26](#) Isabel Allende, *Ewa Luna*, przeł. Ewa Zaleska, Warszawskie Wydawnictwo Literackie Muza SA, Warszawa 1997, s. 53.

Epilog: Zbrodnia niedoskonała

Minęły prawie dwa lata od dnia, w którym na Twitterze pojawiła się informacja o śmierci Isabel Allende. Ma siedemdziesiąt jeden lat i nie tylko pisze dla przyszłości, ale wciąż jeszcze robi nowe rzeczy. Jeśli pierwsza powieść, którą napisała ponad trzydzieści lat temu, traktowała o duchach, ostatnia jest o trupach. Jeśli kiedyś zadawała pytania widmom swoich dziadków, teraz debiutuje czarnym kryminałem, pytając Google'a, w jakim czasie po śmierci powstaje stężenie pośmiertne.

Jest szósta po południu, styczniowy czwartek w Madrycie i długi dzień wypełniony wywiadami promującymi jej najnowszą powieść zbliża się ku końcowi. Bardzo możliwe, że o tej godzinie pani Allende jest już zmęczona słuchaniem dziennikarzy. Albo – tym gorzej dla mnie – bardzo możliwe, że o tej porze jest już zmęczona słuchaniem siebie. Tymczasem nie jest zmęczona ani jednym, ani drugim. Niczym w powieści kryminalnej do spotkania dochodzi w luksusowym apartamencie wiekowego hotelu, w którym mieści się sto pięćdziesiąt pokoi. Za drzwiami moim oczom ukazują się jednocześnie dwie sceny, które wydają się należeć do dwóch różnych epok: w pokoju wsparta o wezglowie łóżka, z komputerem na kolanach pracuje w milczeniu Lori, synowa i zaufana współpracownica, gdy tymczasem jej teściowa czeka w salonie, otoczona luksusem rodem z *belle époque*, tak charakterystycznym dla madryckiego Ritza. W którym w samych gatkach pisał kiedyś Ernest Hemingway, a Grace Kelly i Rainiero spędzili swój miesiąc miodowy. Isabel Allende częstuje mnie herbatą i mieszanką ciasteczek.

– Ja cię znam. Widziałyśmy się w... – zawiesza na sekundę głos, czekając, aż pomogę jej dokończyć. – Tak, na kongresie kobiet w Meksyku, nieprawdaż?

Półtora roku temu Isabel Allende stała przed feministycznym audytorium na podwyższeniu, z którego zdawała się panować nad światem, wygłaszając swoje *boutades* o tym, czego pragną kobiety. Teraz znajdujemy się w miejscu, gdzie do roku 1975, czyli do śmierci dyktatora Francisco Franco, nie pozwalano wchodzić kobietom w spodniach. To, co bardzo zirytowałoby młodą Allende, dojrzałą zresztą również, jest nie do pomyślenia dzisiaj, gdy w jej ojczyźnie u władzy jest kobieta, podziwiana przez nią Bachelet.

– Zostałaby pani ministrem w jej rządzie, gdyby o to poprosiła? – pytam z ciekawością podyktowaną charakterem politycznego bardziej niż literackiego wywiadu, który przeprowadzam dla jednej z peruwiańskich gazet.

– Ja się do tego nie nadaję. To tak, jakbyś mnie poprosiła o wyprasowanie koszuli. Nie mam pojęcia, jak się to robi.

Przypominam jej, że Vargas Llosa w swoim odczycie noblowskim przytoczył anegdotę, jak to jego żona zwykła mu powtarzać: „Mario, ty się nadajesz tylko do pisania”.

– Mężczyzna może pozwolić sobie na luksus, by nadawać się wyłącznie do pisania. Ja uwielbiam pisać, ale oprócz tego muszę jeszcze robić masę innych rzeczy.

Chociaż zajmuje się innymi rzeczami, co roku sumiennie publikuje nową powieść. I tak się jakoś składa, że zawsze potrafi się wstrześcić w panującą akurat modę. Niejeden powiedziałby, że ma zwyczaj wskakiwać do znajdującego się w biegu pociągu topowych książek albo że jest intuicyjną łowczynią literackich tendencji przetwarzanych następnie na własną modłę. Tymczasem Allende twierdzi, że jak inni pisarze ma literackiego nosa i potrafi wyczuwać to, co niektórzy nazywają kolektywną podświadomością, aby później zwrócić ją w formie książki. Tak było z realizmem magicznym, z powieściami o dyktaturach, z historiami o miłości i kuchni, z sagą o Harrym Potterze, gdy napisała powieść młodzieżową, a teraz ta sama sytuacja powtórzyła się z czarnym kryminałem. Allende przysięga, że nie wiedziała, że kryminały stały się modne; ale zanim zabrała się do napisania swojego, odrobiła lekcje, pochłaniając serię *Millennium* Stiega Larssona – czy tak jak w latach osiemdziesiątych pochłonięła

Sto lat samotności? – po przeczytaniu której zrozumiała, że nie może napisać nic podobnego, choćby stanęła na głowie. Daremny wysiłek.

– To zbyt brutalne, zbyt mroczne, to nie mój sposób patrzenia na życie. Powiedziałam sobie, że muszę napisać czarny kryminał, ale mój własny.

Tak powstaje *Ripper. Gra o życie* – czarno-biały kryminał, powieść, która według autorki ma być „parodią czarnych kryminałów” – historia młodej, wybitnie uzdolnionej i pełnej fantazji dziewczyny, miłośniczki gier RPG, inspirowanej jedyną wnuczką Allende, Andreą, która tropi seryjnego mordercę ukrywającego się za awatarem Kuby Rozpruwacza. W zadaniu tym może liczyć na pomoc i ścisłą współpracę swojego dziadka.

– Tym dziadkiem jestem ja – wyznaje. – To znaczy babcią, którą byłam kiedyś. Bo moje wnuki są już dorosłymi ludźmi i nie ma między nami tej samej poufałości co dawniej.

Mówiąc to, przypomina owe staruszki skarżące się cicho na samotność. Na wszystko po trochu. Twierdzi, że gdyby jej przyszło dorastać w epoce Internetu, jak jej wnuczce, nigdy nie wyściubiłaby nosa ze swojej nory, nigdy nie przewyciężyłaby nieśmiałości i nie odkryła feminizmu, i nie została pisarką. Oczywiście jak zwykle wszystkiemu winny jest Internet.

– Wiem, że seryjni mordercy to potwory, nikczemne kreatury – stwierdza dobitnie – i nie powinniśmy się z tego śmiać, ale fikcja to fikcja.

Isabel Allende nie wiedziała, że trupy są w modzie, bo w jej rodzinie zawsze były w modzie. Akurat w tym przypadku winowajcą jest jej mąż, *gringo* Willy C. Gordon, czytelnik i pisarz kryminałów, który zapoznał ją z ABC gatunku.

– Wspomniałam mu, że chciałam zacząć książkę opisem atmosfery dzielnicy San Francisco, w której miała się wydarzyć historia, na co Willy wrzasnął zbulwersowany: „Nie! Czarny kryminał musi zacząć się od trupa! Na początku musisz kogoś zamordować”. Ja nigdy bym na to nie wpadła.

Zastanawiam się, czy plotka na temat jej śmierci, która pojawiła się w 2012 roku, również nie była początkiem powieści. Powieści, której autorami jesteśmy wszyscy i w której centrum znajduje się Isabel

Allende. Przez dziesiątki lat dla wielu kolegów po fachu była kozłem ofiarnym, nie byłoby więc nic dziwnego w tym, gdyby umarła naprawdę i teraz, w tej właśnie chwili snuła się pod postacią zjawy po Ritzu i opowiadała mi o zbrodniach i trupach.

– Po jakim czasie następuje stężenie pośmiertne? – pytam, by sprawdzić, czy pisząca od trzydziestu lat nowicjuszka odrobiła lekcje.

– To zależy od temperatury. Dzięki niej można ustalić nawet godzinę śmierci. Przekopałam Internet w poszukiwaniu informacji o truciznach i narzędziach zbrodni i w pięć minut wszystko wyleciało mi z głowy. Nie sądzę, bym musiała iść przez życie, uginając się pod brzemieniem trupów w stanie stężenia pośmiertnego. Gdy znowu będzie mi jakiś potrzebny, poszukam go sobie w Internecie.

Allende szukała trupa i daliśmy jej własnego via Twitter. A ona skonała ze śmiechu. Bo na nieszczęście dla jej krytyków, zarówno życie, jak i śmierć uśmiechają się do Allende.

Bardzo możliwe, że osoba, która siedzi obok mnie w apartamencie Ritza w Madrycie, jest wytworną damą, ale nigdy zjawą.

Jak długo przetrwa Isabel Allende w tym czy innym świecie?

To będzie zależeć od temperatury.

PODRÓŻ PRZEZ AYAHUASCĘ

WYGLĄDAMY JAK PŁÓCIENNE WORY z mumiami wydobyte z grobowca. Dziesięć czy dwanaście osób siedzących w kręgu na podłodze pokoju pogrążonego w ciemności. Miejsce centralne zajmuje szaman. Pali *mapacho* i wydmuchuje dym ku wylotowi butelki wypełnionej oleistym płynem. Pociąga łyk jako pierwszy, a potem wzywa nas wszystkich po kolei. Boję się. Ludzie, którzy próbowali ayahuaski, mówią, że smak jest obrzydliwy, a pierwsze odczucia – ból brzucha, wymioty, zawroty głowy, dreszcze – trudne do zniesienia. Wszyscy składają podziękowanie Bogu i piją zawartość bez szemrania. Jestem ostatnia. Siadam z zamkniętymi oczami, smakując tę trudną do zdefiniowania, wysuszającą usta gorycz.

Kilka dni wcześniej szaman zalecił mi dietę przygotowawczą: miałam odstawić mięso wieprzowe, tłuszcze, pikantne potrawy, alkohol, narkotyki, tabletki i zrezygnować ze stosunków seksualnych, z wszystkiego, co neutralizuje, jak powiedział, działanie rośliny. Ale nie to było najgorsze: w noc poprzedzającą sesję rzygałam razem z grupą nieznajomych, którzy podobnie jak ja, musieli wypić inną amazońską miksturę plus osiem litrów wody, aby pozbyć się odpadów, jakimi zachodni świat zaśmieca nasze organizmy. „Oczyszczenie”, jak tę fazę nazywają uzdrowiciele, jest krokiem wstępnym do zażycia ayahuaski i jest niemal tak ważne w regeneracji ciała i duszy, jak ta ostatnia. Mikstura, którą w siebie wlailiśmy, nie była niczym innym jak wyciągiem z tytoniu, kwiatów i innych roślin o właściwościach wymiotnych.

Ku mojemu absolutnemu zgorszeniu mistrz zaglądał od czasu do czasu do naszych wiader i na podstawie ich zawartości stawiał

diagnozy dotyczące wszelkiego typu dolegliwości: od stresu po kolki nerkowe. Po powrocie do domu, pomimo – nazwijmy to – zawiłości całego procesu, człowiek faktycznie czuje się czysty, jakby nagle zdjęto z niego wielki ciężar, o którego istnieniu nic wcześniej nie wiedział.

Dotarłam wcześniej pod wskazany adres. Jak to możliwe, żeby w tej zamieszkaney przez wyższe sfery dzielnicy otoczonej murami i zaporami celebrowano rytuał przywoływania niewidzialnych sił Natury? To musi być jakiś szwindel. Aby zrujnować do końca moją idylliczną wizję autentycznego, magicznego i bezinteresownego szamana, zapłaciłam równowartość około czterdziestu dolarów za coś, co według niezliczonych świadectw nie ma ceny.

Ale jestem tutaj i nie ma już odwrotu. Czuję w żołądku jakieś lekkie ćmienie i ogromną chęć wymigania się z tej farsy. Na razie nic jeszcze nie widzę. Ból żołądka przybiera na sile. Kilka osób zaczyna wymiotować. Podobno zaraz po torsjach pojawiają się wizje. Ja nic jeszcze nie widziałam.

Pierwsze słuchy

O ayahuasce usłyszałam na uniwersytecie. Informacje o niej docierały do mnie zawsze w aurze tajemniczości. Zanim jej spróbowałam, nie traktowałam całej sprawy poważnie. Jedną z moich najlepszych w tamtym okresie koleżanek miała to już za sobą. Jej matka jest antropologiem i pewien uzdrowiciel odwiedzał je co jakiś czas, odprawiając sesje w domowym salonie. Koleżanka zjawiała się na przykład na zajęciach z filozofii Kanta i rzucała od niechcienia, jak to poprzedniej nocy zmieniła się w lampartę, przeleciała nad średniowieczną Europą albo odkryła, że władza biegle językiem mandaryńskim. Suszyłam jej głowę, by któregoś dnia zaprosiła mnie na sesję, jakbym ją prosiła o prozaicznego skręta. Nigdy nie zapomnę jej odpowiedzi: „Jeszcze nie jesteś gotowa”, dawała mi nią do zrozumienia, że chodzi o coś niezwykle transcendentnego. Jej zdaniem zażycie ayahuaski mogło zmienić drastycznie egzystencję człowieka. Nie był to narkotyk dla eskapistów, lecz dla ludzi odważnych. Wyglądało na to, że nie piło się jej tylko po to, aby widzieć węże i feerie kolorów.

W późniejszym czasie dowiedziałam się, że za jej pośrednictwem ludzie eksplorują własne wnętrza, poprzez wizje wykrywają swoje traumy i problemy na zasadzie roślinnej psychoterapii. Słyszałam, że ayahuasca wyzwała stan ekspansji świadomości porównywalnej z autoanalizą. Jest formą leczenia umysłu i duszy, jeśli prawdą jest, że można je uleczyć. Są również ludzie, którzy uwierzyli w Boga w następstwie doświadczeń z tą rośliną. Pewna kobieta oświadczyła, że jeśli religia mówiła o Bogu, ayahuasca przedstawiła Go jej osobiście. Jakiś mężczyzna zapewniał, że zażywał ją, aby uporządkować zaległe sprawy z duszami swoich zmarłych krewnych. Niektórzy widzieli odległych i nieznanych przodków. Według wielu

świadectw po wypiciu ayahuaski można przebyć wielkie odległości i odwiedzić zamierzchłe epoki, przemierzyć Wszechświat, osobisty i kosmiczny. Nie brak ludzi, którym ayahuasca wyjawiała ich misję na tym świecie oraz ukazała twarze ich nienarodzonych dzieci i którzy odkryli, że potrafią posługiwać się obcym językiem, rozwiązywać równania trygonometryczne lub fantastycznie śpiewać.

Wszyscy doznali jakichś objawień, wszyscy słyszeli głos odpowiadający na ich pytania. Jakie objawienia mnie czekały? Czy nadszedł ten właściwy moment? Czy byłam gotowa? Z pewnością miałam wielką ochotę zapytać ayahuascę o kilka rzeczy. Dlatego udałam się do tego domu. Ale nie nawiązałam z rośliną łączności. Z wyjątkiem dalekich światłek i lekkich mdłości czułam się jak po wypaleniu marihuany. Rozczarowana wyszłam o świcie.

Z encyklopedią botaniczną w rękę

Ayahuasca jest substancją, której przypisuje się siłę wyostrażania zmysłów i zdolności telepatycznych i którą indiańscy uzdrowiciele wykorzystują w poszukiwaniu zaginionych przedmiotów, a w szczególności, jak mówią, „ciał i dusz”. W puszczy nazywają ją „mateczką ayahuasca”, bo zgodnie z wierzeniami posiada kobiecą mądrość i macierzyńskie cechy. W języku keczua ayahuasca znaczy „sznur zmarłych”, co nawiązuje do jej mocy pozwalającej nam połączyć się z innym wymiarem. Należy do gatunku *Banisteriopsis caapi* występującego w całym pasie amazońskim: w Peru, Brazylii i Kolumbii. Nie jest prawdą, że to tylko jedna roślina; wywar znany jako ayahuasca jest kombinacją dwóch składników: liany (ayahuasca) i innej rośliny o właściwościach medycznych – którą może być *chacrana* lub *toé* – zawierającej substancję zwaną dimetylotryptaminą (DMT), odpowiedzialną za nocny sen. Uzdrowiciel ucina spore kawałki każdej z nich i gotuje gęsty wywar.

Mówiąc o ayahuasce, należałoby raczej posługiwać się terminem substancja wizjonerska lub enteogeniczna (co znaczy „który rodzi we mnie Boga”), zamiast nazywać ją sloganowo halucynogenną czy psychodeliczną. Jej spożycie nie zaburza zmysłów, lecz wywołuje stany ekstazy połączone z percepcją głębi i transcendencji. W istocie rzeczy w Brazylii istnieją trzy religie synkretyczne, które regularnie stosują ayahuasce do swoich liturgii jako środek ułatwiający dostęp do boskości. We wspólnotach plemiennych zamieszkujących puszcze szamani piją ayahuasce, by wykrywać i leczyć choroby. Zapewniają, że zarówno przyczyny schorzeń, jak i sposób ich leczenia odnajdują w wizjach. Już setki lat temu, bez książek o botanice, tubylcy znali właściwości roślin i ich nieskończone kombinacje.

Efekty działania ayahuaski próbowano wykorzystywać w leczeniu uzależnień. W Peru działa wspólnota terapeutyczna, w której uzależnienie od kokainy czy ekstazy leczy się ayahuasą. Używa się jej także, ze zdumiewającymi rezultatami, w terapii zaburzeń lękowych i głębokich depresji; jako uzupełnienie w leczeniu chorych na raka, a ostatnio chorych na AIDS, bo jak wiadomo, system immunologiczny jest ściśle związany z emocjami i duchowością człowieka.

W jaki sposób można wytłumaczyć zjawiska telepatyczne, łączność z przodkami, uczucie jedności z Wszechświatem? Szwedzki antropolog Jeremy Narby odkrył, że kształt podwójnego węża owiniętego na lianie odpowiada formie DNA, co skłoniło go do wysunięcia hipotezy mówiącej, że ayahuasca pozwala dostrzec cząsteczki DNA z całą informacją genetyczną dotyczącą naszego pochodzenia i – jak się wydaje – naszego przeznaczenia.

Listy o yagé

W czasie mojego pierwszego kontaktu z ayahuasą przeczytałam *The Yagé Letters*, listy, które William Burroughs wysyłał w 1953 roku z Panamy, Ekwadoru, Kolumbii i Peru do swojego ucznia, poety Allena Ginsberga, i w których opowiadał o swojej podróży po puszczy amazońskiej w poszukiwaniu ayahuaski, znanej w Kolumbii pod nazwą *yagé*. Burroughs tropił „odlot odlotów”, nie znajdując go wcześniej w heroinie, marihuanie i kokainie. W tym samym zbiorze korespondencji znajduje się wysłana siedem lat później z Peru odpowiedź autora *Skowytu*, który opowiada o swoich własnych wizjach i przerażeniu wywołanych zażyciem ayahuaski i prosi Burroughsa o radę.

Ginsberg opisuje wizję „Wielkiej istoty”: „Czułem się jak wąż, który wyrzuca z siebie cały wszechświat, albo jak Indianin Jiwaro w tym swoim pióropuszu z kłami, rzygałem, rozumiejąc, że morduje się wszechświat, że ja umrę, że każdy umrze (...). Wydawało mi się, że cała chata promienieje obecnością widm i że wszystkie ulegają jakiejś przemianie, kiedy się zetkną z tą jedną tajemniczą rzeczą, która jest nam pisana i prędzej czy później nas unicestwi”²⁷. Ginsberg wybucha płaczem na wspomnienie o swojej matce, która umarła daleko, być może w cierpieniu, i w rewolucyjnym akcie przeciwko własnej naturze postanawia spłodzić dzieci.

„Ciągle miałem tę radiotelepatyczną intuicję, że towarzyszy mi Istota, której obecności ciągle jeszcze w pełni nie odczuwam, wciąż zbyt straszliwa, żebym mógł zaakceptować to wszechogarniające porozumienie i to, że każdy z nas jest jakimś odwiecznym serafinem, mężczyzną i kobietą naraz, a ja jestem zbłąkaną duszą, która potrzebuje pomocy”²⁸, pisał bitnik. Jego doświadczenie, jak widać, było przerażające. Słyszałam o ludziach, którym głos ayahuaski robił

dowcipy i opowiadał świetne kawały, by w trakcie tej samej sesji pokazać im ich martwe dzieci. Jak mówi Ginsbergowi szaman: „...im bardziej się nasyci ciało ayahuascą, tym dalej można podróżować, że można odwiedzić Księżyc, ujrzeć umarłych, ujrzeć Boga, ujrzeć leśne duchy”²⁹.

Ja też pragnęłam podróżować daleko. Nie miałam zamiaru kapitulować po pierwszej nieudanej próbie. Zdaniem wtajemniczonych mogłam to osiągnąć wyłącznie w puszczy. Sesja przeprowadzana w mieście oznacza wyizolowanie rośliny z rytualnego kontekstu, zaś zażywanie jej na własną rękę bez opieki i kompetencji szamana jest niebezpieczne. Jeden z moich przyjaciół, młody poeta, spalił się żywcem. Zamknął się w pokoju, połał się benzyną, przywiązał się do łóżka i podpalił. Podobno w czasie jednej z sesji doznał wizji końca swego życia implikującej misję: roślina kazała mu się podpalić dwudziestego grudnia, w środku letniego przesilenia, w okresie zmian i odrodzeń. Faktem jest, że mój przyjaciel od jakiegoś czasu zażywał ayahuascę w pojedynkę, bez nadzoru uzdrowiciela. Na krótko przed śmiercią miał dziwny wyraz twarzy, który wszyscy jego znajomi odczytali jako oznakę szczęścia.

Niemniej jednak obraz białego człowieka niknącego w niedostępnej gęstwinie południowoamerykańskiej puszczy w poszukiwaniu potężnej psychotropowej rośliny to już tylko romantyczna mrzonka. Coraz częściej szamani przenoszą się do wielkich miast, otrzymują zapłatę w dolarach lub w euro i docierają samolotem do każdego punktu na mapie z butelką ayahuaski pod pachą, by leczyć choroby, prawie zawsze poszukiwani przez osoby zamożne, które próbowały już wszystkiego. Gdyby Burroughs był bitnikiem nowego tysiąclecia, być może nie ruszyłby tyłka ze swojej lepiącej się od brudu wersalki ćpuna.

[27](#) Allan Ginsberg, *Listy*, przeł. Krzysztof Majer, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2014, s. 418–421.

[28](#) *Ibidem*.

[29](#) *Ibidem*.

Szamani i źli czarodzieje

Dostałam okres, gdy byłam już spakowana i miałam w ręce bilet na samolot. Dowiedziałam się, że nie można zażywać ayahuaski podczas miesiączki. Według uzdrowicieli są to dwie energie, które ze sobą kolidują. Ten „trujący odpad” zakłóca równowagę rośliny. A ja myślałam, że ayahuasca jest rodzaju żeńskiego. Ostatecznie postanawiam jechać. Nie jadę sama, towarzystwa w tej przygodzie dotrzyma mi Miguel Ángel, również dziennikarz. Fantazjujemy, że jesteśmy reinkarnacjami Burroughsa i Ginsberga. Po półtoragodzinnym locie lądujemy w Pucallpa, w raju *ayahuasqueros*, szamanów specjalizujących się w preparowaniu i podawaniu ayahuaski. Martwią mnie tylko ostrzeżenia dotyczące szamanów. Powszechnie wiadomo, że szaman jest rytualnym pośrednikiem między rośliną i nami, kimś, kto wyzwala mistyczny trans, by leczyć i przepowiadać przyszłość. W odróżnieniu od lekarzy w białych kitlach, znachor uwzględnia wewnętrzny dramat każdej osoby. To on podróżuje do królestwa tego, co niewidzialne, kreuje symboliczne mity mające za zadanie wyjaśnić świat, odprawia rytuał, aby uzyskać dostęp do wymiaru ponadludzkiego, i przyzywa energie, które ściągają na nas choroby.

Niekiedy zapominamy, że szamani to tacy sami ludzie jak my. Ktoś mi mówił, że najsłynniejsi szamani są wchłaniani przez system i serwują ayahuascę w luksusowych europejskich hotelach. Wielu z nich po przeprowadzce do miasta porzuca swoje żony, zaczyna pić i prowadzi życie będące zaprzeczeniem ayahuaski. Ich duchy uległy deprawacji i nie mogą już być dla nikogo pomocą.

Ale prawdziwie złowrogą postacią jest *malero*, rodzaj szamana, który przeszedł na ciemną stronę, krótko mówiąc, zły czarownik.

Z czystej niewiedzy można znaleźć się w sytuacji, w której sprzedadzą ci kota w worku albo nawet gorzej: diabła w worku. Oczywiście nie dotyczy to wszystkich szamanów. Aby zostać szamanem, większość adeptów dokonuje swojej przemiany, zaszywając się na długie miesiące w puszczy, podejmując drastyczną dietę, która pozwala poznać moc każdej rośliny. Podczas leczniczych sesji szaman ponosi ofiarę i wije się z bólu, daje się pożerać duchom dzikich zwierząt, gdy jest w transie. Mnie zarekomendowano Rosenda Marína, szamana nieznanego w środowisku, którego duch jest jeszcze dziewiczy i emanuje dobrocią. Czy Rosendo okaże się postacią z amazońskich legend? Czy będzie moim zielonym czarodziejem?

Na czerwonej ziemi

Dzisiaj, w piątkowe popołudnie, wylądowaliśmy w Pucallpa. Znajdujemy się czterysta siedemdziesiąt pięć kilometrów na północny wschód od Limy. W języku *shipibo*, tutejszym dialekcie, Pucallpa znaczy „czerwona ziemia”. Chyba będę zmuszona przyznać rację wszystkim, którzy uprzedzali mnie, że to najbrzydsze miasto w Peru: swoisty wielki targ, od którego trzeba oddalić się na wiele kilometrów, by dostrzec horyzont lasów i napotkać typowe dla Amazonii rzeki. Tylko powietrze jest wyraźnie amazońskie: parne, agresywne, lepkie. Wynajmujemy pokój w skromnym hostelu i idziemy do portu San José de Yarinacocha. Jeszcze dzisiaj chcemy odnaleźć Rosenda w rdzennej wspólnocie San Francisco de Yarinacocha – gdzie mieszka większość szamanów – przeprowadzić z nim wywiad i zaproponować mu sesję następnej nocy.

Próbuję dzwonić do Rosenda na jedyny wspólny telefon w wiosce, ale wszystkie linie są zablokowane. Dochodzi szósta po południu, gdy dowiaduję się, że żadna łódź nie wypływa już dzisiaj do San Francisco. Ktoś mówi: szosa! Ale na przystankach kierowcy śpią jak zabici z głowami na kierownicach. Nikt nie chce nas zawieźć.

W niedużej odległości naszym oczom ukazuje się przyczyna tej powszechnej indolencji: przysgnębiający widok wielkiego, śmiertelnie rannego zwierzęcia z żelaza na środku drogi. Przed kilku dniami w wyniku ulew runął most łączący Yarinę i San Francisco. Nie mogę zignorować symboliki tego zdarzenia: idea mostu, sznura, łączności z drugim brzegiem definiuje ayahuascę. A most jest zniszczony!

Pogodzeni z myślą o powrocie do hostelu rzucamy ostatnie spojrzenie na łodzie przyplływające z San Francisco. Jakiś mężczyzna wykrzykuje: „wycieczka, wycieczka, wycieczka łodzią po strefach ekologicznych” i ku naszemu zdumieniu, dodaje: „wizyta u szamana”.

Teraz mamy przed sobą *drug tourist guide* najniższego szczebla, który próbuje nam opchnąć fenomenalną wycieczkę z zażyciem ayahuaski u rodzimego szamana. Zna ich wszystkich. Z wyjątkiem Rosenda, ma się rozumieć. Mówi, że słynny szaman Guillermo Árevalo mieszka w Yarinie. Trzeba go tylko namierzyć. Wsiadamy do mototaxi. Być może tej nocy nie będzie ayahuaski, ale za to odhaczymy wywiad ze słynnym szamanem. Taksówkarz wie, gdzie mieszka Arevalo. Pukamy kilkakrotnie, nadaremnie. Już jesteśmy skłonni odejść z kwitkiem, gdy nagle przed drzwiami zatrzymuje się SUV cherokee. Wysiada z niego ładna Metyska, taksówkarz twierdzi, że to żona Guillerma. Wpadła przypadkiem po jakieś rzeczy, bo chwilowo mieszkają w swoim schronisku w Soi Pasto. W tych okolicznościach nie wygląda to tylko na szczęśliwą passę. Przyciąga nas jakaś siła (ayahuasca? czarownik?). Kobieta godzi się na wizytę, ale uprzedza, że musimy zmieścić się w godzinie, bo o dziewiątej mistrz rozpoczyna sesję. Ta noc będzie ciężka, mówi, przed nim bowiem zadanie wyleczenia krewnego chorego na raka. Z tym samym mototaksówkarzem odbijamy od głównej drogi i gnamy dziewięć kilometrów do schroniska. Monolog kierowcy koncentruje się na cherokee, prezencie od jednego *gringo*, oraz na drodze zbudowanej wyłącznie po to, aby można było dojechać do schroniska, która „na pewno kosztowała majątek”. Gdy docieramy na miejsce, oświetla nas blask lampy naftowej. To on. Z łagodnym uśmiechem zaprasza nas do środka, o nic nie pytając. Teraz nie ma już wątpliwości: albo jakiś duch zaanonsował mu nasz przyjazd, albo żona zadzwoniła do niego na komórkę. Kwestia wiary.

Wizje piekła

Guillermo jest fascynującym człowiekiem: studiował w Brazylii, jest szamanem podróżnikiem, który jeździ po świecie i prowadzi seminaria, a nawet grał samego siebie w wielu szwedzkich i holenderskich filmach. Na zakończenie rozmowy zaprasza nas do wzięcia udziału w ceremonii. Odstępstwo od pierwotnego planu napawa mnie lękiem. Usiłuję złowić jakieś przeczucie, które ostrzegłoby mnie, czy to jest to miejsce, czy to jest ten szaman, ale nic nie jest jasne. Miguel Ángel jest przekonany, że powinniśmy przyjąć to zaproszenie. Ostatecznie się zgadzam. I wchodzę do chaty, która – według Guillerma – została zbudowana w miejscu, w którym uderzył piorun. W jednym końcu izby, w czymś, co przypomina wielką kołyskę zawieszoną na linach, leży chora przykryta od stóp do głów prześcieradłem, swym całunem.

Nie wiem, czy przyznać się szamanowi, że mam miesiączkę. W tej sytuacji dręczy mnie upiorna myśl, że jeśli kobieta postawi na swoim i pomimo menstruacji weźmie udział w rytuale, może nadwątlić moc szamana i przyciągnąć negatywną energię. Mówi się nawet, że szaman potrafi wyczuć, że kobieta nie miała na tyle przyzwoitości, żeby mu o tym powiedzieć. Targana poczuciem winy i udręką, ale stojąc już ze wszystkimi przy rytualnym stole, podchodzę do don Guillerma i szepczę mu do ucha: „Mistrzu, mam miesiączkę, czy możemy kontynuować?”. Szaman rzuca mi groźne spojrzenie, potem potakuje i pozwala mi samej zdecydować. Siadam i jestem gotowa do podróży.

Z przerażeniem obserwuję żywe obrazy martwych zwierząt, rozkładające się płody i teatralne gwałty. Chora wysuwa głowę spomiędzy białych prześcieradeł i wydaje mi się, że widzę w jej twarzy oblicze ukochanej osoby, która patrzy na mnie

z okrucieństwem i wyrzutem. Czyżby to pokłosie mojej miesiączki? Miguel Ángel śpiewa w kółko kołysanki i płacze, jakby postradał zmysły, i jest tak bardzo blisko mnie, iż biorę jego spazmy za płacz mojego wyskrobanego dziecka. Ktoś goni mnie przez zniszczone miasto, próbuję uciekać, przeskakując przez kałuże pełne zmasakrowanych, zakrwawionych ciał. Członkowie plemienia Cashinahua wierzą, że strach jest uczuciem dobrym, pozwalającym wyeliminować to, co w nas negatywne, i wyleczyć się, ale ja nie mogę pojąć, że może być w tym coś pozytywnego. Nie wiem, czy uległam sugestii wcześniejszych opowieści, ale zaczynam myśleć, że Guillermo to zły czarownik. Zwabiła mnie ciemność.

Chyba wracam powoli do siebie. Wstaję i szukam szamana, ale gdzieś przepadł. Mam przeczucie, że nigdy stąd nie wyjdę. Mijają godziny i rano nie nadchodzi. Miguel Ángel wygląda na oszołomionego. Doświadczył bardzo silnych wrażeń. Milczy, odurzony i pełen wdzięczności. Jest jak nowo narodzony, jakby przed chwilą skąpał się w wodach płodowych. Ja potrafię myśleć wyłącznie o krwi i czarnej magii. Chata jawi mi się trumną. Zamurowali drzwi i okna, mam niezbitą pewność. Jesteśmy martwi i śmiercią jest ta beznadziejna bezsenność w jeszcze bardziej beznadziejnej czarnej wieczności. To ewidentnie *bad trip*, flirt z obłądem. Nagle jakieś białe połyskliwe postaci snujące się między drzewami każą mi przypuszczać, że wciąż śnię, ale nie, mam otwarte oczy, a te postaci są zapewne błogosławionymi leśnymi duchami oznajmiającymi świtanie. Gdy tylko robi się widno, rzucam się ku drzwiom. Owładnięta obsesyjną ideą chaty-trumny, o mało nie dostaję zawału, kiedy za drzwiami pojawia się wielki czarny pies ujadający groźnie i blokujący przejście.

Telewizja puszczy

Razem z Miguelem Ángelem udaje się nam przemknąć obok psa i opuścić chatę. Nie widać nikogo. Szaman i jego żona śpią w innej chacie. W milczeniu wsuwamy kilka banknotów w szparę pod drzwiami jako honorarium za nocną pracę i przecinamy podwórze. Mój towarzysz chce wrócić do hostelu, ale ja się upieram, że trzeba odnaleźć Rosenda. Odpływamy łodzią, która pruje żwawo w stronę wyspy San Francisco. Napięcie między nami jest nie do zniesienia. Nie rozmawiamy. Wpatruję się nieprzytomnie w błyski słońca na powierzchni wody. Coś pękło między nami tej nocy. Pamiętam, że w transie wyznaliśmy sobie skrzętnie ukrywane wstydlive prawdy, słyszeliśmy swój płacz. Teraz trudno jest nam patrzeć na siebie jak przedtem. Tym bardziej że ja majaczę, a on popadł w paranoję. Wydaje się, że ten koszmar nie skończy się nigdy. Kłócimy się o Árevala. Każde z nas twierdzi co innego. Ja jestem przekonana, że uciekam od czarownika i szukam uzdrowiciela. Miguel Ángel podziwia czarownika, a zatem staje się przeszkodą na drodze do mojego wyzwolenia, staje po stronie wroga.

Jestem przeświadczona, że Rosendo posiada lekarstwo na moje imaginacyjne zmyły. Druga podróż pozostawiła mnie dalej niż bliżej. Mówi się, że ayahuasca jest telewizją puszczy. A ja muszę zmienić kanał, zanim wyłączę telewizor. Pragnę zasnąć z jednym choćby banalnym obrazem pod powiekami.

Zaledwie wychodzimy na brzeg San Francisco, miejscowi, których pytam o Rosenda, próbują zniechęcić mnie do poszukiwań. Jakiś mężczyzna mówi, że Rosendo śpi pijany w dalekim zakamarku wyspy. Przypominam sobie zniszczony most, zablokowane linie telefoniczne, dziewięciokilometrową jazdę boczną drogą. A teraz dobry szaman okazuje się pijakiem! Nieodgadniona energia za

wszelką cenę próbowała powstrzymać mnie przed dotarciem tutaj. Chociaż może się to wydawać nieprawdopodobne, zdarza się między szamanami: kradną sobie klientów w walce nadprzyrodzonych mocy. Rosendo nazywa je „gustami”. Ale nie jest wcale pijany. Gdy w końcu trafiam na niego, usypia swoją małą córeczkę w hamaku. Nie podlega dyskusji, że ten obraz na ekranie telewizora wydaje mi się końcem i początkiem czegoś, efemerycznym przejawem arogancji wobec śmierci. Myślę o czekających nas sytuacjach, których my, nieszczęśni śmiertelnicy pozbawieni magii, nie jesteśmy w stanie przewidzieć ani się na nie przygotować. Myślę, że to uczucie spokoju czekało na mnie od samego początku, ale musiałam walczyć, aby go w końcu doświadczyć. To jest mój film dla telewizji i muszę go zrealizować sama.

Nadeszła pora rozstania. Oznajmiam Miguelowi Ángelowi, że mam zamiar spędzić noc w chacie Rosenda. Mój towarzysz uważa, że pozostanie w pojedynkę w tej dziczy to skrajna głupota. Zbiera się do odejścia, pyta mnie po raz ostatni, czy jestem pewna. Rosendo odprowadza go do łodzi, którą Miguel uda się w drogę powrotną.

Rozglądam się dokoła. Aby po raz trzeci spotkać się z rośliną, zamieniłam bogate schronisko na najbiedniejszy szałas San Francisco, leśną gęstwinę bez elektryczności porośniętą halucynogennymi roślinami. Zapada noc i Rosendo przyjmuje swoich gości. Podaje mi dawkę ayahuaski i zaprasza do środka chaty. Zamykam oczy bez lęku.

I oto wreszcie staje się: mam nieodparte wrażenie, że moje arterie i żyły rozciągają się niemal do granic wytrzymałości, rozgałęziając się i skręcając niczym dzikie pnącza – to świetlista autostrada, którą za chwilę wyruszę w drogę. Widzę swoje kruche ciało, nieustające pulsowanie moich wewnętrznych organów, muzyka tak pierwotna, jak pierwsza kołysanka. Jakbym znajdowała się naprzeciwko ekranu, na którym wyświetlane są połączenia najskrytszych zakątków mojego ciała, skąpanych teraz w zielonożółtym płynie, w nowej energii przenikającej mnie od palców stóp po czubek głowy. Ten potężny stopień samoświadomości wyzwala we mnie serdeczną radość, ale zarazem wielkie poczucie winy, że śmiałam wątpić w leczniczą siłę rośliny. Karcę siebie za to, że taka jestem, za moją

podejrzliwość wobec wszystkiego i wszystkich, wyrzucam sobie brak wiary, znikomą nadzieję, pyszałkowaty sarkazm, potoki cynizmu. Płacę nad moją nieznośną arogancją, nad iluzją kontrolowania wszystkiego. Gdy czynię sobie te gorzkie wyrzuty i nienawidzę siebie, coś w środku mówi mi: cóż za wstrętna wada to samowspółczucie, jakie to paraliżujące; i postanawiam sobie wybaczyć, a nawet więcej, postanawiam śmiać się z siebie na całe gardło.

Przestaję być superkobietą i zaczynam postrzegać siebie jako ziarenko, moja skromność jest tak wielka, że prawie przestaję istnieć. Nigdy jeszcze nie czułam takiej pełni, wolna od wszelkiej cenzury, niepotępiająca się na każdym kroku. Co więcej, mojemu wyzwoleniu towarzyszy uczucie fizycznego dobrostanu. Nagle staje się dla mnie jasne, dlaczego niektórzy mówią, że zażycie ayahuaski jest jak natychmiastowa, ekspresowa psychoanaliza. Spływa na mnie uczucie spokoju, spokoju, który – jak przypuszczam – daje poznanie, w tej bowiem chwili mam wrażenie, że przenikam swoim umysłem jakąś tajemnicę. Przyznaję, że istnieje coś, co mnie przerasta i czego jestem częścią. Nie śpię: słyszę ptaki, śpiew szamana i bliskie głosy dzieci Rosenda. To stan najbliższy śnieniu na jawie. Wszystko przybiera niebieską barwę. Podobno kolor ten oznacza przybycie duchów. Rozmawiam z moją rodziną i przyjaciółmi, z żywymi i umarłymi. Proszę o wybaczenie wszystkich, których zdradziłam lub których nie dosyć kochałam. Gdy o tym myślę, słyszę po raz pierwszy bardzo stary głos, który – jak się zdaje – był ignorowany przez całe lata. Czy to głos ayahuaski, czy może mój własny? Głos, który odpowiada na pytania, surowy, choć jednocześnie łagodny i niosący otuchę jak głos matki. Pytam go o moją teraźniejszość, przeszłość i przyszłość i ku mojej konsternacji udziela mi odpowiedzi, zarzucając mnie wszelkiego rodzaju niesamowitymi nowinami. Czuję się lekka jak piórko. Mój umysł, być może moja dusza, unosi się w powietrzu nad moim ciałem jak w filmach o duchach. Jestem pewna, że może odejść na zawsze i zostawić ten balast ciała, które właśnie w tej chwili wciąż jeszcze skręca się ze zdumienia i z zimna. Widzę Rosenda śpiewającego piękne, krzepiące pieśni, okadzającego moją czaszkę dymem opiekuńczego tytoniu, wielkiego, zielonego czarodzieja uciszającego wszystkie moje demony.

Tego nowego dnia wstaję ostatnia. Oślepia mnie światło. Żona Rosenda Marína toczy garnki z gliny, córki karmią piersią wnuki, a starsze dzieci ganiają za jaszczurkami. Wychodzę spod moskitiery, jakbym wyłaniała się z białej macicy. Jestem wyczerpana, ale szczęśliwa. W domu Rosenda, siedząc w kucki między członkami jego rodziny, przebudziłam się z ostatniej podróży ayahuaski.

ŻEGNAJ, OWOCYCIU, ŻEGNAJ

W TEJ WŁAŚNIE CHWILI W CIELE NIEZNANEJ KOBIETY rośnie moje dziecko. Muszę nazwać je jakoś inaczej. Z technicznego punktu widzenia nie jest moim dzieckiem, chociaż posiada moją kompletną informację genetyczną. W trakcie procedury dawstwa lekarze nazywali go owocytem, dopóki go nie pobrali. Nic więcej o nim nie wiem, tylko tyle, że wyewoluował w embriion po wymieszaniu się w laboratoryjnej probówce z nasieniem mężczyzny, z którym nigdy nie pójde do łóżka i który jest mężem (lub nie) tej nieznanej mi kobiety. Ostatecznie owocyt został w niej ulokowany, gdzie jest mu z pewnością wygodnie i ciepło i gdzie je to samo co jego mama.

Gdzieś pół roku temu zgłosiłam się jako dawczyni do jednej z prywatnych klinik leczenia niepłodności w Barcelonie, korzystając z informacji otrzymanej od dziewczyn, z którymi przeprowadzałam wywiady do reportażu o dawstwie komórek jajowych. Wszystkie były Latynoskami jak ja i nie miały jeszcze trzydziestu lat. Przyjechały do Hiszpanii na studia i zajmowały się pracą dorywczą jako kelnerki, ankieterki, roznosicielki ulotek i tak dalej. Większość z nich przeczytała ogłoszenia rozwieszone przez kliniki na uniwersytetach w celu pozyskania dawczyń w optymalnym wieku rozrodczym i o pewnym poziomie kultury. Skusiła je niebagatelna suma dziewięciuset euro, jaką miały otrzymać za danie innej kobiecie możliwości bycia matką. Ostatecznie postanowiłam wziąć udział w procedurze donacyjnej osobiście i pewnego letniego ranka jako szeregową kandydatkę udałam się do luksusowej dzielnicy w górnej części miasta.

Gdy tylko mnie ujrzała – oczywiście nie bez wcześniejszego uściśnięcia mi dłoni – uprzejma pani doktor wypaliła bez ogródek: nie chcę zabierać ci czasu. Dokładnie jej słowa brzmiały: „Nie mamy zapotrzebowania na... egzotyczne komórki jajowe. Pary szukają jajeczek dziewczyn, które byłyby do nich podobne. Chcą uniknąć ludzkiego gadania, bo wyobraź sobie, że później rodzi się im dziecko z tymi twoimi oczami, z czarnymi włosami. Ludzie mogliby powiedzieć, że to dziecko księgarza zza rogu, a nie męża. Pary mają prawo do swojej prywatności. W przeciwnym razie zaadoptowałyby dziewczynkę z Wietnamu”. Zauważyłam, że uczyniła wielki wysiłek, żeby powiedzieć „księgarz”, a nie „facet z warzywniaka” czy coś w tym rodzaju. Parsknęłam śmiechem.

Przytłaczająca większość klientek odwiedzających takie kliniki to białe Europejki: wiele z nich jest Hiszpankami, ale przyjeżdżają masowo kobiety z takich krajów jak Dania, Szwajcaria, Niemcy i Norwegia, gdzie techniki wspomaganie rozrodu są zabronione. Pani doktor popatrzyła na mnie jak na domokrążcę sprzedającego encyklopedie, rzuciła suche „skontaktujemy się z tobą” i wprowadziła moje dane do bazy danych, wytykając mi również, na swój techniczny sposób, moje charakterystyczne cechy: „rysy amerindiańskie”. Jej wyjaśnienie wydało mi się logiczne i ludzkie, chociaż nie mogę opędzić się od myśli, że oto jeszcze przed narodzeniem moje przyszłe potomstwo stało się ofiarą dyskryminacji. Jakiś czas potem miałam ponowić próbę, mimo iż historie moich towarzyszek w tym zuchwałym zamiśle powracały raz po raz ku przestrodze.

Spróbowałam ponownie i zostałam zaakceptowana. Tym razem zapukałam do drzwi kliniki Dexeus. Któregoś dnia, robiąc zakupy w supermarkecie, usłyszałam reklamę radiową zapraszającą radośnie do wstąpienia na drogę dawstwa. W poczekalni czytałam ulotkę informacyjną: „Ustawa o technikach wspomaganego rozrodu stanowi, że dawstwo ma być nieodpłatne”. Zaledwie dziesięć lat temu włączono do ustawy zapis o „rekompensacie finansowej” – politycznie poprawne oblicze sprzedaży komórek jajowych – która dała szansę setkom kobiet borykających się z problemami płodności, czekających prawie rok w kolejce i płacących blisko dziewięć tysięcy

euro za całą procedurę adopcji komórek jajowych. Począwszy od tego dnia, kliniki ruszyły z kampanią reklamową zachęcającą na lewo i prawo do dawstwa owocytów za pośrednictwem plakatów i programów radiowych.

Które z nich są biorczyniami? – zadaję sobie pytanie, rozglądając się dokoła. Pomijając ich dysfunkcyjne lub nieistniejące jajniki, biorczynie to kobiety czytające beztrosko „Hola”, jak ja. Dotrzymuje im towarzystwa mężczyzna albo kobieta, niektóre są młode, inne w dość zaawansownym wieku. Mogą być mężatkami albo pannami marzącymi o macierzyństwie, matkami, osobami heteroseksualnymi albo lesbijkami – ściągają z całej Europy i dzięki nim mówi się już o „boomie turystyki reprodukcyjnej” w Hiszpanii. Ich problematyka jest szeroko dyskutowana i przyjmowana ze zrozumieniem przez opinię publiczną.

Kim jesteśmy my? My jesteśmy dawczyniami, zdrowymi dziewczynami poniżej trzydziestego piątego roku życia, które natura obdarzyła jajnikami w dobrej formie. Naszych historii nie publikuje się w gazetach i całkiem możliwe, że nie są ani tak dramatyczne, ani tak frapujące. Jestem tylko numerem w bazie danych, kolorem włosów, wagą, rozmiarem, grupą krwi, fotografią w karcie identyfikacyjnej.

Jestem jak Tatiana, Brazylijka, siedząca naprzeciwko mnie ze swoim sześciomiesięcznym szkrabem. Przyleciała rok temu do Barcelony studiować i pracować, ale teraz ze względu na dziecko pracować może tylko mąż. Dodatkowe pieniądze z dawstwa bardzo się im przydadzą: „Nie wiem, czy mnie wezmą, muszę jeszcze zrobić całą masę badań. To długi proces”. Martwi mnie jej zalekciona twarz. Będę musiała przejść przez to samo.

Nikt nie robi statystyk pod tym kątem, ale lekarze specjalizujący się w technikach wspomaganego rozrodu szacują, że co najmniej piętnaście procent dawczyń pochodzi z Ameryki Łacińskiej, chociaż opierając się na świadectwach, jakie udało mi się zebrać, podejrzewam, że rozmijają się z prawdą i ten procent należałoby podwoić. Według doktor Montse Boady z kliniki Dexeus ani narodowość, ani rasa nie są powodami odmowy, „ale prawdą jest, że nie wszystkie biorczynie akceptują pewne dawczynie. Naszym

obowiązkiem jest dać im pełną informację. Taka jest rzeczywistość, nie żyjemy w społeczeństwie wielorasowym". Według doktora Ricarda Coroleu nie brak kobiet, które z radością przyjmą latynoamerykańską komórkę jajową taką jak moja.

Biorczynie i dawczynie dzielą tę samą salę, obserwujemy się, obwążujemy, potrzebujemy siebie nawzajem, chociaż się nie znamy. Według prawa obowiązującego w tym kraju proces jest całkowicie anonimowy: one nie mogą wiedzieć, kim jesteśmy, i vice versa. W tej samej poczekalni, chociaż ja nic o tym nie wiem, może znajdować się kobieta, do której trafi mój owocyt.

Dzisiaj otrzymam wyniki testów. Minęły dwa miesiące od mojej pierwszej wizyty. Przeszłam przez ręce pań: ginekolożki, biolożki, psycholożki, w laboratorium o mało nie zakłuli mnie na śmierć podczas pobierania niekończących się próbek krwi na obecność wirusa HIV, zapalenia wątroby, a także do wykonania kariotypu genetycznego; wypełniłam kilometrowy test psychologiczny służący wykrywaniu patologii psychiatrycznych; dostałam do podpisania zobowiązanie, na mocy którego wyrzekam się hipotetycznej i obłąkańczej próby dochodzenia praw do jakiegoś rodzaju macierzyńskości. To tak z grubsza. Teraz jestem tutaj, moje zdenerwowanie pryska, jestem zdrowa i czysta. Nie mogę w to uwierzyć. Odtąd pani biolog, młoda, ścięta na krótko dziewczyna w okularach, będzie czuwać nade mną w czasie krótkiej terapii hormonalnej. Jednocześnie rusza procedura poszukiwania odbiorczyni, która pojawi się za kilka tygodni. Jaki stosunek będzie miała do mnie ta kobieta? Śmiać mi się chce na myśl, że jestem dla niej jak kurka wysiadująca złote jajko. Zabieg pobrania jajeczek zaprogramowany jest na połowę grudnia, czyli za miesiąc. Pani biolog przygotowała staranny program stymulacji pęcherzyków jajnikowych, mając na uwadze dni mojego cyklu menstruacyjnego, który jest zsynchronizowany z cyklem odbiorczyni. W dniach poprzedzających donację nie mogę zażywać pigułek antykoncepcyjnych i muszę bardzo uważać podczas stosunku, żeby nie zajść w ciążę trojaczą. Do tego wszystkiego mam podły nastrój i chce mi się ryczeć. Uprowadzono mnie, że odczuję to przedawkowanie hormonów, jakbym miała pięć okresów naraz.

Codziennie rano wychodzę wcześniej z domu i wsiadam do pociągu jadącego w kierunku kliniki. Gdy docieram na miejsce, krępa pielęgniarka z rutyną wymalowaną na twarzy robi mi zastrzyk domięśniowy, aby pobudzić estradiol, hormon, który wytwarza pęcherzyki jajnikowe. Mam pośladki podziurawione jak rzeszoto i poczucie godności własnej w strzępach. Nazajutrz pobiorą mi krew, żeby skontrolować poziom hormonów, i zrobią USG. „Są jeszcze bardzo małe”, mówi zawiedziona radiolog. Korzystam z chwili jej nieobecności, by rzucić okiem na czarny ekran.

Patrzę na tę wielką planetę w aureoli z wyrazem twarzy astronauty nowicjusza. Ziemia oglądana z tej perspektywy, z zewnątrz, jest przepiękna. Przez chwilę czuję się zagubiona w tym kręgu o kosmicznych reminiscencjach. Każdy z nich przypomina nieruchomą kroplę czarnej wody, kałużę zen nieomal. To te słynne owocyty za dziewięćset euro, które personel medyczny stara się podtuczyć jak prosiaki w chlewie.

Jestem zmęczona codzienną wycieczką po cierpienie. Dziesiątego dnia ginekolog ogłasza werdykt: „Są na medal”. Dziesięć dojrzałych, pulchniutkich, dwudziestomilimetrowych owocytów, wielkości czereśni prawie, gotowych do przeprowadzki. Dlatego czuję się taka opuchnięta, a chodzenie sprawia mi trudność. W noc poprzedzającą zabieg J mnie usypia. Śni mi się, że mam z nim dziecko, ale kiedy pielęgniarka mi je przynosi, widzę, że to nie jest niemowlę, tylko uśmiechnięte jajeczko.

Do tej pory nie powiedziałam, na co wydam pieniądze. Zapłacę ostatnią ratę za moje studia podyplomowe z komunikacji kulturowej. Jestem wzorem sumiennej latynoskiej dawczyni. Dzisiaj po opuszczeniu sali operacyjnej wręczą mi czek, który na tym etapie historii wydaje mi się już bardzo skromnym zadośćuczynieniem za całe to poświęcenie. Czuję się największą altruistką na Ziemi.

Tymczasem zajmuję pokój numer jedenaście na parterze z oknem wychodzącym na ulicę. Korzystam z chwili oczekiwania i wychodzę powęszyć na korytarz, czy aby nie natknę się na biorczynię. Tego samego dnia para, która płaci za owocyt, ma wizytę w poradni. Kiedy wyjdę z sali operacyjnej, lekarka powie im, ile owocytów jest do dyspozycji. Mąż wejdzie ze stosowną gazetką do toalety i postara

się o próbkę swojego nasienia do zapłodnienia *in vitro*. O świcie, wraz z pierwszym paniem koguta, owocyt zostanie zapłodniony w zimnym i ciemnym laboratorium. Ale rankiem wszędzie dla tej pary słońce. Na drugi albo trzeci dzień embrion jest już na tyle dojrzały, że można dokonać jego transferu do jamy macicy odbiorczynie. W pobliżu mojego pokoju nie widzę nikogo, kto byłby do niej podobny. Z sali operacyjnej wraca za to inna dawczyni, wiozą ją na wózku. Latynoska na sto procent. Śpi. Jest blada.

Oblatuje mnie strach.

Co oni mi robią? Punkcję pęcherzyków jajnikowych. To znaczy, że pobiorą owocyty za pomocą igły, wkłuwając się przez pochwę. Lekarka przeprowadza zabieg, nie odrywając wzroku od ekranu echograficznego. Do tej roboty podadzą mi narkozę i będę spać jak suseł. Pobiorą mniej więcej dziesięć owocytów, wykorzystają połowę, a resztę zamrożą w stanie embrionalnym. Zabieg trwa około trzydziestu minut. Już czas. Przychodzi jakiś facet i zabiera mnie wózkiem transportowym na salę operacyjną. Kobieta w zielonym kitlu nakłada mi czepek, inna rozchyła mi nogi, trzecia wkłupa w rękę igłę z płynem fizjologicznym. Anestezja spełnia swoje zadanie i świat znika.

Budzę się i widzę kobietę leżącą na łóżku obok, to młoda dziewczyna po aborcji. Zasypiam ponownie. Gdy budzę się znowu, widzę nad sobą zatroskaną twarz J i szklankę soku pomarańczowego.

W następnych dniach czułam się nieswojo, miałam uczucie, że wystąpiłam przeciwko własnemu ciału, że pogwałciłam jego naturę. Ale rzeczywiście to mija, mam to już za sobą, tak jak obiecują lekarze. Dzisiaj i ja, i moje jajniki wróciłyśmy do normalności. Czytam w gazecie, że w dwa tysiące piątym roku w Anglii weszła w życie ustawa, na mocy której dawcy tracą prawo do anonimowości. Za kilka lat dzieci tych dawców po osiągnięciu pełnoletności będą miały prawo poznać swoich biologicznych rodziców. Zastanawiam się, czy będę gotowa otworzyć za osiemnaście lat drzwi i ujrzeć owocyt w džinsach i polo, z kilkudniowym zarostem, będący najwyższym wyrazem męskiej piękności. Albo owocyt pod postacią dziewczyny o kruczoczarnych,

lśniących włosach, która patrzyłaby na mnie z taką samą jak moja ciekawością.

Wówczas ogarnia mnie smutek i myślę, że nie można wykluczyć, iż plan przewidziany dla owocytu zakończył się niepowodzeniem, że nie przeżył podróży. Albo przeciwnie, że mój wysiłek dał swoje owoce i jakaś para oczekuje dziecka o rysach amerindiańskich albo że owocyt jest teraz zamrożonym embrionem do badań związanych z klonowaniem, które ocali ludzkość. Wolę jednak wyobrazić go sobie jako małe ciało podróżujące w stronę światła.

Kolorowych snów, Owocytka.

CZEKAJĄC NA 11-11-11

1.

Minęło już siedem lat od tamtych wydarzeń. A liczby w tej historii nie są sprawą bagatelną. Było to w dwa tysiące siódmym roku, w roku macierzyństwa na pełny etat, gdy propozycja pracy, która miała nadejść, nie nadeszła i łatwiej było się okopać, niż podejmować kolejne próby. Nie wiedziałam wówczas, że któregoś dnia będę mogła powiedzieć z dumą: wykarmiłam córkę piersią i byłam z nią w domu przez pierwszy rok jej życia. Wówczas wiedziałam jedynie, że moja egzystencja wykonała strategiczną przerwę. Że zatrzymałam się, aby spojrzeć na swoje życie z zewnątrz, i że utraciłam wszelki impuls napędowy. Nie interesowało mnie tworzenie niczego więcej. Marzenie o byciu pisarką wydawało mi się idiotyczne i jedyną, codzienną misję wyznaczało mi moje niemowlę swoim zapachem i płaczem. Nie przypadkiem – nic bowiem w tym opowiadaniu nie jest przypadkowe – był to również rok, w którym najczęściej razy pojawiła się w moim życiu liczba 11. Działo się to tak często, że przestało mnie już dziwić i zmieniło się w coś niemal rutynowego. I takim jest do tej pory. Bo w gruncie rzeczy historia ta sprowadza się do jednej liczby. Na przykład teraz patrzę na zegarek i proszę, oto ona: 11:11. I tak w kółko, przez cały czas, w dzień i w noc.

Ilekoć mi się objawia, zaraz pędzę do Jaimego, który zapoznawszy się z niezbitymi dowodami, jakie przedstawiałam mu przez te wszystkie lata, uwierzył w końcu, że nie jest to mój chory wymysł i że faktycznie mi się „to” przytrafia. Przypuszczam, że on wolałby powiedzieć „coś”. Ja to nazywam „moim głupim sekretem”.

Unikanie przechodzenia pod drabiną czy pomstowanie na czarne koty nie ma z tym nic wspólnego. Przesady to zjawisko ogólnie znane – kolektywne, pocieszne bzdury, którym część ludzi daje wiarę na wszelki wypadek, żeby się nagle nie okazało, że durnie mieli

rację. Tymczasem sprawa liczby 11 to część mnie, jak zaburzenie obsesyjno-kompulsyjne, jak natrętnie powracająca myśl, która zamiast zrodzić się w mojej głowie, zamiast atakować mnie od środka, pojawiła się i umyśliła sobie gnębić mnie z zewnątrz. Każdorazowy kontakt z nią przenosi mnie od stanu wesołości do uczucia zagadkowej poufałości z własnym ja.

Możliwe, że w tamtych dniach byłam nieco „zakręcona”. Móc zamiatać, prać i mieszać chochlą w garnkach z niemowlakiem na plecach, prawie nie śpiąc, prawie nie uprawiając seksu, prawie nie oglądając filmów i nie czytając książek, prawie nie mając żadnej rozrywki, nie będąc ludzką istotą prawie, to, bez wątpienia, rzecz dostępna wyłącznie superbohaterkom albo superwariatkom. Przysięgam, że przez kilka lat, które poświęciłam wychowaniu dziecka, gdy postanowiłam być kobietą podręcznikową – z podręcznika z lat pięćdziesiątych – gabinet pediatry zawsze miał numer 11. Gdy leciałam samolotem, zawsze przypadało mi miejsce 11C. Byłam jedenasta w kolejce do banku. A mój nowy dowód tożsamości tracił ważność 11 dnia miesiąca.

Jak już wspomniałam, zerwałam z dnia na dzień z pracą badawczą, z dziennikarstwem, z komputerami, nawet z literaturą. Jak w książce mojej uwielbianej Joan Didion, był to „mój rok magicznego myślenia”, chociaż w grę nie wchodziła żadna śmierć, wręcz przeciwnie. Po prostu granice między przesądem, wiarą i szaleństwem nie były całkiem jasne. Żyłam w przeświadczeniu, że jedno słowo czy prosty akt mojej woli może zmienić wszystko. W takim przednaukowym stanie umarli wracają, ptaki wiedzą, że to koniec świata, a liczby kryją wiadomości.

2.

Było już dobrze po 11.00 rano – wiem, bo o 12.00 wracałam zwykle z placu zabaw, aby przy odrobinie szczęścia skorzystać ze sjeisty Leny i wziąć prysznic – kiedy po raz pierwszy powiedziałam czarownicy o liczbie 11.

Wszyscy wiedzą, że place zabaw są astralnymi wrotami.

Mimo iż byłam przykuta grubym łańcuchem do roli matki-gospodyni domowej, moje życie nie utraciło pewnego uroku. I w te nieliczne przedpołudnia, gdy nie czułam się jak owad schwytyany w pajęczynę brudnych talerzy, porozrzucanych zabawek i góry wypranych ciuchów do poskładania, słaniając się na nogach z niewyspania po nocnym karmieniu, ale sceptyczna wobec samobójczej perspektywy upichcenia w ciągu godziny obiadu bez odrywania Leny od cyczków, czy – inaczej mówiąc – kiedy wszystko to, o czym wcześniej powiedziałam, wprawdzie nie zniknęło, ale dawało się zamknąć w nawias prostym zabiegiem polegającym na wrzuceniu córki w otchłań jej wózek i zatrzaśnięciu za sobą drzwi, by zbiec na plac zabaw, mimo wszystko mogłam jeszcze nawiązać kontakt z czarownicami.

Zarzucić kotwicę wózka o dziesiątej rano na mieliźnie sztucznej plaży z huśtawkami i piaskiem było dla mnie niczym odbicie karty w innym wymiarze. Wyjście z dzieciątkiem na świeże powietrze, aby z poziomu ziemi mogło nawiązać stosunki z równymi sobie, stanowiło część codziennej mitręgi. Nie zapomnieć o jej łopatkach i kubelkach – wyczyn o kosmicznym wymiarze. Wytłumaczyć, że ów ptaszek to gołąb – zaawansowana lekcja nauk ścisłych. Pilnować, żeby nie opychała się piachem – ocalić jej życie.

Nauczyłam się poruszać jak astronauta w tym kosmosie niepotrafiących jeszcze utrzymać prosto główki kilkumiesięcznych

berbeciów i ich latynoskich opiekunek i katalońskich babć. To właśnie jedna z tych niań, ruda dziewczyna opiekująca się maluchem ze skośnymi oczami, przedstawiła mi czarownicę. Sześćdziesięcioletnia może kobieta o długich, siwych włosach, odziana jak hippiska, była biegła w energii, gwiazdach, kwestiach metafizycznych, pozaziemskich i New Age. Szarlatanka dla zwykłego przechodnia, potężna czarownica dla matki nudzącej się na placu zabaw.

– Nie wiesz przypadkiem, co może znaczyć, że wszędzie widzę liczbę 11, 11:11...?

Popatrzyła na mnie zza wielkich okularów i poleciła Bogu.

– Jedenaście – stwierdziła – jest liczbą „mistrzowską”, która kieruje życiem wyjątkowych osób powołanych do wielkich poświęceń w czasie swojego pobytu na Ziemi.

Ja, która od kilku miesięcy pobierałam nauki codziennego poświęcenia, spojrzałam na nią ze wzgardą.

– Ludzie, którzy cię otaczają – ciągnęła – są od ciebie zależni, a tobie, gdy nadejdzie odpowiedni moment, przyjdzie ich chronić. Nie będzie to droga usłana różami, znajdziesz się w niejednej dramatycznej sytuacji, dopóki nie nauczysz się zarządzać swoją mocą, ale sprostasz temu wyzwaniu. Jedenastka cię poprowadzi, oddalając od zła, byś mogła czynić dobro innym ludziom, ty bowiem należysz do wybranych, którzy na Ziemi są apostołami kosmicznej prawdy.

Poczułam się jak Człowiek Pająk słuchający Wujka Bena.

Czarownica z placu zabaw zakończyła sugestią, że powinnam odrzucić lęk i pogłębić moją wiedzę na temat jedenastki, która okaże się dla mnie wielkim zaskoczeniem. Gabriela Wiener oddalała się stromą alejką, popychając przed sobą objuczony zakupami wózek z wygłodniałym, wydzierającym się wniebogłosy niemowlęciem i ocierając pot ze skroni. Wtedy poczuła, że teraz wszystko ma sens. W przeciwnym razie po jakiego diabła miałyby później piec kurczaka dla swojej rodziny. Musiał być w tym jakiś wyższy cel. To wyjaśniało, dlaczego przez całe życie uważała się za osobę szczególną, wszystko jedno, dobrą czy złą. To miał być jej nowy sekret. Gabriela porzuciła literaturę albo literatura ją porzuciła. Gabriela była zbyt wyczerpana

i gotowa uwierzyć, że jest kosmitą lub co najmniej jego emisariuszem.

3.

Tamtego przedpołudnia po powrocie z placu zabaw do domu, zanim jeszcze zabrałam się do kurczaka, rzuciłam się do komputera, by wpisać liczbę 11 w białe okienko wyszukiwarki Google'a, poganiana spazmatycznym płaczem zdesperowanej Leny. Moim oczom ukazała się niczym kody Matrixa rzesista ulewa świadectw tysięcy ludzi doznających tej samej liczbowej tortury. Nagle, gdy zdałam sobie sprawę, że to, co uważałam za jedyne w swoim rodzaju i niepowtarzalne, zrównywało mnie z milionami wizjonerów, zrodził się we mnie bunt. Dlaczego musi być aż tylu wybrańców?

W istocie rzeczy liczba 11 daje się we znaki wielu ludziom na całym świecie od dziesiątków lat.

Na stronie internetowej Solary, swoistego guru liczby 11 – korpulentnej blondyny gustującej w różowych tunikach i pstrokatych fularach, która organizuje spotkania w „energetycznych” miejscach, takich jak Cusco – znalazłam potwierdzenie rewelacji zasłyszanych od czarownicy. Liczba 11, przeczytałam, pojawia się w czasach podwyższonej świadomości i wywiera potężny wpływ na osoby, które ją widzą. Nazywana jest „wyzwalaczem wspomnień”, bo na jej widok banki naszej komórkowej pamięci stają się nieco bardziej aktywne, odnosimy wrażenie, jakby w naszym wnętrzu coś uległo głębokiej przemianie, jakbyśmy nagle przypomnieli sobie rzecz zapomnianą przed wiekami.

Reasumując, liczba 11 ma znajdować się we wszystkich rzeczach jako kod przywołujący kosmiczny czas, w którym świadomość Wszechświata była tylko jedna. Misją wybrańców liczby 11 jest o tym pamiętać i komunikować powyższe reszcie ludzkości.

Ale co za ciemniak sypnął takim zatrząsieniem zaproszeń na imprezę, która z definicji powinna być elitarna?

4.

Minęły cztery lata od mojego całodobowego macierzyństwa i od rewelacji zasłyszanych na placu zabaw, gdy uświadomiłam sobie, że w niedługim czasie stanie się coś niezwykłego, coś, co zdarza się tylko raz na sto lat. W kalendarzu czekała nas data, w obliczu której każdy, kto owładnięty jest obsesją liczby 11, musi się poczuć, jakby dostał obuchem w głowę: 11-11-11, jedenasty dzień jedenastego miesiąca jedenastego roku. Do tego czasu porzuciłam już rolę kury domowej i wróciłam do dziennikarstwa, chociaż nie tak, jak bym sobie tego życzyła. Objęłam stanowisko szefowej redakcji magazynu dla facetów, którzy onanizują się jeszcze na widok piersiastych dziewczyn wydrukowanych na papierze. Raz w miesiącu musiałam przeprowadzić wywiad z kolejną właścicielką silikonów i spytać, czy jest zwolenniczką seksu analnego. Choćby nie wiem jak bardzo rajcowała mnie ta tematyka, nie była to praca, którą mogłabym się pochwalić przed mamą czy przyjaciółkami hipsterkami. Byłam najemniczką najbardziej prostackiej męskiej prasy, chociaż lubiłam sobie wyobrażać, że jestem zakonspirowaną feministyczną agentką.

Gdy oglądałam zdjęcia i filmy wideo z epoki, w której miewałam międzygwiazdne spotkania na placach zabaw, nie rozpoznawałam siebie w tych zwiewnych szatach poplamionych mlekiem, z tymi obrzępolonymi własnoręcznie włosami i z przygłupim uśmiechem. Poza tym mimo iż wróciłam do produktywnego stada, chociaż w moim życiu zwyciężył rozum, liczba 11 w dalszym ciągu przypominała mi o sobie ze swoją zwykłą natarczywością.

A 11-11-11 był tuż-tuż. Nawet Jaime, który nie wierzy w nic, przebąkiwał, że powinnam zaopatrzyć się w kupon loterii, na wszelki wypadek.

Jedną z najważniejszych gier liczbowych w Hiszpanii jest ONCE³⁰ (skrótowiec od krajowej organizacji hiszpańskich niewidomych zarządzającej loterią), która tego roku, co było do przewidzenia, wypuściła loterię specjalną z nagrodą główną jedenastu milionów euro. Jak zwykle zwlekałam do ostatniego dnia. Od mężczyzny urzędującego na wózku inwalidzkim przy wejściu na targ Boquería kupiłam zakład o numerze 55 860. Suma cyfr nie dawała nawet wielokrotności 11, ale było to jedyne, co udało mi się zdobyć. Schowałam go do portmonetki i nie pozostało mi nic innego, jak zaczekać.

Według chińskiego horoskopu rok dwa tysiące jedenasty był poza tym rokiem królika, moim rokiem.

[30](#) Jedenaście (przyp. tłum.).

5.

W powieści graficznej, którą czytałam w tamtych dniach, *Jesteś moją matką?* Alison Bechdel, na jednym z rysunków autorka i bohaterka historii, zapalona czytelniczka książek o psychoanalizie, analizuje swój sen, w którym z jakiegoś powodu pojawia się liczba 11: „«W psychice naszej nie ma niczego dowolnego, niczego, co nie byłoby zdeterminowane», podkreśla Freud. Szczególnie zaś nie są takie liczby. Jedenaście jest pierwszą liczbą, której nie można policzyć na obu rękach. Wychodzi poza, przekracza granicę i dlatego łączy się z grzechem”³¹. Liczba, w której czarownica z placu zabaw upatrywała znamion boskości, dla innych jest przeklętą. Grzech jedenastki polega na jej niekompletności. Znajduje się pomiędzy 10, liczbą perspektywy ludzkiej, a 12, liczbą perspektywy kosmicznej. W wyniku zdrady Judasza liczba apostołów skurczyła się do 11. Jest to liczba związana boleśnie z zamachami i klęskami żywiołowymi, do których doszło w ostatnich latach.

W Internecie aż huczy od teorii, które rozbierają na czynniki pierwsze każdy szczegół ataku na World Trade Center, od daty (9-11) do dwóch wież tworzących 11, nie zapominając o numerze lotu (11) pierwszego samolotu, który uderzył w wieżę północną, liczbie załogi jednego z samolotów (11), liczbie osób, które zginęły w tym samolocie, 92 ($9+2 = 11$), czy numerze alarmowym w Stanach Zjednoczonych (911 = 9/11), na który tego dnia dzwoniły miliony osób. Jedenaście lat trwała budowa wież.

To samo dotyczy zamachów z 11 marca 2004 roku w Madrycie. Zginęło w nich 191 osób: $1+9+1 = 11$; i data, $1+1+3+2+0+0+4 = 11$. Jedenastki, gdzie tylko spojrzeć.

Dzień Pamięci w Anglii obchodzony jest 11-11. Nawet amerykański 4 lipca zawiera 11: $4+7 = 11$.

Nie wspominając o trzęsieniu ziemi, które spowodowało katastrofę nuklearną w Fukushima: było to 11 marca 2011 roku. Czy o zamachach w Oslo, 22 lipca 2011. Aha! – przecież Kennedy został zastrzelony 22-11.

Te makabryczne „odkrycia” od lat krążą w sieci: dostarcza ich na przykład witryna Uri Gellera, mentalisty zginającego łyżki, czy strona młodego geeka Rika Claya, który popełnił samobójstwo niedługo po udzieleniu wywiadu radiowego na temat jednego ze swoich odkryć (choć jego wielbicieli wciąż twierdzą, że stał się ofiarą konspiracji rządowej i zamordowano go, żeby zamknąć mu usta). We wszystkich rozpowszechnianych prognozach 11-11-11 to data wybrana dla Ogólnoświatowej Zmiany. Rok później, według Majów, mieliśmy się usmażyć na wieki wieków w piekle końca świata.

Dlaczego trafiło to na mnie? Dlaczego ta przeklęta liczba właśnie mnie prześladowa? Czyżbym była narzędziem Szatana? Ciężko mi to wyznać, ale byłam świadkiem trzęsienia ziemi w Chile w 2010 roku. Również studenckich zamieszek w Lyonie, gdzie pod Operą spalono dziesiątki kontenerów na śmieci. Stałam za trzęsieniem ziemi w peruwiańskim Pisco. Ponoszę też winę za to, że David Bowie wbił sobie cukierek w oko, że Morrissey upił się w samolocie i nie dotarł na festiwal w Benicasim i że Keith Richards spadł z palmy kokosowej. Kiedy dokądś jadę, idę na koncert, dochodzi do jakiejś klęski. Coś się odwołuje, coś ulega zniszczeniu. Kiedyś przypisywałam to tylko mojemu pechowi, lecz gdy twój pech przecina się z losem tysięcy ludzi, czujesz się odpowiedzialny za wszystko. Nie jestem całkiem bez winy, jeśli chodzi o nieszczęścia dotyczące świat, ale czy ktoś może być stuprocentowo czysty? Pitagoras jako pierwszy uznał, że Wszechświat jest jednością emitującą dźwięki. Wszechświat jest ogromnym fortepianem i każdy akt woli na Ziemi można przyrównać do naciśnięcia jednego klawisza. Nawet najśłabszy odgłos, jaki wydajemy, słyszalny będzie w taki czy inny sposób w którymś z zakątków Wszechświata. Wiadomo, że ruch skrzydeł motyla może wywołać tsunami.

Jeden z ostatnich filmów o tajemnicy 11-11-11 (jest ich kilka) miał swoją premierę w 2011 roku. Został zrealizowany w Barcelonie, gdzie mieszkałam do 2011 roku właśnie. Opowiada historię pisarza,

który traci żonę i syna. Kiedy przeprowadza się do Barcelony, zaczyna zauważać uporczywą obecność 11:11. Z czasem odkrywa, że to niby przypadkowe zestawienie liczb jest wiadomością wysłaną do wielu osób przez opiekuńcze anioły, które przez długie lata usiłowały nawiązać łączność z ludźmi. Pragną ostrzec świat przed zbliżającym się otwarciem (11-11-11) wrót prowadzących do wymiaru, z którego – jak twierdzą – przeniknie coś niewyobrażalnego. W filmie rozpoznałam fasadę bazyliki Santa Maria del Mar i Parque del Laberinto, gdzie przez kilka lat chodziliśmy z Leną, bawiąc się w chowanego między krzewami. Tylko że w filmie nie goni cię mama, lecz mroczna i przerażająca istota.

[31](#) Alison Bechdel, *Jesteś moją matką?*, przeł. Paulina Piotrowska, Timof Comics, Warszawa 2014, s. 68.

6.

Pewnego dnia w 2011 roku (powtarzam, liczby w tym artykule nie są błahostką) zobaczyłam, że pisarz Iván Thays umieścił na swoim Facebooku: „11:11”. Thays jest jedyną znaną mi osobą, która przyznała publicznie, że należy do ludzi widzących 11 na każdym kroku, i nie wiem dlaczego, ale pomyślałam wówczas, że jeśli wykształcony człowiek wierzy w te idiotyzmy, w jakimś sensie sankcjonuje mój własny idiotyzm. Chciałam się dowiedzieć, jak on do tego podchodzi, i Iván opowiedział mi zaskakującą historię: wyznał, że liczba 11 towarzyszy mu od dziecka, od dziewiątego, dziesiątego roku życia. Jest więc prawdziwym weteranem. Ponadto pamięta dokładny moment, w którym zobaczył ją po raz pierwszy. Znajdował się poza Limą, możliwe, że na wakacjach. W pewnej chwili zaproponował swojej kuzynce, żeby wyszli pobawić się na dwór. Spojrzał na zegarek i wówczas ją ujrzał. Była 11:11 rano. Pomyślał: teraz będę ją widzieć zawsze. I tak się stało. Na prowadzonych przez siebie warsztatach literackich przeczytał opowiadanie jednej z uczestniczek, którego bohater wstawał codziennie o 11:11 rano. Tym sposobem Thays dowiedział się, że nie jest sam. Widzi 11 albo 1111 na banknotach, na domach, na tablicach rejestracyjnych aut, na kartach bankowych. Mówi, że w „widzących” tygodniach jest bardziej uduchowiony albo odczuwa większą potrzebę zasięgania rad niż w czasie, gdy jedenastka się nie pojawia. I zawsze go zaskakuje. Thays powiedział mi również o czymś, z czym całkowicie się zgodziłam: w gruncie rzeczy liczba 11 nie jest atrakcyjnym tematem, jest podatna na oszustwa, tak więc każdy musi dla niej znaleźć osobiste znaczenie w swoim życiu. Dla niego jest swoistym sygnałem ostrzegawczym. Gdy się pojawia, Thays odstawia wykonywaną akurat robotę, mówi sam do siebie, odnosi bowiem wrażenie, że coś

w jego wnętrzu się tego domaga, odmawia modlitwy lub wypowiada jakieś życzenie i czuje, że coś lub ktoś nad nim czuwa. Wróciłam myślami do czarownicy z placu zabaw i zapytałam Thaysa, czy sądzi, że ludzie napiętnowani jedenastką mają do wypełnienia jakąś misję na tym świecie.

– Ależ skąd – odpowiedział – to jest coś bardzo osobistego. Wszyscy ludzie, widzący czy niewidzący jedenastki, mają na tym świecie misję.

Przyłączyłam się do grupy na Facebooku „11:11”, do której należał Thays. Jego aktywność była skromna, a kontem zarządzała Hachinowi Brown, młoda Peruwianka próbująca nawet zorganizować jakieś spotkanie, na którym jednak nie zjawił się żaden z członków.

Napisałam maila do innego pisarza. Tym razem do pisarza naukowca: hiszpańskiego fizyka, poety i powieściopisarza Augustína Fernández Mallo, który z Nocilli (uwielbianego przez dzieci kremu czekoladowego, smarowidła do chleba) uczynił literacki projekt będący wizytówką pewnego pokolenia pisarzy. Spytałam go, czy w tym litym bloku uporządkowanej wiedzy opartej na empirycznej weryfikacji i logicznych prawach, jaką jest nauka, istnieje minimalna choćby szpara, przez którą mogłaby się wślizgnąć liczba 11? Czy naukowcy mają wątpliwości? Czy w którymś momencie całe to spiętrzenie obłędu, jakim zwykli ludzie dzielą się między sobą w Internecie, może sprawić, że naukowcy cisną próbówki, wbijają wzrok w niebo, wpadną w nałóg obgryzania paznokci, stracą grunt pod nogami, popełnią samobójstwo? Jesteś mi potrzebny jako naukowiec, napisałam do niego. I jego odpowiedź była bezwzględna: to nie ma żadnych podstaw.

„Mamy do czynienia z udratyzowanymi interpretacjami, czasem wręcz paranoicznymi, czegoś, co nie znaczy nic: to tylko liczby. Liczby nie są niczym innym jak mentalną abstrakcją – dodał. – Znaczą tylko tyle, ile chcemy, żeby znaczyły. Te same argumenty mogą przemawiać za tym, że 11:11 to liczba magiczna, jak i za tym, że nią nie jest”.

„Strawa bezkrytycznych ludzi”, „sałatka pseudonaukowych pojęć”, „wierzenia godne magicznego myślenia”, to niektóre z określeń przez niego użytych.

„To tak, jak wierzyć w objawienie się Matki Bożej w Lourdes, ni mniej, ni więcej – dorzucił na zakończenie. – Wszędzie widzisz 11:11, bo po prostu cały czas o tym myślisz. To samo byłoby, powiedzmy, z 19:64. To typ myślenia a posteriori. Nie daj sobie robić wody z mózgu!”.

Przeczytałam jego maila i spojrzałam na zegarek przekonana, że będzie 11:11, ale była 10:35.

7.

Zawsze wykazywałam się niemiłosierną tępotą z matematyki. Królowa nauk była dla mnie zawsze czymś nie z tego świata. Być może dlatego, że nie rozumiem ni w ząb, o co w niej chodzi, liczba 11 jest dla mnie tematem całkowicie ezoterycznym. Chociaż nie zaakceptowałabym też pod żadnym warunkiem, by stawiano mnie na równi z kimś, kto wierzy w objawienia Matki Bożej z Lourdes. Ja nie szukałam jedenastki, to jedenastka znalazła mnie. Wydarzenia 2011 roku: 11-02-2011 zatriumfowała rewolucja egipska i Mubarak ustąpił ze stanowiska prezydenta; 11-04-2011 doszło do ataku terrorystycznego w mińskim metrze na Białorusi: zginęło 11 osób; 11-05-2011 silne trzęsienie ziemi zniszczyło częściowo hiszpańskie miasto Lorca, gdzie nigdy wcześniej nie było trzęsień.

W 2011 do dymisji podał się Silvio Berlusconi, zlikwidowano Kaddafiego i Osamę bin Ladeną.

Z matematyką jestem na bakier, ale podjęłam się zadania przeprowadzenia z liczbą mojego życia eksperymentu, który wykataapultował do sławy samobójcę Claya czy Uriego Gellera, aby sprawdzić, czy uda mi się wyklarować jakieś jedenastki. W moim życiu jest jedna stuprocentowa, bo urodziłam się w listopadzie. Zsumowałam litery imienia i obu nazwisk³² i uzyskałam 19. Później zajęłam się datą urodzin i wyszło mi 30. Próbowałam dalej, ale żadnej jedenastki ani na lekarstwo, chyba że „niuansowałam/robiłam szwindle”: używając zera jako jedynek, zmieniając datę urodzin Jaimego i tym podobne. To samo dzieje się z lwią częścią rewelacji krążących w sieci. Gdy badaczowi dopisze raz i drugi szczęście z niektórymi odkryciami, zaraz budzi się w nim skłonność do naginania wrogiej rzeczywistości i dopasowywania jej do swojej teorii. Zjawisko to nazywa się „skrótom informacyjnym”, tendencją

do wspomaganie faktów, które mają potwierdzić punkt widzenia badacza, oraz do subiektywnej selekcji danych i interpretowania ich w sposób fragmentaryczny i stronniczy.

Jak byś zareagował, gdyby twoje wierzenia uznano za bujdę na resorach, gdyby twoje życie, twoje dobre imię i prestiż zostały nagle unurzane w błocie? Być może byłby to dobry powód do samobójstwa, przynajmniej dla mnie, patrząc na to przez pryzmat mojej wrażliwości. Ale wyznawcy liczby 11 nie są ludźmi o logicznych inklinacjach. Ja też nie.

[32](#) W Hiszpanii i w krajach Ameryki Łacińskiej mężczyźni i kobiety używają dwóch nazwisk: pierwsze w kolejności jest po ojcu, drugie po matce. Pełna tożsamość autorki brzmi: Gabriela Wiener Bravo (przyp. tłum.).

8.

Czarownice są zabawniejsze od psycholożek, bo dużo mówią, zamiast ciebie zmuszać do mówienia. Koncentrując się na ponurych aspektach naszego życia, przykuwają nasze zainteresowanie i uwagę. Uwielbiam, gdy o mnie mówią, nawet gdy są to tylko czyste spekulacje i łgarstwa. Utrzymuję ten rodzaj wiary czy naiwności jako część mojej prywatnej gry z nieznanym. Co najmniej dwie z moich przyjaciółek są moimi sekretnymi łączniczkami z pierwiastkiem duchowym i magicznym, czyli z tym, od czego zazwyczaj odżegnuję się publicznie. Moja religijność nigdy „nie wyszła z szafy”. Nie wierzę nikomu, że noszę w torbie niebieski kamień błogosławiony przez przyjaciółkę, trochę czarownicę; zanim mi go ofiarowała, przy rytualnych świecach i podłodze posypanej solą, przesunęła nim po całym moim ciele, starając się pomóc mi wyjść z blokady twórczej; że pod moim łóżkiem leżą pięciocentowe monety, na które muszę uważać przy zmiataniu, jeśli marzę o tym, by sytuacja finansowa mojej rodziny uległa poprawie. Jaka jest różnica między bramami świadomości otwierającymi się dzięki wizjom jedenastki a mistycznymi uniesieniami kabały, jogi, sufizmu, tarota, tantry, psychomagii... jeśli wszystkie te praktyki mówią również o energii, przemianie, synchronii, symbolicznych korespondencjach, intuicji kosmicznej, aniołach, mandalach, świecach i karmie? Od czasu do czasu Jodorowsky wrzuca tweet w stylu: „11:11 = 22. Święta liczba. 11 naprzeciwko lustra. Twój boski sobowtór Cię szuka. Najwyższy czas otworzyć ego Twojej elementarnej Istocie”. Każdy z nas odprawił kiedyś rytuał synkretyzmu religijnego na domowym ołtarzu.

Czy ja w to wszystko wierzę? Na pewno nie wierzę w przypadki. Przydarzyło mi się zbyt wiele rzeczy, by wierzyć, że wszystko

sprowadza się do statystyki, szczęścia, déjà vu i zbiegów okoliczności. Tak że wolę ścisnąć lapis lazuli w dłoni na wszelki wypadek, gdyby któregoś dnia miało się okazać, że ezoterycy – mówiłam o tym wcześniej – mają rację, jak durnie.

Z inną przyjaciółką, instruktorką jogi dla ciężarnych, rozmawiam zwykle na czacie o naszych sprawach: w mgnieniu oka przechodzimy od amatorskiej psychoanalizy do astrologii. Dygoczę cała od jej szalonej lektury mojej osobowości i przyszłości. W moim otoczeniu mało jest kobiet po trzydziestce, które nie miałyby świadomego i dumnego życia duchowego. Ja dalej siedzę w szafie. Łudzę się, że to dlatego, że ja mam po prostu życie.

9.

Moi rodzice nie śpiewali mi nigdy chrześcijańskich kołysanek przed snem, nie ochrzczili mnie, nigdy nie pozwolili, bym uklękała w kościele, nie zgodzili się, bym uczęszczała na lekcje religii, nigdy nie mieli w domu krzyża. Tylko moje babcie walczyły o to, żeby mojej siostry i mnie nie zabrał diabeł. Codziennie rano o 11:00 babcie porzucały swoje zajęcia, cokolwiek to było, wyłączały telewizor, w którym oglądałyśmy kreskówki, i sposobiły się do nastawienia odpowiedniej stacji radiowej. W milczeniu, z zamkniętymi oczami, muskały opuszkami palców paciorki swoich różańców, podczas gdy przepiękna aria Schuberta wypełniała wszystkie zakątki pokoju, a przeszywający kobiecy głos wstrząsał moją duszyczką dziecka niewiedzącego, co to takiego grzech. „Zdrowaś Maryjo, łaski pełna, Pan z Tobą, błogosławionaś Ty między niewiastami i błogosławiony owoc żywota Twojego, Jezus. Święta Maryjo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci naszej. Amen”. A ja modliłam się po kryjomu, na wszelki wypadek (kolejny raz), gdyby moje babcie miały jednak rację i Bóg istniał. To tak jak z tym kamykiem w torebce.

Na uniwersytecie poznałam Gisellę, studentkę edukacji, dziwną i skrytą. Nie mam pojęcia, z jakiego powodu się zaprzyjaźniłyśmy. Myślę, że w tym czasie przestałam już troszczyć się o publiczny wizerunek i zadawać się wyłącznie z osobnikami sprawiającymi wrażenie najszcześniejszych i najbardziej rozrywkowych. Gisella chciała być zakonnicą. Ja chciałam zapomnieć o moim ego. Pamiętam nasze długie rozmowy o Bogu i spotkania młodych katolików, na które mnie prowadziła, by sprawdzić, czy nie jest to czasem moja droga. Krótco potem zaczął się najbardziej cielesny etap w moim życiu i oddaliłam się od Boga na wiele, wiele lat.

Tymczasem moja matka porzuciła politykę i dzięki temu przestała być ateistką. Zawsze gdy w moim życiu dzieje się coś ważnego, mówi, że strzegą mnie aniołowie stróże. Twierdzi, że widzi mnie, chociaż jestem daleko, że mnie czuje, że odgaduje, co się ze mną dzieje. Nazywa siebie „kapłanką Mochica”. Moja rodzina ze strony matki pochodzi z regionu związanego z kulturą Mochica, której najwyższym bogiem był „dekapitator” i w której praktykowano składanie ofiar z ludzi.

Czasem, gdy ktoś mnie o to prosi, idę nad morze wybłagać, aby stały się pewne rzeczy albo żeby nie stały się nigdy. Wiara była dla mnie zawsze kwestią bardzo mało profesjonalną.

10.

11-11-11 świat budził się do życia w niepowtarzalnym dniu. Grupy ezoteryków czekały nań niezwykle aktywnie. W odróżnieniu od 21 września 2012 roku – koniec świata zapowiadany przez Majów – data ta nie zawierała katastroficznych prorocstw, wręcz przeciwnie. Dla Solary, szamanki liczby 11, był to dzień, w którym mieliśmy ujrzeć wreszcie uchylające się wrota do owego innego świata, upragniona chwila, w której wszyscy mieli osiągnąć stan synchronii, a świadomość planety ulec przemianie. Jakby ktoś po drugiej stronie nacisnął reset. Nie tylko zaplanowano z tej okazji ceremonie, rytuały medytacyjne i modlitewne, jak świat długi i szeroki: w niektórych krajach, jak Szwajcaria, w związku małżeńskie miały wstąpić setki par, a w wyniku zaplanowanych cesarek urodzić się setki noworodków, by mogły wchłonąć energię tego szczególnego dnia. Dla pozostałych ludzi był to kolejny zwykły dzień.

„Spotkamy się w jednym sercu, duszy i myśli, aby połączyć nasze głosy z głosami najstarszych i najmądrzejszych kultur”, oznajmiono z Instytutu Badań Holistycznych we Francji.

W argentyńskiej Capilla del Monte, u stóp góry Uritorco, Matías de Stefano, młodzieniec, który twierdzi, że jest reinkarnacją mieszkańca Atlantydy, zgromadził ponad dwanaście tysięcy osób w oczekiwaniu na duchowe połączenie.

W Egipcie natomiast junta wojskowa udaremniła ceremonię, którą tysiące „ludzkich aniołów” zamierzało odprawić na piramidzie Cheopsa, by w ten sposób przyjąć świętą energię i stworzyć tarczę między Ziemią i Kosmosem. Oskarżono ich o satanizm. Zbulwersowani faktem, że po wielu miesiącach przygotowań nie mogą wejść na piramidy, ezoterycy zapowiedzieli, że w wyniku braku ochrony 12-12-12 nastąpi koniec wszystkiego.

11.

W piątek 11-11-11 w hiszpańskiej Barcelonie wstał słoneczny dzień. Otworzyłam oczy, sprawdziłam pocztę w iPhonie. Dostałam maila z numerem rezerwacji hotelowej i biletem na AVE do Madrytu. Zaczynałam w poniedziałek. Za dziesięć dni mieliśmy się przeprowadzić z Jaimem i Leną do stolicy Królestwa. W apogeum hiszpańskiego kryzysu dostałam właśnie dobrą pracę w kobiecym magazynie, z dużo lepszym wynagrodzeniem i – co cieszyło mnie najbardziej – obietnicą uzupełnienia moich zapasów kremów i perfum. Nie jest źle. Moi znajomi, połowa z nich na bezrobociu, nie dawali wiary. Pragnęłam tego potajemnie i to się naprawdę działo. Skrót informacyjny? 11-11-11 ubrałam się jak zawsze na czarno. Był to ostatni dzień pracy w dziwacznej publikacji dla twardych facetów lubujących się w kobietach z silikonowymi cyckami. Wkrótce miałam stanąć na czele magazynu dla kobiet lubujących się w konfekcji i kosmetykach. Opuszczałam miasto, w którym spędziłam osiem ostatnich lat. Odrodzenie i rzucenie kotwicy w nowym życiu. Jedne drzwi się zamykają, inne otwierają. Wiele jeszcze wody musiało upłynąć, żeby móc określić rzeczywistą skalę tych zmian, czy były to zmiany na lepsze, ale niewątpliwie dokonała się zmiana i to radykalna. Zanim wyszłam do redakcji, postanowiłam poczekać do 11:11. Chciałam być o tej godzinie z Jaimem.

O 11:11, 11-11-11, spojrzałam na zegarek w telefonie i ściskając go w garści, pobiegłam długim korytarzem mojego byłego barcelońskiego mieszkania. Udało mi się oderwać Jaimego od komputera i zaciągnąć go do sypialni. Poprosiłam, byśmy zamknęli oczy i pomodlili się o nasze nowe życie w Madrycie, jakbyśmy dotykali w ciemności paciorków alternatywnego różańca. Modliłam się za nas. Potem wyszliśmy na zalaną światłem galerię.

Chwilę po 11:11, 11-11-11, napisałam pożegnalnego maila do koleżanek i kolegów z redakcji. Powiedziałam im: „Wierzcie mi, kochani, że ostatnio chodzę spać bardzo wcześnie, kładę się na łóżku w pozycji embrionalnej, udając, że to nie ja muszę stawić czoła nowemu życiu. Cykor jest konkretny, wiecie, jak to jest. Ale dzisiaj obudziłam się z większym animuszem i o 11:11, 11-11-11, zrobiłam sobie absurdalne zdjęcie z zegarkiem. Tak więc jestem skończoną i superwrażliwą New Age, gotową do rozstania”. Ironia, absurd, żart. I prawda.

O trzeciej po południu 11-11-11 opuściłam byłą redakcję i ruszyłam przed siebie w samotności aleją Paseo de San Juan, czując się osobą chwilowo wyzwoloną. Nie wiem, co jadłam na obiad. Ani gdzie. Odebrałam Lenę ze szkoły i pomogłam jej napisać listy pożegnalne do kolegów.

O 19:19, 11-11-11, dostałam maila od Christiana Basilisa, szefa redakcji magazynu „Orsai”, z którym kilka tygodni wcześniej rozmawiałam o liczbie 11 w pogodną noc w Sant Celoni. Spytał mnie, o czym będę pisać w mojej kolumnie w „Orsai” w 2012 roku, na co ja, że o końcu świata. Ucieszył się.

Powiedziałam, że wyjeżdżam do Madrytu. On, że wraca do Argentyny. Oboje byliśmy zaskoczeni, pożyczaliśmy sobie szczęścia.

Iván Thays wziął udział w obrzędach celebrowanych wokół ogniska na plaży. Było to bardzo inspirujące, choć nie pociągnęło za sobą żadnych konsekwencji. Hachinowi wybrała się pod namiot nad jezioro ze swoim mężem i psem Vincentem. O 11:11 pograżyli się w medytacji i wchłonęli pozytywną energię tego miejsca. Nie poczuli, żeby coś zmieniło się w ich życiu.

Co się tyczy loterii, straciłam tego dnia milion euro, jako że główna wygrana przypadła na numer 56 850, gdy ja tymczasem miałam 55 860. Jak widać, byłam bardzo blisko, cyfry te same, tyle tylko, że 6 i 5 zamieniły się miejscami. $6+5 = 11$.

Według Wikipedii 11-11-11 nie wydarzyło się na świecie nic godnego uwagi.

O BYCIU MATKĄ

WIDZĄC JE TAKIE MALUTKIE, takie przenośne, chciałoby się je wsadzić do walizki i bynajmniej nie po to nawet, żeby przestały płakać, ale by sprawdzić, czy się zmieszczą. Są to impulsy, które z czasem rodzic uczy się w sobie tłumić. Codziennie musi uważać, aby jego akcje i reakcje nie spowodowały u malucha nieodwracalnego uszczerbku na zdrowiu. Na tym polega eksperyment. Kiedyś sądziłam, że gdy zostajesz matką, głupota przechodzi ci jak ręką odjął, że z dnia na dzień zaczyna działać dziwny mechanizm, automatyczny pilot zawiadujący podróżą w dojrzałość.

Lipa. Nie ma takiego mechanizmu. Są dni, kiedy przeglądasz się w lustrze macierzyństwa. Czasem podoba ci się to, co widzisz, innym razem odwracasz się ze zgrozą.

Pewnego dnia, raczej wcześniej niż później, rozbroi cię jego humor, godność, z jaką przyjmuje wyzwanie bycia twoim dzieckiem. I przekonasz się, że nie było się czym specjalnie martwić. Najhigieniczniej będzie, jeśli szybko pozna twoje prawdziwe oblicze. Nie pozwól mu ani przez minutę pomyśleć, że jesteś lepsza, niż jesteś w rzeczywistości. Najcenniejszym prezentem będzie zaoszczędzenie mu rozczarowania, pierwszego w jego życiu, bo będzie ich dużo więcej.

Oczywiście nie powinnaś go również utwierdzać w przekonaniu, że jesteś gorsza, niż w rzeczywistości jesteś. To byłby jeszcze poważniejszy błąd, za który zapłaciłabyś słono terapeutce.

Wcześniej czy później zda sobie sprawę, że nie jesteś żadną postmodernistką, tylko zwykłą kretynką; że nie jesteś zabawna, tylko niechłujna i nieodpowiedzialna; że nie jesteś surowa, lecz

zgorzkniała; że nie jesteś hippiską, tylko mięczakiem bez charakteru; że nie jesteś jego przyjaciółką, tylko matką. Ale to przyjdzie później. Tymczasem czerp z życia pełnymi garściami.

Bo ty również byłaś aberracją swojej matki.

- Mamo.
- Tak?
- Chodź.
- Co się stało?
- Powiem ci, jak przyjdiesz.
- No, jestem, czego dusza jęczy?
- Dałaś się nabrać!

Wczoraj wieczorem poszliśmy z nią do baru. Za zimno już na plac zabaw. Poza tym bądźmy szczerzy, place zabaw to czarna rozpacz. Odkąd weszła w życie ustawa antytytoniowa, bary stały się ulubionym miejscem matek z dziećmi: przestrzeń wolna od dymu, w której matki mogą spokojnie drinkować, podczas gdy kelnerki o złotym sercu wprawiają dzieci w osłupienie magicznym płynem, który wypełnia szklanki pianą. Tej nocy rodziców czekała szalona noc, a małą piżamowe party u megafajnego wujka. Ale gdy nadeszła pora wyjścia do megafajnego wujka, zaczęła ściemniać jak Tarzan: „ja spać z mamą”, „dom mama”, „mama dom”. I zanim zdążyłam się połapać, już leżeliśmy w łóżku w komplecie i liczyliśmy barany. Coraz bardziej bezsenni, coraz bardziej przytomni. Kołacze mi się po głowie spór doktora Estivilla z doktorem Gonzálezem o to, w jaki sposób usypiać dzieci, czy pozwalając im się wypłakać, czy hołdując zasadom teorii rodzicielstwa bliskości.

Nigdzie nie idę, jestem w pokoju obok, czatuję w biustonoszu z pięcioma nieznajomymi. Gdy zgaszę światło, nie przyjdzie żaden potwór. Nie ma żadnego ducha w szafie. Mamo, ja chcę być z mamą,

mamo, ty jesteś taka śliczna, taka inteligentna, mama, ciepłko mamy do spania. I wszystkie te zaklęcia wypowiada z tym swoim obezwładniającym uśmiechem, ze złaknionymi mamy oczkami i wyciągniętymi rączkami i... nie pozostaje ci nic innego, jak wsunąć się pod jej kołdrę i dać jej wszystko, o co cię prosi, tak mało i tak wiele w gruncie rzeczy, wszystko, co masz, czym jesteś i czym będziesz. Dobranoc.

Pamiętam, jak po wielu podchodach namówiłam ją, by podzielić się rolami: najpierw ja czytam bajkę, a później ona sama następną. Zgodziła się. Nie mogłam w to uwierzyć. Uznała moją propozycję za ciekawy eksperyment. Dawałam jej buziaka i ulatniałam się. Dwa pięciogwiazdkowe tygodnie. Ale w trzecim tygodniu nie to, że wróciła do normalności, cofnęła się o sto lat. Znowu musiałam jej czytać trzy bajki, w tym półtorej po katalońsku. Ja czytałam, ona poprawiała moją ekscentryczną, absurdalną wymowę. Zdecydowała, że nie ruszam się na krok z pokoju, ani po bajce, ani po ósmej piosence, ani nigdy. Co noc zostaję tutaj, z oczami jak w *Mechanicznej pomarańczy*, nadwyrężając kręgosłup w pozycji embrionalnej na krawędzi jej milutkiego łóżeczka z Ikei, w moim swoistym *after hour*, które następuje po słowach: i ja tam byłam i matkę wykończyłam.

Śpię, nie śpię, śpię, nie śpię, śpię, nie śpię, śpię, nie śpię, śpię, nie śpię, śpię, nie śpię, śpię, nie śpię!!! Obrywam płatki snu...

Jesteśmy dobrymi ludźmi, one nie. Generalnie uważam, że młodość to narkotyk, a dzieciństwo w szczególności. Dzieci mają bezustannie zaburzoną świadomość. To całkiem zrozumiałe – mają tak mało czasu na tym świecie, że są jak zagraniczni turyści obfotografowujący wszystko, co im wlezie w obiektyw, zachwycający się byle duperelą i zaśmiecający środowisko jednorazowymi kubkami. Dlatego właśnie, gdy nadchodzi pora spania, nawet o tym nie

wiedzą. Dzisiaj przeczytałam jej inną bajkę o monarchii, księżniczce i ziarnku grochu, tę pożałowania godną historię o królowej, która poddaje swoją przyszłą synową próbie ziarenka grochu, aby sprawdzić, czy jest prawdziwą księżniczką, bowiem tylko prawdziwa księżniczka mogła wyczuć, że pod dziesięcioma materacami znajduje się jakieś coś, co nie daje jej spać. Przeczytałam opowiadanie pięć razy, bo pod koniec każdego z nich uderzała w płacz, wymuszając na mnie kolejną powtórkę. Ten piąty, ostatni, czytałam, już rżąc i pochrapując. Gdy tylko przysypiałam, słyszałam dalekie mamaaaaa, głos dochodzący z Zarzueli³³ albo z miejsca jeszcze bardziej odciętego od świata, a ja pełzłam, pragnąc wydostać się z tej bezdennej studni snu na powierzchnię, nie rozumiejąc już artykułowanych słów, ale to był mój głos, to na pewno był mój głos i w pewnej chwili ocknąłam się i usłyszałam, że bredzę coś o Urdangarínie³⁴, i pojęłam, że to już koniec. Coraz bardziej bezsenni, coraz bardziej przytomni.

Dzisiaj próbowałam wyjaśnić córce, co to jest martwa godzina: to czas, w którym nie robimy absolutnie nic i którym wypełnione jest nasze życie, skarbie. Odpowiedziała: „Kto ją zabił?”. Chciałam jej powiedzieć, że ważne jest nie kto, tylko jak, ale już włączyła telewizor.



Pomijając epizod z szalikiem, przedpołudnie upływa bez większych wstrząsów. „Nie widzisz, że głupio wyglądam?”, wykrzykuje nieustępliwym tonem, jakby nie odstawała od ziemi zaledwie na metr. W jej oczach płonie święte oburzenie. Nie wie nic o życiu, a jednak, czy może właśnie dlatego, mogę ją brać tylko na poważnie

i pokonana, zanim wyjdziemy do szkoły, oswobodzić jej drobną, kruchą szyję.

Kiedy tata (nie jakiś tam pierwszy lepszy tata, ale ten, który nie tylko w równym stopniu partycypuje w domowych obowiązkach, lecz także bierze na siebie te najbardziej niewdzięczne) wyjeżdża, mama (nie pierwsza lepsza mama, tylko ja) myśli wyłącznie o jednym: w jaki sposób wypełnić okrągłą dobę, którą przyjdzie jej spędzić sam na sam z własną córką.

Wydaje się, że rozwiązanie jest zawsze to samo: zadzwonić do znajomego/znajomej, zwabić go/ją syrenim śpiewem o degustacji piwa, a potem zaciągnąć na plac zabaw z huśtawkami. To dobra strategia, która pozwala nie tyle uciec od własnych dzieci, co przede wszystkim, od innych rodziców równie nieznosnych jak ty.

Ale dzisiaj, co często się zdarza, nie udaje mi się omamić nikogo. Dlatego wypadam jak z procy z redakcji, żeby ją odebrać, i w myślach przygotowuję plan, który pozwoli mi stłumić, no właśnie: lęk?, odpowiedzialność?, nudę?

A oto ona, taka śliczna, gdy dostrzega mnie czekającą przy drzwiach. Tym razem jej oczy płoną z emocji, obdarowuje mnie *chorizo*. Tak, przeklętym *chorizo*, które zrobiła sama podczas wizyty w jakimś gospodarstwie rolnym. „Za półtorej minuty będzie ulewa”, oświadcza z bardzo poważną miną. Ale, o dziwo, kiedy idziemy kupić coś na podwieczorek, jakby na przekór niebo się wypogadza, a ja wycofuję się z moich wcześniejszych desperackich planów, po raz pierwszy tego dnia czuję, że wszystko pójdzie dobrze, i frunę na skrzydłach radości, że mam ją tylko dla siebie.

Mój mąż i ja całujemy się w usta. Moja córka i ja całujemy się w usta. I to, co odróżnia oba te pocałunki, nie ma zbyt wiele wspólnego z niektórymi obłąkańczymi opiniami, które od jakiegoś czasu czytam tu i ówdzie: purytańskie ostrzeżenia, nerwowe uśmieszki, wyrzuty sumienia... Niektórzy alarmują o niebezpieczeństwach „zbyt wczesnego erotyzowania” dzieci i wpajania im przekonania, że jeśli nie ma nic złego w tym, że twój

ocię całuje cię w usta, być może nie jest niczym nagannym, by całował cię w usta ktokolwiek. Wobec takiego postawienia sprawy chciałabym ostrzec o groźbie okazywania miłości nie z perspektywy miłości, tylko z perspektywy nieufności. Mój mąż i moja córka całują się w usta. I czytam gdzieś, że te buziaki, którymi się obdarzają przed spaniem czy przy szkolnej bramie, mogą prowadzić... do molestowania! To prawda, że zło istnieje – szaleńcy, idioci, rasiści i księża pedofile – ale pokładam ufność w naszą zdolność do rozróżniania rzeczy, w naszą inteligencję, która pozwala otaczać dzieci opieką, nie tłumiąc ich emocji. Nie tłumiąc naszych własnych emocji. Myślę o tych rodzicach, którzy milczą. O tych, którzy zmieniają kanał w telewizorze zawstydzeni sceną pocałunku, zamiast wyjaśnić jej znaczenie; o tych, którzy unikają pytań dotyczących „tego tematu”, aby je chronić, a także o tych, którym z większą naturalnością przychodzi poczęstować dziecko tęgim policzkiem niż tęgim pocałunkiem. Ci, obawiam się, stali się policjantami ciała i samych siebie. To prawda, że każdy z nas wyraża siebie po swojemu, posiada własny sposób postępowania i własne opory. I tak jest dobrze. Ale jeśli mi wolno, chciałabym skruszyć kopię w obronie tych rodziców, którzy nie dają się sterroryzować i którzy potrafią przyznać, że istnieje zmysłowość – nie seksualność – w relacji z ich pociechami. Przed tysiącami lat matki karmiły swoje dzieci ustami jak ptaki, jak niektóre zwierzęta. Ewokując tamto wspomnienie, kochający się ludzie złączają swoje usta. Wprawdzie nie odżywiamy już w ten sposób ciała, ale pragniemy odżywiać duszę.



„Dlaczego cierpią?”, pyta moja córka w muzeum przed obrazem *Wygnanie Adama i Ewy z raju*. Bo zostali wygnani z raju. Kto ich wygnał? Bóg. A dlaczego? Bo Ewa dała Adamowi zakazane jabłko. A ona od kogo dostała to jabłko? Od węża, który był diabłem. A czemu dał je Ewie, a nie Adamowi? To poważne pytanie. To wielkie

pytanie. Tak więc nie pozostaje mi nic innego, jak oniemić na kilka chwil. Mimo iż *Księga Rodzaju* jest bardziej nieprawdopodobna niż *Śpiąca królewna*, matka feministka musi umieć sprostać pytaniom podobnego kalibru. Lena patrzy na mnie tymi wyczekującymi, siedmioletnimi, lśniącymi jak zawsze oczkami, gdy zaprzęga swoją nieubłaganą logikę przeciwko mnie. Gdy miała zaledwie dwa latka, świsnęła mi podpaski i skręcając się ze śmiechu, przyczepiła je sobie do pleców niczym dwa kruche skrzydełka, po czym rzuciła się do ucieczki. Nie miała jeszcze zielonego pojęcia, że bawi się w latanie, używając kawałka materiału, który pewnego dnia będzie wchłaniać jej własną krew i który przypomni jej, że u kobiety ciało i przeznaczenie to jedno i to samo. Teraz wie już trochę więcej, zwłaszcza od czasu, gdy popisałam się kapitalnym brakiem wyobraźni, pokazując jej film wideo z porodu naturalnego. Odtąd przysięga, że nigdy nie będzie mieć dzieci. A ja powstrzymuję chichot i mówię, że jeśli pewnego dnia zechce zostać matką, ból stanie się sprawą drugorzędną, lecz gdyby wytrwała przy swoim postanowieniu z dzieciństwa, nie ma takiej siły, która mogłaby ją do tego zmusić. I dlatego ciągnę ją na manifestacje poparcia dla wolnej aborcji i przeciwko przemocy w rodzinie, a gdy ma już po dziurki w nosie moich proklamacji, przypominam jej naszą rozmowę przed obrazem w muzeum. Przypominam jej tę obcą i absurdalną bajkę wciskaną nam z pokolenia na pokolenie, w której kobiety to siły nieczyste, wiemy, żebra, zbłąkane istoty, winowajczynie, słaba płeć, przyczyna wszelkich możliwych kataklizmów. Choćby dlatego powinniśmy opowiadać sobie, córeczko, inne, prawdziwsze historie, zabawniejsze, sprawiedliwsze, bardziej nasze, jak ta, że jesteśmy przyjaciółkami węży i nigdy nie wybierałyśmy się do raju.



Pewnego dnia dorośniemy i zapomnimy o agresji, o ranie. Tak myślałyśmy. Ale tak się nie stało. Moment, w którym dziewczynka

opowiada swojej matce ze łzami w oczach, jak to pewien chłopiec wyznał jej, że może i by mu się podobała, gdyby była „biała”, przetrwał w nienaruszonym stanie. Matka porywa chłopca i wrzuca go do wyschłej studni. Daje mu jeść tylko tyle, by zmienić go w wycieńczone i bezkształtne stworzenie, które nie potrafi odróżnić gąsienicy od kamienia. Niekiedy posługujemy się tajemnymi słowami, ewokujemy przerażające mity, ale mamy też bardzo dobrych adwokatów. Nie jesteś sama. Kiedy cię znieważają, znieważają wiele innych. Tak więc podziękujmy za nasze okrucieństwo, mówi robak w wierszu Roberta Bolaña, będący czyjąś personifikacją, może samego poety, pełzając na skraju widnokregu strachu i pragnienia. Fikcyjna przemoc może być bezowocna, niema, ale jest twoja. Ta pamięć o przeciwnościach losu jest twoim automatycznym pistoletem: czytam, myślę i rozgniatam na miazgę, wyję z psami z *Los perros románticos* Roberta, które nie lękają się już niczego. Każdy, kto poczuł się kiedyś zepchnięty na margines, powinien to przeczytać. Poznać samego siebie to fantastyczna przygoda. Ciągłe ci sami nędzarze, homoseksualiści, ci, których nazwano kiedyś brzydkimi, seksoholicy, nieśmiali pięknej urody, mężczyźni cierpiący na przedwczesny wytrysk, grube kobiety, chorzy, lesbijki, umarli, ci, którzy mają usta pełne pięknych i dzikich słów i dlatego nie będą milczeć. „Niech cenzuruje nas, kto chce”, napisała Virginia Woolf o kobietach, które pewnego dnia poczuły się wolne i zaczęły pisać pod gradem kamieni. Rośniesz, mówiła, i zdumiewa cię, że mały potwór wciąż pokrzykuje z głębi studni, ale ty jesteś już daleko od tego miejsca, jakbyś posiadała niezniszczalne piękno romantycznych psów, „absolutne piękno, w którym mieści się cała wielkość i nędza świata”.



Córka pyta mnie, dlaczego chłopcy ze szkoły muszą bić dziewczynki parasolkami. Staram się wytłumaczyć: „Chłopcy tacy są, podobają

się im dziewczyny, ale gdy są mali, boją się ich i nie wiedzą, jak z nimi postępować”. „I dlatego mnie biją?” Szukam lepszego uzasadnienia i mówię: „Nie, biją cię, bo są durniami”.

Razem z córką pedałużając na rowerku przecinamy czasem Paseo del Prado. Na tym samym rogu trzy dni temu policja schwytała manifestantkę – jedną z tysięcy protestujących przeciwko rządowi Rajoya. Policjant chwycił ją za szyję, ciągnął, bił leżącą na ziemi, a potem aresztował pod zarzutem podżegania do rewolty.

Ani moja córka, ani ja nigdy nie byliśmy w Ranrapacie, gdzie zmarła Zoraida, dziewczynka trafiona „zabłąkaną” kulą. Córka słucha moich krzyków – za każdym razem, gdy mnie coś rozwścieczy – z twarzą skamieniałą z przerażenia i oczami nabiegłymi łzami. „Jesteś zła!”, odwzajemnia mi się wrzaskiem. Usiłujemy bronić się przed sobą. Atakujemy się.

Córka ogląda telewizję. Na przykład Disney Channel. W osiemdziesięciu procentach seriali dziewczyny są skończonymi idiotkami. Córka mówi do ojca, który przed chwilą utłukł olbrzymiego komara: „Narobiłeś tyle hałasu, że jeszcze mi skacze serce”.

Moja córka jest inteligentną dziewczynką, na własną rękę odkrywa różne rzeczy, codziennie uczy się czegoś nowego, rysuje chińskich cesarzy, pisze trzylinijkowe powieści, niedawno zakochała się w Elvisie.

Czasem ktoś mnie pyta, czy nie boję się, że może przeczytać moje publikacje, moje „wyznania”.

Nigdy niczego nie wyznałam. Jest coś perwersyjnego w słowie „wyznanie”. Mieszka w nim słowo „wina”. Zwykle odpowiadam, że nie boję się, bo wiem, że moja córka zna (prawdziwą) wartość prawdy.

Wracam znowu myślą do chłopców okładających koleżanki parasolami. I stwierdzam, że małych durni można zrozumieć i nauczyć. Durni dorosłych zwyczajnie się zwalcza. Wszystkim, co mamy pod ręką.



Wciąż jeszcze pamiętam – z niezwykłą, jak na mnie, precyzją – pierwsze przeczytane słowo: „korona”. Patrzyłam przez szybę samochodu taty i owe pierwsze wrażenie wydobywania znaczenia ze znaków nabazgranych na murze, tę rewelację przeżyłam tak, jakbym odkryła ogień.

Nie byłam przy tym, gdy moja córka przeczytała swoje pierwsze słowo (stół), ale codziennie śmiejemy się razem, czytając o przygodach kapitana Arsenia, fruujemy z malowanym ptakiem Watanabe, szwendamy się z Pippi Pończoszanką czy znikamy pod peleryną niewidką Harry’ego Pottera. Nie zawsze jest to łatwe. Ciężko mi jej wytłumaczyć, że książki to nie tylko zabawka, którą można zabrać do łóżka, ciężko mi ją oderwać od telewizora, ciężko mi ją przekonać, iż każda nowa lektura tej samej książki pozwala nam odkryć w niej całkiem nowy film.

Ale jestem optymistką. Wierzę, że czas i cierpliwość pozwolą jej dokonać własnych odkryć. Bardzo jestem ciekawa, jakie to będą słowa: „Otello” czy „muszkieter”, jak w przypadku jej ojca, czy może „ciasto” lub „herold”, jak w moim? Tylko czasem, gdy mam już za sobą kilkanaście przeczytanych stron, oczy mi się kleją i zostawiam ją samą z książką w dłoniach, nieprzejawiającą najmniejszej ochoty na sen, słyszę, jak poszeptuje urywane słowa. I słyszę, jak się śmieje. Słyszę, jak się śmieje tym jedynym w swoim rodzaju śmiechem dziecka czytającego książkę.

I w takie dni jak ten, kiedy ziemia kręci się dalej, myślę, że również my wszyscy uczymy się czytać. Że pojawiające się codziennie znaki skrywają nowe i tajemnicze treści, że staramy się ze wszystkich sił odkryć w nich sens, chociaż trudno jest wyrzec się olśniewającego blasku ekranów. Że państwa są niekiedy jak dzieci i że po raz kolejny mamy szczęście być o krok od odkrycia ognia.



Jeden z nieopublikowanych wierszy z mojego mitycznego, nieopublikowanego tomiku zatytułowany jest *Dekonstrukcja ojca*. Napisałam go, biorąc za podstawę pięćdziesiąt wierszy wystukanych na maszynie i poprawionych ręcznie między 1968 i 1972 rokiem przez Raúla Wienera. Z tym pisaniem to nie do końca prawda. Moja praca – którą wykonałam, nie płacąc za prawa autorskie autorowi, w końcu nie na darmo jest moim ojcem – polegała wyłącznie na wyłuskaniu pojedynczych wersów z jego tekstów i zbudowaniu z nich sekwencji, która zawierałaby jakiś sens, przynajmniej dla niego i dla mnie (po to przecież pisze się wiersze). Podobny zabieg z muzyką innych twórców robi didżej, kiedy ją sampluje. Przy stole miksterskim starsza, trzydziestoletnia już córka młodego poety Wienera postanawia skomponować własną muzykę z tych dźwięków złowionych słów, które w jakiś sposób, być może z racji więzów krwi, należą również do niej.

Są ludzie, którzy destrukują ojca, i tacy, którzy go dekonstruuja. Rezultat tego poetyckiego eksperymentu jest dziwny, to tak, jakby słuchać piosenek José Feliciano w aranżacjach Trenta Reznora.

Niektórzy dziedziczą pieniądze, inni znakomite nazwiska, na które nie zasługują: ja dostałam w spuściźnie ten plik pożółkłych papierów – mój punkt wyjścia – wierszy zapisanych na rewersach odstręczających wykresów statystycznych dotyczących inwestycji w ropę naftową i gaz ziemny ręką młodego, lirycznego mężczyzny, w przyszłości głębokiego i zaangażowanego myśliciela, który miał zapisać setki krytycznych i bezwzględnie potrzebnych stron, lecz który nigdy nie opublikował swoich wierszy.



Wczoraj, może dlatego, że prawie cały boży dzień oglądałam serial o więzieniu dla kobiet, skorzystałam z niedzielnego telefonu mamy (którego nieuchronną kontynuacją jest sążnisty mail z zaleceniami i błogosławieństwami, jak to bywa z matkami dzieci, które uwiły sobie gniazda bardzo daleko od domu) i poprosiłam ją, po raz kolejny, żeby opowiedziała mi historię z czasów haniebnej dyktatury, gdy była ze mną w ciąży, a tata siedział w więzieniu za lewicowe poglądy. Swoją drogą to zastanawiające, że nie opowiedziałam o tym w *Nueve lunas* (w książce o mojej ciąży), prawda, mamó? – spytałam, szczerze zirytowana. „Tak, córeczko, bardzo dziwne, zważywszy na to, że opowiadasz o wszystkim jak leci... Z twoją siostrą w brzuchu uciekałam przed policją podczas strajku generalnego. A z tobą chodziłam do ojca na «mokre widzenia»”. Po tych słowach zrozumiałam wiele rzeczy.

Na zdjęciu jesteśmy obie (mojego taty nie widać, ale był tam obok, na wolności, w spodniach dzwonach i z bokobrodami), obdarowując się pierwszymi dawkami nieprzerwanej miłości.



Któregoś dnia Lena stanęła przede mną z jakąś książką w ręce, dziwnie się uśmiechając: „Mamo, dlaczego mi nie powiedziałaś, że mamy tę książkę?”. Ta książka to *Nowe sposoby zabicia twojej matki*³⁵ Colma Tóibína. No i stało się, pomyślałam, wiedziałam, że prędzej czy później to nastąpi, nie przypuszczałam jednak, że tak prędko. Jest taka sama jak ja albo gorsza (albo lepsza, psiakrew). Odpowiedziałam, odwzajemniając jej uśmiech, że ta książka to esej o relacjach łączących pisarzy z ich rodzinami, a nie praktyczny przewodnik. I przeklinając filmy o wojownikach, które połyka codziennie, podmieniłam Tóibína na inną pozycję, bardziej adekwatną dla sześciolatniej dziewczynki, myśląc, że w ten sposób ukręcę sprawę łeb. Ale następnego dnia dostałam od Jaimego wiadomość na WhatsAppie: „Przed chwilą pod łóżkiem Leny

znalazłem książkę *Zabić ojca* Amélie Nothomb. Grozi nam REALNE niebezpieczeństwo, coś knuje, nie mam złudzeń”. Uśmiełam się nieźle, zastanawiając się jednak, czy rzeczywiście nie chce nas zlikwidować. „Nienawidzi nas i najwyraźniej szuka zemsty”, upierał się Jaime.

Tej samej nocy zawezwała nas z płaczem – czego nie robiła od niemowlęstwa – i powiedziała, że nie chce umrzeć, że przychodzą jej do głowy same „brzydkie rzeczy” i że boi się, że nie będzie mogła przestać o nich myśleć. Potem poprosiła, żeby ją objąć i tak już zostaliśmy, obejmując się w trójkę ze wszystkich sił. Po raz pierwszy uświadomiła sobie śmierć jako realną możliwość. Było to przerażające.

Moja dziewczynka rośnie i w jej zachowaniu znajduję potwierdzenie, że częścią dorastania jest jednoczesne pragnienie śmierci rodziców i strach przed nią, przed tą pustką, która w jej wieku jest niewyobrażalna. Bez wątpienia oba popędy wrócą i nie będziemy mogli temu zaradzić, chociaż zabójstwo, mam taką cichą nadzieję, będzie wyłącznie symboliczne i konieczne, śmierć zaś prawdziwa jak długie noce, z którymi dzieci nie chcą się pogodzić. Ale na razie wciąż wschodzi słońce.

[33](#) Palacio de la Zarzuela jest oficjalną siedzibą króla Hiszpanii znajdującą się na obrzeżach Madrytu (przyp. tłum.).

[34](#) Iñaki Urdangarín, mąż infantki Cristiny de Borbón, zięć emerytowanego króla Hiszpanii Juana Carlosa I i szwagier obecnego króla Filipa VI. Aktualnie odsiadujący sześćioletni wyrok pozbawienia wolności za defraudację publicznych pieniędzy (przyp. tłum.).

[35](#) *New Ways to Kill Your Mother: Writers and their Families* (przyp. tłum.).

Z TEJ I Z TAMTEJ STRONY

JESTEŚMY LUDŹMI MGŁY. Każdego dnia mgła dotyka swoimi kocimi łapami naszych serc. Rodzimy się i dorastamy w cieniu niespełnionej obietnicy słońca i deszczu, dlatego jesteśmy niewymownie wdzięczni za każdy słoneczny promień i najdrobniejsze krople. Pogoda nie jest dla nas wdzięcznym tematem do rozmowy.

Jesteśmy ludźmi ulicy. Mamy naturę wędrowca. Bo przybyliśmy z daleka. Jesteśmy dziećmi, wnukami obcych i biednych ludzi nieczujących się nigdzie u siebie, żądnych przygód. Oto nasza spuścizna, żyjemy tak, aby nie tylko jej nie roztrwonić, ale byśmy byli jej godnymi spadkobiercami. Wyszliśmy z chaosu, by odtworzyć chaos. Oto źródło naszej żywotności, która czyni nas niepokonanymi. Cierpimy, sprzedajemy, kupujemy, zaspokajamy głód, patrzymy, uciekamy, kochamy się na ulicy, podpalamy asfalt o barwie fluoru. Odchodzimy. A czasem nawet wracamy.

Jesteśmy ludźmi morza. Ludźmi piasku i ruchomych piasków. Nasz okręt to wieloryb, który ugrzązł na mieliźnie i nad którym krążą sępy. Wiemy już, że wszystko gnije i wszystko odradza się w bliskości fal. Stan naszego ducha to nieustanna wędrówka między plażą zimną i plażą opustoszałą. Kopiemy głębokie dziury na obrzeżach rzeczy. Lubimy butelki bez wiadomości.

Jesteśmy ludźmi nocy. Ludźmi nieistniejących już barów i prochów, i błękitnych diabłów. Sekretnych map, rozczarowań i schodów prowadzących donikąd, na których chłepczemy zachłannie okruchy ciemności i zdziwienia. Nasi poeci układają najpiękniejsze słowa na świecie. I umierają, gdy tylko zrozumieją wszystko.

Jesteśmy ludźmi tkwiącymi po uszy w gównie. Czasem nimi jesteśmy. Bo jak inaczej wytłumaczyć tę rozbuchaną nienawiść, te góry gruzu? Tutaj budujemy nasz dom. Nie po to, żeby w nim mieszkać, ale by wbrew niemu przeżyć. Jeśli jesteśmy emanacją miejsca, w którym mieszkamy, to dlaczego tak bardzo go nienawidzimy? To jest nasze miasto, być może nasza jedyna szansa na Ziemi. Jesteśmy młodzi, jesteśmy niewiarygodni. Jeszcze możemy spróbować. Łączy nas mgła, ulica, morze, noc. Wszystko prócz gówna.

Zabraliśmy ze sobą koc, a nawet piłkę. Naiwni. Czy raczej anachroniczni. Zapomnieliśmy, że w La Herradura nie ma już plaży. Że pewnego dnia zdradziecki ocean pochłoniął piasek Susany³⁶ i zostaliśmy bez brzegu, bez kolorowych jachtów i pruskiego błękitu z wiersza. Z tego wszystkiego naszła nas ochota, by napić się koktajlu, którym Julio Ramón Ribeyro wzniosł toast na dzień przed swoją śmiercią, zając ulubione *choritos*. Stary kelner serwował nam *ceviche*, przechylał talerze, roniąc czas i sos *leche de tigre*. W tej sytuacji Rocío, jak to cudzoziemka, stwierdziła, że nigdy przedtem nie widziała takich czarnych jak kruki mew i że wszystko to jest zwiastunem końca świata. Lena, jak to mała dziewczynka, promieniała swoją zwykłą niezmaconą radością, rzucając kamieniami w kamienie. Jaime, jak to poeta, mówił coś o niewidzialnych mieszkaniach, o samochodach, które wyłaniają się znikąd i wracają nie wiadomo dokąd. Ja zaproponowałam wycieczkę do białego, liszajowego budynku, aby zbadać skalę jego opuszczenia, dowiedzieć się, kto mieszka za murami nadgryzionymi przez fale. O mało nie potrącił nas luksusowy wóz ruszający z parkingu. Tliło się tam życie, chociaż nie wiedzieliśmy jeszcze, jakiego rodzaju. Woń oceanu cuchnącego trupami pływającymi się w nim od zarania dziejów sprawiła, że zawróciliśmy na pięcie i zamówiliśmy następną kolejkę wódki z truskawką. Kelner czekał na nas w swojej przystani z historiami, których chcieliśmy słuchać, o których chcieliśmy pisać. „Grube ryby” nie mieszkały już w tych odrapanych, białych

budynkach nieopodal tunelu w La Herradura, ale „wciąż tu jeszcze wpadały”. Stary nosił im *jaleas* do wyściełanych dywanami apartamentów, gdzie dyżurowały owinięte w białe ręczniki kochanki z białymi nosami. Dawny plażowy przepych zmieniony w ślepe wrota. Czy może być coś bardziej inspirującego od krajobrazu doskonałej dekadencji, krajobrazu, którego – mógłbyś zaręczyć w tym momencie – nie widzisz, lecz który sobie wyobrażasz? Ocean i czas chcą pochłonać wszystko i trzeba im na to pozwolić.

Idę przez plac w Barranco i nagle natykam się na coś, czego nigdy przedtem nie widziałam. Możliwe, że było przesłonięte gęstymi liśćmi drzew rosnących tuż za murem. W każdym razie są tam, nie wiem, odkąd i jak długo tam pozostaną. Co więcej, możliwe, że to jakiś senny koszmar, bo przecież nie byłam nawet pijana. Nie wiem, czy wykonał je jakiś artysta, czy kiepski żartowniś. Czy ktoś, kto jest jednocześnie jednym i drugim. Być może ludzie, którzy przechodzą tędy codziennie, już tego nie zauważają, ale ja czuję się, jakbym dostała pięścią w nos, dla mnie to symbol czegoś znacznie donioślejszego. Przypomnienie, ostrzeżenie, wiadomość z przeszłości lub z przyszłości? To figuratywne rzeźby ostatnich prezydentów Peru wyeksponowane przez tutejszą restaurację jako fragment zewnętrznej, kiczowatej dekoracji. Manifest polityczny, kiepski marketing? Z pewnością jakieś niewytłumaczalne zaproszenie do niestrawności. Przypominają kukły, których nie spalono w noworoczną noc; oto Belaúnde, Fujimori, Toledo i García, śmietanka naszego współczesnego, politycznego *freak show*. Ileż utraconych nadziei symbolizuje tych kilka nazwisk, ile złodziejstwa. Ktoś, jakiś osobnik cierpiący na głęboką amnezję, a może trzydzieści milionów jemu podobnych, zapomniał ich spalić na stosie zapomnienia. Za naszym przyzwoleniem biesiadują przy sąsiednim stole, każdy na swój szkodliwy sposób. My zapłacimy rachunek. Z bliska sprawiają wrażenie grupki przyjaciół spędzających miło czas, popijających piwo, z mózgami z papier *mâché* i wymiętymi uśmiechami. Ale wystarczy oddalić się nieco, złapać właściwy

dystans i wszystko nabiera całkowicie nowego wyrazu. Wówczas nie wydają się już tak swobodni: teraz widzę ich zamkniętych za kratami restauracji, ich i ich politycznych spadkobierców, kontynuatorów wszystkich tych konserwatywnych, skorumpowanych, przegranych kast, i im bardziej oddalam się od tego miejsca, tym wyraźniej widzę, jak bardzo są samotni i przegrani, kiedy balują na swojej ostatniej uczcie.

Patrząc przez okno samolotu, widzę to inne miasto budzące się do życia jak wszystkie miasta na świecie. Przedmieścia podobne do pól obsianych migotliwymi ognikami. Gdy podchodzimy do lądowania, to inne miasto ożywa w mojej pamięci: restauracje, kawiarniane stoliki na ulicach, bary. Promenady, taksówki. Wszystko, co sprawia, że miasto, które do tej pory było moim, staje się „innym”. Inny sposób uprawiania polityki, inna forma korupcji, inna propaganda. I inna percepcja codzienności, którą przyswoiłam sobie z biegiem lat. Spokój barów. Spokój kin. Bo dobrze poznałam to inne miasto. Tak więc wysiadam z samolotu i jestem w jakimś sensie w domu. Au! Błękitne niebo, perfekcyjnie wyrysowane i białe jak śnieg obłoki. Wszystko to przypomina dekorację, swego rodzaju emocjonalne rekwizyty, którymi wypełniam tę otwartą przestrzeń mającą odgrywać dla mnie rolę miasta. Nie tego, tylko mojego własnego. Idę więc, znowu, przez to inne miasto. Rozpoznaję jego arterie komunikacyjne, klasy społeczne, chwilowo zniesione w metrze czy autobusie. Twarze wydają mi się znajome. Również agresywność ich języka i sposobu bycia, ich ogromna dla wszystkiego życzliwość. I znowu myślę o Limie i na moment w całej tej mojej miejskiej schizofrenii opada mnie lekka mżawka winy. Od mojego dzieciństwa dzielą mnie tysiące kilometrów. Mieszkam w europejskiej stolicy. Ale daleka jestem od udawania kosmopolitki, drąży mnie jakaś prowincjonalna nostalgia. Zaczynam zatem myśleć, że już na zawsze pozostanę wielkomiejską nastolatką: wyrzekam się odrobiny przeszłości i patrzę w przyszłość z pewną nieufnością. Tymczasem wychodząc z lotniska – pamiątkowe figurki toreadorów, tancerek

flamenco, koszulki Realu Madryt – nie mogę nie zadać sobie pytania: „Dokąd wracasz, gdy wracasz do nie swojego miejsca?”. Upycham stos walizek w taksówce. Czeka mnie beztroska, odprężająca przejażdżka do centrum miasta. Skąd przyjechałam? – pyta mnie taksówkarz. Lima zmieniła się z upływem lat w pojęcie, które staram się wytłumaczyć zawsze z innego miejsca, zawsze innym ludziom, ale jak zdefiniować szarość pod tym obcym słońcem? Przed laty, gdy przyjechałam do tamtego innego miasta, miałam w sobie pewien rodzaj Limy wewnętrznej, z której tchnęło ulicami, zakątkami i zwyczajami przesłaniającymi melancholię. Tęskniłam za jedzeniem. Czy za jakąś formą rozluźnienia przypominającego do złudzenia gnuśność. Tęskniłam za niektórymi ludźmi. Ale przeprowadzka do innego miasta oznaczała zmianę akcentu w twoich uczuciach. Dziwna wymowa miłości, być może pożądania. Zaledwie kilka lat później wyjazd do Limy był już „podróżą do”, lądowanie w innym mieście – „powrotem”. Sunę przez inne miasto gładko, bez przeszkód. Hiszpania nie jest może wzorem obywatelskich cnót w porównaniu z resztą Europy, ale po dwóch miesiącach spędzonych w Limie inne miasto jawi mi się na powrót niczym Sztokholm. Najwyraźniej żaden pojazd nie zamierza mnie zamordować. Nie ma ani jednego billboardu zasłaniającego światła na skrzyżowaniach. Żadnemu kandydatowi na jakiekolwiek stanowisko w jakiejkolwiek gminie nie przyszłoby do głowy zaśmiecać miasto swoją podobizną, żeby uzyskać parę głosów. Docieram do domu w innym mieście, ale wciąż jestem w trybie Limy. Może stąd ta tęsknota. Bo to inne miasto zawsze będzie takim właśnie – innym. I chociaż nie zdarza mi się już zostawiać serca w Limie, ten powtór wciąż nim jest, Miastem, moją Limą. Moją ukochaną, moją kokainą.

W życiu mojego kraju są epizody, które sprawiają, że moja relacja z Peru przypomina relację córki odrzuconej przez ojca idiotę.

Idea porzucenia przez ojca przenika naszą kulturę, jest częścią naszego charakteru, naszą istotą. Poczucie to unosi się na żaglach okrętów konkwistadorów uwożących złoto, pogłębia się w spojrzeniu

Metysa Garcilasa de la Vega, zrozpaczonego wobec najbliższego przejawu lekceważenia ze strony hiszpańskiego dworu, płonie w literaturze Cira Alegri i Vargasa Llosy, wibruje w twórczości Arguedasa i Valdelomara.

Nasza rzeczywistość i nasza fikcja walczą z upiorem nieodpowiedzialnego ojcostwa. Być może dlatego to matki w swoim absolutnym osieroceniu stały się bohaterkami najbardziej rozdzierających scen naszej przeszłości naznaczonej terrorem, być może dlatego są naszą przyszłością.

Jak Rosa Cuchillo, niezapomniana postać z powieści Óscara Colchada, kobiety w moim kraju przemierzają świat żywych i umarłych, niestrudzenie szukając na wysypiskach trupów nieoficjalnej historii swoich zaginionych dzieci, wobec obojętności tych, których obowiązkiem jest je chronić.

Wyrzekam się ojcostwa Państwa. Domagam się analizy DNA. Jak dzielić narodowość czy cokolwiek innego z ludźmi, którzy sankcjonują szerzenie się nonsensu i absurdu? Czy jest coś ze mnie w ich koleśniowskich układach, w ich żalosnych szwindlach, w ich idiotycznych spiskach? Czy jest coś ze mnie w ich słabości? Czy jest coś z nas? Powtórzę raz jeszcze, że nie, i chcę wierzyć, że tak uważa większość Peruwiańczyków. A mimo to jesteśmy częścią tej przygnębiającej magmy.

„Pałac niczym mauzoleum pogrążony jest teraz w ciszy i rządzi nami stamtąd trup, który oddycha”, mówił wielki José Watanabe ustami swojej Antygony.

Czy znowu trzeba będzie organizować marsze? Po raz kolejny wyjść na ulicę? Szukać legalnej drogi, przestać milczeć, demonstrować? Przychodzą mi teraz do głowy działania romantyczne i czcze, jak ciskanie kamieni w stojącą, mętną wodę. Ale lepsze to niż kulić pod siebie ogon na najmniejsze oznaki niezadowolenia władzy. By nie ujrzeć w przyszłości jak Antygona oblicza winy, „grymasu, który mnie zadręcza i napełnia wstydem”.

Myślę, że to wtedy po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, że coś ohydznego skrywa się w cieniu, bo pewnego dnia o świcie przyszedli po ojca jacyś ludzie ze złą nowiną, a on wsiadł do samochodu i powtórnie zobaczyłam go dopiero na ekranie telewizora. Widać go było na drugim planie, na zboczach Uchuraccay. Pamiętam, jakie to było dla mnie wielkie przeżycie, gdy po raz pierwszy ujrzałam tatę w telewizji. Ale w pamięci utkwiły mi o wiele bardziej worki skrywające ciała takich dziennikarzy jak mój tata, tyle że martwych. W Peru lat osiemdziesiątych rodzice starali się chronić nas przed światem, ale nie mogli ukryć przed nami całego horroru.

Na zdjęcia trupów nietrudno się było natknąć. Od tamtego pierwszego razu miałam obsesję na ich punkcie, przede wszystkim z powodu owych zwłok w czarnych workach. Później już zawsze patrzyłam na to, na co nie chciałam patrzeć.

Nigdy nie zapomnę trupów członków rodziny zamordowanej przez Świetlisty Szlak. Na okładce tygodnika „Caretas” ujrzałam ociekającą krwią fotografię udręczonych torturami ciał ojca, matki i ich dzieci leżących rzędkiem w przydomowym ogrodzie. Na szybach zawieszono im kawałki kartonu, na których wypisano ich własną krwią: „zdradzieckie świny”. Pomyślałam, że mogłoby to spotkać nas.

W krzyżowym ogniu pytań rodzice musieli często wyjaśniać nam naturę tego typu zdjęć i robili to z bólem, a także, jak sądzę, ze wstydem. Gdy po pracy tata i mama z jakiegoś powodu spóźniali się z powrotem do domu, zaczynałam myśleć, że nie żyją. Przytulałam się do ich piżam, wdychałam zapach, jaki pozostawiły rano ich ciała, aż serce wypełniało mi się nim po brzegi i płakałam z twarzą przyklejoną do szyby.

Czyhał na nas potwór, który był na ustach wszystkich i dopóki ukrywał się w mroku, baliśmy się go jak niczego innego na świecie. Ale pewnego dnia zapaliliśmy światło i ujrzeliśmy jedynie tego tęgawego pana uczepionego kurczowo własnego mitu.

I to miało być to monstrum?

Wojna domowa to bardzo skomplikowane zjawisko. Ale potwór pozostaje potworem.

Nie byłoby wcale dziwne, gdybym na to umarła. Nie byłoby dziwne, gdybyś umarł na to ty. Ludzie, którzy widzieli ją z bliska, wiedzą, że potrafi zagnieździć się i toczyć organizm niepostrzeżenie, aż pęka jak wrzód.

Najgorsza w chorobie nie jest jednak jej agresywność, ale nieustępliwość. Ludzie, którzy widzieli ją z bliska, wiedzą, co znaczy odetchnąć z ulgą, gdy zdaje się zanikać. Znamy te spojrzenia pełne otuchy, uśmiechy nadziei, wolę jej pokonania. Ale choroba zawsze wraca. Jak cios w kark. I zapewnia nas, że nigdy, choćbyśmy nie wiem jak próbowali, nie zdołamy się jej wymknąć. Przez te wszystkie lata wpatrywania się w jej oblicze zrozumiałam, że choroba bawi się tobą, jakby posiadała własną wolę, jakby była czymś więcej niż tylko sumą zainfekowanych elementów. Choroba próbuje cię złamać, rzucić na kolana, chce zobaczyć twoją słabość. Chce, byś się poddał. I z reguły eksterminuje nie tylko chorego, ale przy okazji pochłania niezliczoną ilość postronnych ofiar. Przypadkowy świadek też jest ofiarą. Któregoś dnia uświadamiasz sobie, że zaraziła twojego krewnego, przyjaciela, szefa. Początkowo nie dopuszczasz do siebie myśli, że przydarzyło się to komuś bliskiemu, spoglądasz wstecz i stwierdzasz, że to niemożliwe, przecież to był „normalny” człowiek. Idziesz w zaparte, bo nie możesz uwierzyć własnym oczom. Później nie pozostaje ci nic innego, jak zaakceptować oczywistość. I walczysz, walczysz ze wszystkich sił, by zmienić ten nieodwołalny fakt. Krzyczysz, tupiesz, płaczesz, wspólna sprawa jednoczy cię z innymi pokrzywdzonymi. Tworzysz masę krytyczną.

Lecz choroba nie ustępuje. Na koniec pozostawia ci bezdenną pustkę, osad smutku w duszy, który będzie ci towarzyszył przez resztę twoich dni. W Peru ta choroba to korupcja, zaraza, która nie rozróżnia ras, warstw społecznych czy sytuacji materialnej i atakuje coraz młodsze osoby, zatruwając wszystko, zabijając nadzieję, wydzierając głodnemu ostatni okruszek sprawiedliwości.

Muszę państwu przekazać czarną i stuprocentowo potwierdzoną nowinę, bardziej czarną niż stuprocentowo potwierdzoną: wszyscy,

drodzy państwo, co do jednego, jesteście *cholos*. Poważnie, wszyscy, dosłownie, jesteście *cholos*. Już wyjaśniam: w moim życiu uzbierało się sporo epizodów rasizmu i bullyingu. Na przykład w Limie lat osiemdziesiątych, tak bardzo Arnoldowej i Willisowej, w postępowej, *of course*, szkole, jedna z uczniowskich zabaw polegała na budowaniu hierarchii na podstawie odcieni skóry. Jeśli miałeś ciut ciemniejszą karnację, byłeś zgubiony. W odkrywanym przez siebie świecie wierzyłam, że moi koledzy są biali, moja siostra jest biała, moje przyjaciółki są białe, moi szefowie są biali.

Najgorsze jest to, że większość tych ludzi z mojego otoczenia faktycznie czuła się biała albo przynajmniej bielsza ode mnie, co sprowadzało się do tego samego. Albo robiła wszystko, co możliwe, aby zbliżyć się do owego rzekomego ideału choćby przez negację: trochę mniej czarny, trochę mniej *cholo* = bielszy. Wszystkie peruwiańskie dzieci odkrywają dość wcześnie zjawisko gradacji kolorów w naszej ojczyźnie, gradacji będącej drabiną estetyczną i moralną. Na górze był biały, na dole czarny/*cholo*/biedak/Indianin.

Pewnego dnia wydostałam się stamtąd, z tego mentalnego więzienia, które niekiedy jest krajem, miastem, przeszłością, kompleksem i – cóż za niespodzianka! – zaczęłam widzieć życie w technikolorze. Bo okazuje się, że nie ma w mojej rodzinie ani jednej osoby, która byłaby biała, ani jednej przyjaciółki, żadnego z moich byłych szefów, wszyscy należymy do obszernego spektrum zjawiska o nazwie *cholo*. W Peru wszyscy są *cholos*, w dokładnie tym samym stopniu co ja. Dajmy na to prezenterka telewizyjnych wiadomości jest *chola*. Diwa – *lorcha*³⁷. Aktorki występujące w telenowelach – *cholas* do kwadratu, nie wyłączając blondynek. „Kreolscy” pisarze (nie „andyjscy”) to *cholos* czystej wody. W peruwiańskiej przyrodzie występują twardzi *cholos*, wielcy *cholos*, *cholos* z nadwagą, bogate *cholas*, wytworne *cholas*, nawet pierwsza dama to skośnooka *chola*. Każdy może być *cholo*, jeśli ma dosyć pieniędzy. Dlaczego tak trudno nas zaakceptować? Tutaj, w tej naszej cholowskiej twierdzy, wspólnie spróbujemy znaleźć odpowiedzi.

Przyjechałam do Hiszpanii, bo powiedziano mi, że tutaj mieszka moje przeznaczenie, niejaka Europa. Tymczasem kryzysowi na imię jest Europa, a Hiszpania nie jest nawet Europą, to pustkowie. W ostatnich miesiącach dwie z moich najlepszych przyjaciółek wyjechały. Jedna wróciła do Limy, druga zdecydowała się na Miami, co jak by na to nie patrzeć, wychodzi prawie na to samo.

W sumie, czytam w gazecie, w ostatnim roku dało nogę tysiąc pięciuset Peruwianczyków, a wraz z nimi trzy tysiące Ekwadorczyków i tysiąc siedmiuset Kolumbijczyków. Pół miliona osób wyjechało w dwa tysiące jedenastym, łącznie z dziesięcioma procentami Hiszpanów. Po raz pierwszy w ostatnich dziesięcioleciach, stwierdzał „El País”, emigracja przewyższała imigrację.

Ja też wyjechałam, ale z Barcelony. Opuściłam mój dom, by ujrzeć stolicę. Był to manewr wyjęty żywcem z podręcznika przetrwania. Niekiedy wyobrażam sobie, że w Madrycie został tylko Vargas Llosa i ja. Perspektywa jest posępna. Tym, którzy zostają, skądkolwiek przybyli, też trudno się jest gdzieś zaczepić. Kiedyś byłam dziwolągiem, bo byłam Peruwianką i nie sprzątałam w tym kraju domów, teraz jestem dziwolągiem tylko dlatego, że mam pracę. Są nawet tacy, którzy myślą, że jestem Niemką.

Kiedy pieprznięło w Hiszpanii? Pytanie retoryczne (gdy miejscowi Pedrowie Páramo założyli ręce i zmienili się w kamień i kurz). Pytanie tylko, czy Hiszpania zatrzyma swój upadek. Chyba rok temu moja matka stała w kolejce do hiszpańskiej ambasady w Limie, żeby mi przywieźć słoik żółtego *ají*. Tak, to było rok temu. Teraz należy wyrazić wdzięczność urzędnikom, że odmawiają nam wiz i odwodzą od zamiaru szukania tutaj lepszego życia.

Martwi nie żyją ani w przestrzeni, ani w czasie, mówił Rulfo o swoim pustkowiu. My też znikamy ze Starego Kontynentu. Niedaleko mnie jest peruwiańska restauracja, La Lupita, słynąca z najlepszego na świecie kurczaka z rusztu serwowanego pośród rozwrzeszczanej dzieciarni, ryczącej na cały regulator cumbii i iskrzącej instalacji elektrycznej. Czasem zaglądam tam, by poczuć, że na powrót jestem w Pierwszym Świecie.

Gdy przyjechałam w 2003 roku, Hiszpania była jeszcze jednym z tych miejsc, w których żyło się przyjemnie, a pieniądze płynęły szerokim strumieniem. Będąc krajem nowobogackim (który w swoim czasie przeżył okrutną wojnę, długą dyktaturę i w końcu dyskusyjną transformację), obnosił się z dumą świeżym członkostwem w klubie właścicieli świata. Ja, prawdę mówiąc, nawet tego nie zauważyłam. Jako świeżo upieczoną Europejkę pochłaniała mnie całkowicie gimnastyka przetrwania. Byłam jednostką pogrążoną w kryzysie, kiedy wszystko wokół kwitło, a gdy w końcu zaczęłam się sposobić, by sięgnąć po miliony lecące z nieba, kryzys przerzucił się na całą resztę.

Ale rząd Hiszpanii to jedna sprawa, druga zaś, całkowicie różna, to Hiszpanie. Jest im naprawdę bardzo ciężko. Dla ludzi, którzy nie mają pracy, nic się specjalnie nie zmieniło; pracującym szczęśliwcom obcięto zarobki: albo się nie pracuje, albo pracuje się więcej za mniej. Podstawowe usługi (transport publiczny czy leki) podrożały. Ostatnie reformy sprowadzają się na krótką metę do prostej redukcji zatrudnienia: mniej lekarzy, mniej nauczycieli. Konkluzja: w rzeczywistości reguły gry zostały zmienione wewnątrz Hiszpanii i przeciwko Hiszpanom.

„Strzeż się, Hiszpanio, swojej własnej Hiszpanii”, napisał César Vallejo. I dodał: „Strzeż się ofiary wbrew sobie, kata wbrew sobie i obojętnego wbrew sobie! Strzeż się nowych władców! Strzeż się tego, co zjada twoje trupy, tego, który pożera umarłych twoich żywych! Strzeż się swoich bohaterów! Strzeż się przyszłości!”³⁸.

Ileż racji miał Vallejo. To nie poeci są jasnowidzami, tylko kraje ślepcami.

Strzeż się, Peru, swojego własnego Peru.

Już niedługo święta Bożego Narodzenia i jak zawsze, gdy jestem w tych dniach daleko od Peru, zadaję sobie pytanie, dlaczego Dickens nie urodził się na tej cudownej ziemi słońca. Jaką opowiedziałby nam historię? Jaką nędzą i jaką szlachetnością odmalowałby nasz społeczny krajobraz? Wówczas dochodzę do

wniosku, że pod wieloma względami naszym Dickensem był Ribeyro, i jestem spokojniejsza. Ale po raz kolejny czytam *Opowieść wigilijną* (1843) i nie mogę wyzbyć się myśli, że choć jest to przecież apogeum dickensowości – tak angielskiej, tak wiktoriańskiej – w jakimś sensie ta książka jest portretem nas wszystkich. Wszyscy znajdziemy miejsce w bożonarodzeniowym opowiadaniu Dickensa. Wcześniej na przykład zwykłam porównywać mój kraj do Boba Cratchita, biednego, ale uczciwego pracownika, żyjącego pod tyranią bogatego tyrana; i widziałam w Peru małego Tiny Tima, absolutnie niewinną istotę, chorą i skazaną na śmierć, lecz mimo to radosną i dobrej myśli; widziałam nas nawet jako tych dwoje opuszczonych dzieci, Ciemnotę i Nędzę. Przyznaję, że były to dość żałosne wizje kraju chorego i pełnego nierówności. Całe szczęście, że już taka nie jestem. Całe szczęście, że stajemy się optymistami. Zmierzyliśmy się z zeszłoroczną zjawą wigilijną i słuchamy z uwagą zjawy tegorocznej. Peru się rozwija. Ale od jakiegoś czasu martwi mnie, że w tym wirze wzrostu i przybierania na wadze współcześni Scrooge'owie chcą, byśmy stali się jak oni: źli, egoistyczni, starzy. Boję się ducha przyszłych świąt Bożego Narodzenia i tego, co nam może pokazać o nas samych.

Ale proszę się mną nie przejmować, nawet Scrooge wyciąga w końcu wnioski. Przepraszam, jest Boże Narodzenie, nie chciałam popsuć zabawy, jedynie przypomnieć słowa mistrza, że pisząc te opowiadania, próbował po prostu „obudzić w ludziach uczucia życzliwości i tolerancji”. Życzliwość i tolerancja, pamiętajmy o tym.

Być jedną z tych, które nie przejmują się datami, które nigdy nie planują następnego kroku, być tak mało europejską, mieć w głębokim poważaniu wakacje, nie wierzyć w oszczędności, być na bakier z agendą, z porami roku, z tendencjami, nie wiedzieć, że latem należy gonić za słońcem. Wkładać – podczas gdy cała reszta depiluje się woskiem i przymierza bikini – wełniane golfy do walizki. Żyć przez całe miesiące pomiędzy, na wpół samotnie i raz do roku

lecieć na drugą stronę, wracać do zakątka, z którego wyszliśmy, gdzie właśnie nastała zima.

Boję się, śpiewa Carlos Gardel, spotkania z przeszłością, która ponownie zjawia się w moim życiu. Dla tych, którzy wracają do Peru, przeszłość będzie tym, czym zajmą się w pierwszej kolejności: to nie jest coś, co zostało w tyle, ale coś, co zawsze jest przed nami, czeka na nas, horyzont po drugiej stronie oceanu, nad którym siąpią ołowiane kadry niedokończonych historii. Gwiazdy przyglądają się naszym powrotom, drwiące i obojętne w tangu, a w prawdziwym życiu też nikogo to nie obchodzi, z wyjątkiem garstki ukochanych istot, które dały nam życie, patrzyły, jak dorastamy i jak odchodzimy, i które raz na jakiś czas odzyskują nas dla siebie ze swoich snów i modlitw. Po drugiej stronie nie ma już nawet starych kufrów, do których można byłoby zajrzeć, bo nawet nasze poźółkle papiery zabraliśmy ze sobą za ocean. Rodzą się nowe dzieci, pojawiają nowe choroby, ludzie, których zobaczymy po raz pierwszy, przyjaciele, których znaleźliśmy, których znajdziemy podczas tej krótkiej wizyty, których być może utraciliśmy.

Będziemy złorzeczyć na pogodę, na niebo. Pokażemy naszym dzieciom ich korzenie pogrzebane pod butami ich dziadków, którzy znowu nas ukołyszają swoim czułym szaleństwem aż do nowego pożegnania.

Zawsze wraca się do pierwszej miłości, do kraju, na który pomstuję z oddali, nikczemna, gdy tylko poczuwam się w obowiązku, bo wysłałam krytycznego ducha z mlekiem matki, a kraj jest dobrym partnerem sparingowym. Ale nie można już powstrzymać operacji „powrót do domu” ani tego wzruszenia. Drzę na samą myśl.

[36](#) Susana Villarán, prezydent Limy w latach 2011–2015. „Piasek Susany” nawiązuje do pięciu tysięcy metrów sześciennych piachu ofiarowanego miastu przez Odebrecht, brazylijską firmę działającą w branży budowlanej, i wysypanego na kamienistym brzegu w La Herradura celem stworzenia sztucznej plaży. Miało to miejsce na sześć dni przed oficjalną inauguracją przez Susanę Villarán maleconu, nadbrzeżnej promenady. Kilka dni po uroczystym przecięciu wstęgi 80% piasku zabrały fale oceanu, co było ciężkim ciosem dla popularności pani prezydent. Prokuratura podjęła wstępne dochodzenie w sprawie domniemanej korupcji (przyp. tłum.).

[37](#) Synonim *cholo* (przyp. tłum.).

[38](#) *Hiszpanio, odsuń ode mnie ten kielich*, [w:] *Poeci hiszpańskiej walki i nadziei*. Antologia, tłum. Zofia Szleyen, Wyd. Literackie, Kraków 1978, s. 303–304.

WEEKEND Z WŁASNĄ ŚMIERCią

KAŻDY MA GRÓB, Z KTÓREGO MOŻE WYRUSZYĆ W PODRÓŻ. Aby znaleźć mój własny, muszę spotkać się z nieznanymi ludźmi, którzy zawiozą mnie samochodem gdzieś w nadmorskie góry w Katalonii. W weekend wezmę udział w warsztatach zatytułowanych *Przeżyj własną śmierć*. Czekam na wielkie wyzwanie opowiedzenia w pierwszej osobie o własnej śmierci – mam nadzieję, że obejdzie się bez prawdziwego zejścia. W folderze reklamującym warsztaty można przeczytać, że uczestnicy doświadczą wrażeń bardzo podobnych do NDE (doświadczenia z pogranicza śmierci), jak unoszenie się nad własnym ciałem, ujrzanie całego swojego życia, światła na końcu tunelu i małych wątpliwych ludzików w oddali przywołujących nas z progu, za którym następuje kres wszystkiego. Nie można również wykluczyć możliwości, myślę, że zapakują mnie do samolotu i wylądują na jakiejś wyspie, gdzie dzieją się dziwne rzeczy. Tymczasem poznaję niektórych towarzyszy podróży.

– Czy my nie spotkaliśmy się przypadkiem w *Recyklingując się*? – pyta ją facet.

– Nie, to było w *Moje miejsce we Wszechświecie* – odpowiada ona.

– Ach tak, prawda... I co, znalazłaś je?

– Jeszcze nie.

– Zaliczyłaś tyle warsztatów i jeszcze go nie znalazłaś?

– Pracuję nad tym.

– Najwyraźniej brak ci celu – mówi z przekonaniem facet, który – chociaż wydał pewnie fortunę na warsztaty samopomocy – zdaje się nie znać podstawowych zasad. Na przykład że z kobietą nie zaczyna się rozmowy od pytania, czy już wie, co zrobić ze swoim zasranym

życiem. Przychodzi mi do głowy wiele pomysłów, jak rozwiązać problemy obojga i jeszcze na tym zarobić: jemu powiedziałabym, żeby od czasu do czasu spróbował przestać kłapać dziobem. Jej, by wysyłała na drzewo wysokości sekwoi facetów, którym się wydaje, że wiedzą o niej więcej niż ona sama.

– No, jak tam, panienki gotowe? – To drugi raz tego faceta na warsztatach śmierci. Twierdzi, że wie, o czym mówi.

– Wiecie, dziewczyny, że trzeba się rozebrać do rosołu, co nie? Będzie goło i wesoło.

Patrzymy na siebie z kobietą. Mężczyzna odwraca się i tym razem zagaduje tylko mnie:

– Ty musisz mieć zdrowe płuca, bo jesteś stamtąd, z południa, tam ludzie mają płuca jak się patrzy. Przydadzą ci się. Nie chcę wam za dużo zdradzać, ale złapiemy was za włosy i przytopimy z lekka...

Chociaż widać od razu, że robi sobie z nas jaja, kobieta, którą jak twierdzi sama, przekonał do tej przygody brat – „zaraz po warsztatach zostawił swoją upierdliwą dziewczynę i znienawidzoną pracę w banku i stał się lepszą osobą” – jest zszokowana i rzuca mi uprzejmie pytające spojrzenie.

– Ej, panna, rozkrzyżuj nogi, nie blokuj przepływu energii! – mówi mężczyzna.

Posłusznie stosuję się do tej rekomendacji. Zaraz będziemy na miejscu.

Ośrodek, w którym odbywają się warsztaty, to wielki dom w górach. Jest otoczony drzewami, widać stąd Morze Śródziemne. Ogromny basen jest pusty. W tym samym czasie w kilku niezależnych grupach odbywają się warsztaty eksperymentalne o odmiennej tematyce. Edukacja emocjonalna jest luksusowym dobrem, ale niektórzy z nas mogą sobie na nie pozwolić. W recepcji obok stołu z naparami ziołowymi płacę rachunek i czuję się trochę brudna, jakbym płaciła za narkotyki, czego też nie znoszę. Albo robiła przelew dla psychoanalityka.

Płacenie za spokój ducha nie jest według mnie sprawą normalną. Zresztą płacenie za operację płuca też nie, ale świat jest, jaki jest.

Instaluję się w małym pokoju, który będę dzielić z dwiema osobami. Wkładam do szafy cztery zmiany wygodnych ciuchów, zostawiam w łazience kosmetyczkę i – raz kozie śmierć – wychodzę poudzielać się towarzysko. Podobno jednym z celów warsztatów jest pełne otwarcie się na innych ludzi, coś, co zwykłym śmiertelnikom przytrafia się dopiero po czterech drinkach. Jakaś dziewczyna siada obok mnie.

– Śmierć?

Odpowiadam twierdząco.

– A ty...?

– Też Śmierć. Powoli przestajemy się już bać tego słowa, co?

– Eee... na to wygląda. – Pytam, co to za kobiety ubrane całe na biał.

– To uczestniczki *Poproś o przebaczenie swoją matkę*. Ty pierwszy raz?

– Tak.

– Strasznie ci zazdroścę! Zobaczysz, to będzie jedno z najważniejszych doświadczeń twojego życia. Ja już czwarty raz.

Sporo tutaj recydywy i w zależności od punktu widzenia może to być albo bardzo pozytywne, albo bardzo złe. Rozlega się dzwonek i wchodzimy do salonu z wielkimi oknami, za którymi widać morze. W *Przeżyj własną śmierć* jest nas ponad trzydzieści osób i wszyscy są na bosaka. Prowadzący prosi o przedstawienie się i wyjaśnienie w kilku słowach, co nas tu przywiodło. Zatrzymuje wzrok na mnie i mówi: „Może ty zacznij”. Nie mam wyjścia.

– Mam na imię Gabriela. Pochodzę z Peru, ale od ośmiu lat mieszkam w Barcelonie. Jestem tutaj, bo... boję się śmierci, ostatnio ten strach się pogłębił, no i też dlatego, że mam poczucie oderwania...

Mówię o tym, bo to prawda. Są jeszcze inne powody, ale prosił nas o zwięzłość.

Przyjęcie na warsztaty poprzedzone jest podpisaniem dokumentu, w którym przyszły uczestnik zobowiązuje się zachować w tajemnicy wszystko, co się tutaj wydarzy. Dlatego rozmyślnie zmieniłam nazwę

warsztatów i nie wymienię nikogo z imienia i nazwiska, zatrzymam też dla siebie tożsamość prowadzącego warsztaty, bardzo znanego w Katalonii intelektualisty. Poproszono nas również o wypełnienie testu psychologicznego, który ma wykryć nasze słabe punkty. Musimy dokonać oceny szeregu pojęć w skali od 1 do 18 i od najlepszego do najgorszego. Na przykład niewolnictwo oceniłam na 15; wysadzenie w powietrzu samolotu z pasażerami na 16; spalenie na stosie heretyka na 17; torturowanie człowieka na 18.

To szczerze odpowiedzi. Chyba jestem dobrym człowiekiem, mimo wszystko.

W kolejnych prezentacjach uczestnicy dzielą się swoimi motywacjami i wszystkie mają związek z próbą odnalezienia siebie.

Prowadzący wyjaśnia, że nasze warsztaty nie są terapią. Mówi, że to czas w czasie. Przez cztery dni przeżyjemy więcej niż w ciągu czterech miesięcy. Doświadczenie odrzucenia ego, co jest, koniec końców, równoznaczne ze śmiercią. Rytuał inicjacyjny i katartyczny mający na celu unicestwienie dziecka, które wciąż nosimy w sobie, i usytuowanie się w planie kosmicznym, społecznym i rodzinnym. Strach przed śmiercią jest strachem przed życiem.

Cóż jeszcze można dodać, chyba tylko to, że warsztaty polegają na zmierzeniu się z czymś tak zatrważającym jak „nietrwałość”. Mamy ponoć odkryć z perspektywy miłości wielkość umierania i pomagania w umieraniu, odegramy bowiem obie role.

W tak zakreślonych ramach uczestnicy muszą zlokalizować problemy ograniczające ich życie. Technika, która ma nam w tym pomóc: rodzaj rytmicznego, modyfikującego świadomość oddychania w rytm muzyki i różnych dźwięków, co pomoże nam uzyskać psychiczny obraz śmierci, wyleczyć rany i znaleźć przyczynę naszej blokady.

Symptomy zapowiadające bliskość śmierci, których doświadczymy podczas warsztatów, czy to jako konający, czy osoba mu towarzysząca: suchość w ustach, odwodnienie skóry, posługiwanie się niezrozumiałym językiem, nieodparta potrzeba powrotu do domu i pogodzenia się z kimś lub z czymś, utrata wagi, słabość, kruchość kości, wymioty, chęć wypróżnienia się i wydalenia z organizmu obcych ciał, rzęzenie, ruchy mimowolne, szklisty wzrok.

Warsztaty są dla śmierci tym, czym ćwiczenia alarmowe dla trzęsienia ziemi. Być może poza jednym drobnym szczegółem: tutaj nikt nie ocaleje.

Przed snem czeka nas jeszcze jedno zadanie: przy stołach pełnych kolorowych kredek musimy narysować swój autoportret: kreślę bohomaż w stylu Fridy Kahlo, z kolczastym sercem i komputerową myszką uwiązaną do nadgarstka. W żołądku upchnęłam dwugłową Gabrielę: jedna głowa się śmieje, druga płacze. Typowy rysunek, który ma zrobić wrażenie na psychologach, myślę. Gdy kładę się spać, zaczynam odczuwać pierwsze efekty warsztatów: nie mogę się pozbyć obrazu przeklętych odleżyn na ciele mojej babki Victorii. Odleżyna to martwa skóra, wojenna rana chorych: dziesięcioletni pobyt w łóżku może spowodować skutki bardziej niszczycielskie niż niejedna bitwa. Nie potrafiła się komunikować z otoczeniem, nie rozpoznawała nas i trudno uwierzyć, żeby mogła powiedzieć „żegnajcie” czy ujrzeć jakieś cudowne światło na ułamek sekundy przed odejściem. Myślę również o dniu, w którym po raz ostatni widziałam za życia moją babkę Elenę; od wielu lat była niewidoma z powodu cukrzycy, siedziała na wózku na korytarzu szpitala publicznego, czekając na łóżko w sali. Poprosiła mnie o wodę, miała wielkie pragnienie, dałam się jej napić z plastikowego kubka. Powiedziała: „Ja umrę, córeńko, zabierzcie mnie do domu, nie chcę tutaj umierać”. Skłamałam: „Nie umrzesz, babciu”. Pocałowałam ją w czoło i wyszłam. Umarła godzinę później na tym samym korytarzu.

Minęło już pięć lat, odkąd nie robię sobie rutynowych badań lekarskich. Nawet marnych, pobieżnych oględzin. Odkąd urodziłam córkę, czuję się nieśmiertelna albo zmuszam się do tego, by czuć się nieśmiertelna. Staram się zapadać na choroby, które można wyleczyć zwykłą wizytą w aptece. Jednak od jakiegoś czasu coś mi dolega. Nie wiem, jak to wytłumaczyć, po prostu nie czuję się dobrze. Któregoś dnia podejmuję decyzję i rejestruję się na wizytę u lekarza pierwszego kontaktu, który na początek wysyła mnie na badanie ogólne do pielęgniarki. Każe mi jeszcze zrobić analizę krwi, żeby

sprawdzić, co i jak. Będę musiała czekać dwa tygodnie na wyniki. Pielęgniarka waży mnie, mierzy i sprawdza ciśnienie. Nic mi nie jest, to jasne jak słońce, lekarze zawsze mieli mnie za niewypał. To idiotyczne, ale zawsze wychodzę z gabinetu z lekkim uczuciem zawodu, że nie jestem naprawdę chora. Nie chcę na nic chorować, to oczywiste, ale z jakiegoś powodu moje ego irytuje się, że wszędzie jestem taka do niczego, nawet w szpitalu. Dlatego gdy pielęgniarka mierzy mi ciśnienie i mówi „bardzo wysokie”, ktoś we mnie się uśmiecha. Może diabeł. To rodzaj popędu, chorobliwej radości, zemsty za te wszystkie lat nienagannego zdrowia. „Sto pięćdziesiąt na sto dziewięć”, mówi pielęgniarka. Normalne ciśnienie to sto trzydzieści dziewięć na osiemdziesiąt dziewięć.

Mam trzydzieści pięć lat. Jestem kobietą. To znaczy, jestem młoda i tryskam progesteronem. Dwa czynniki o niebo cenniejsze od ubezpieczenia na życie na milion euro. To dwa istotne powody, mówię sobie. 2-0. Wygrywam. Ale okazuje się, że nie. To nie jest jakieś zwykłe podwyższone ciśnienie, bo przez cały następny tydzień odstawiam sól i odżywiam się wyłącznie warzywami, a gdy ponownie idę do przychodni, mam 158/110. Pielęgniarka mierzy mi ciśnienie w prawej i w lewej ręce, trzy razy w każdej. W końcu pojawia się jego naukowa wysokość – mój stan wymaga fizycznej obecności lekarza – która zaczyna coś poszeptywać z pielęgniarkami.

Przez te kilka minut niepewności ciśnienie skacze mi pod sufit, 159/115. Lekarz mówi, że to nie przypadkowy skok. Nie jest również spowodowany stresem, chociaż czasem sprawiam wrażenie, że za chwilę wybuchnę jak bomba terrorysty, który pomylił cele.

Mój ojciec dowiedział się, że ma wysokie ciśnienie, w wieku trzydziestu pięciu lat – czyli tylu, ile ja mam teraz – i od tego czasu codziennie bierze leki. Mój dziadek umarł na zawał serca, gdy miał lat sześćdziesiąt. Moja babcia Victoria nie przeżyła wylewu. Mam przegwizdane. Ograli mnie. 2:3. Cierpię na nadciśnienie. Nadciśnienie tętnicze w stadium pierwszym. To wszystko. Ale chwila, czy nie istnieje czasem ogromne ryzyko, że nadciśnienie może być symptomem czegoś gorszego? Co to może być? Prawdopodobnie coś strasznego, bo lekarz patrzy na czubek swojego buta. „Dowiemy się

tego z morfologii krwi”, stwierdza. Chociaż na tę wiedzę trzeba jeszcze poczekać. Suspens.

Chroniczne nadciśnienie tętnicze to „cicha plaga zachodniej cywilizacji”, która jest główną przyczyną śmierci na świecie. Nie głód, nie rak, nie AIDS. Nazywa się je tak dlatego, bo przebiega skrycie, uszkadzając nieodwracalnie naczynia krwionośne i zwiększając ryzyko chorób układu krążenia i nerek. W dziewięćdziesięciu procentach przypadków przyczyna nie jest znana, ale prawie zawsze ma związek z uwarunkowaniami genetycznymi i złymi nawykami. Bingo!

Nikt nie powiedziałby, że jestem gruba, ale nikt nie powiedziałby również, że wyglądam na osobę zdrową. A jest to cecha, którą szczyliłam się do tej pory, która sprawia, że czuję się żywa i żywotna, całkowite zaprzeczenie umarlaka: piję, palę, wychodzę wieczorami, upijam się raz w tygodniu i raz w tygodniu mam potwornego kaca, od czasu do czasu biorę narkotyki, obżeram się fast foodami, nienawidzę większości warzyw, jestem matką, nie jestem ochrzczona, mam pracę biurową, nienawidzę ludzkiej rasy, jestem czyjąś żoną, oglądam seriale w TV w streamingu do trzeciej nad ranem, nie gimnastykuję się, nie zatrudniam pomocy domowej, spędzam dziesięć godzin przed monitorem komputera, jedyną częścią mojego ciała, która się gimnastykuje, są moje palce stukające w klawiaturę, jak teraz. To cud, że nie mam tyłka wielkości Brazylii. Jestem dziennikarką specjalizującą się we wtykaniu nosa w dziwne miejsca i piszącą w pierwszej osobie o skrajnych doświadczeniach. Ach, zapomniałabym o najważniejszym: uwielbiam sól. A najbardziej grubą sól, te malutkie diamenciki skrzące się na porządnym kawałku polędwicy wołowej, jak również przyprawy i sosy tak słone, że aż oczy bieleją mi z ekscytacji. Przypominam sobie, że już kiedy byłam małą dziewczynką, moje toksyczne DNA kazało mi wślizgiwać się ukradkiem do kuchni i gdy moja babcia Victoria odchodziła na chwilę od kuchenki, wbijać palec wskazujący w czerwony pojemnik z solą. Po zakończonej sukcesem akcji z białym, błyszczącym palcem wracałam biegiem przed telewizor. Oblizywanie oblepionego solą palca podczas oglądania ulubionych kreskówek było dla mnie przez długi czas jakąś odmianą szczęścia.

Był w moim życiu piękny czas. Poważnie, był taki czas. Kac nie robił na mnie większego wrażenia. A pożeranie hamburgerów i smażonego kurczaka nie miało żadnych konsekwencji poza przyjemnością. Nie mogę precyzyjnie określić, w którym momencie nadszedł kres tej bezkarności. Bardzo możliwe, że zaraz po trzydziestce. Ale nie wzięłam sobie tego do serca, postanowiłam nadal być młoda i lekkomyślna, co jest nieodłączną cechą młodości, i żyłam w jedyny znany mi sposób, to znaczy: wierząc w moją nieśmiertelność, wzbraniając się przed czytaniem etykiet produktów i deklarując się publicznie wrogiem fitnessu i jego wyznawców. Tylko od czasu do czasu jakieś anomalie w macicy skłaniały mnie do przypuszczeń, że może coś jest nie tak, na przykład lekkie przyspieszenie rytmu serca, jakby jakiś dzikus z bębniem wmieszał się w genialną orkiestrę kameralną mojej klatki piersiowej.

Dotykam twarzy i stwierdzam, że wągry mają się dobrze. Kładę też dłoń na brzuchu i upewniam się, że wciąż jest wydęty, jak brzuch kobiety w czwartym miesiącu ciąży, do czego zdążyłam się już przyzwyczaić. Już jakiś czas temu przestałam zawracać sobie głowę swoim profilem odbijającym się w sklepowych witrynach. Dotykam szyi i czuję rosnący drugi podbródek. Myślę o tym wszystkim, o dyskomforcie związanym z moim ciałem i o obrazie mentalnym, jaki sobie stworzyłam na jego temat (oddzielony wysokim murem od obrazu rzeczywistego). Myślę, że już dawno temu przestałam o nim myśleć albo że może nigdy o nim nie myślałam.

Czuję się dziwnie w domu w te dni złych wieści o wysokim ciśnieniu. To nie żarty, myślę o ścisłej diecie, mającej zmienić mnie w istotę, z którą chciałabym zamienić kilka słów nawet wówczas, gdybyśmy utknęły w windzie między piętrami. Nie mogę pić alkoholu, no, może jeden, dwa kieliszki, ale ja nie wyobrażam sobie wizyty w barze na sucho, żeby się nie ululać, koniec zatem z nocnymi wypadami. Przyjaciółki obiecują, że odstawią w mojej intencji kreski i dżin z tonikiem, że przerzucą się na skręty i białe wino, ale kłamią w żywe oczy.

Obraz nie byłby kompletny bez stosownej dawki leków. Muszę łykać codziennie, na razie przez trzy miesiące, dwie pięciomiligramowe tabletki Enalaprylu, którego opakowanie zawierające sześćdziesiąt sztuk kosztuje – o mało nie zemdlalam z wrażenia – dwadzieścia centów. Lista możliwych efektów ubocznych zajmuje pięćdziesiąt procent ulotki. I ja mam niby pakować w siebie te tandetne pigułki przez resztę życia? Któregoś dnia spotykam znajomego, który mówi, że cierpi na to samo i że codziennie wcina czosnek, a tabletek na wysokie ciśnienie nie bierze, bo „odbierają apetyt na seks”. Usłyszawszy to, inna wielka przyjaciółka radzi mi, żebym popełniła samobójstwo. Do tego wszystkiego należy jeszcze dodać gnojenie, na które jestem narażona teraz, gdy wszystkim się wydaje, że mają prawo mądrzyć się na temat mojego zdrowia, w pierwszej kolejności rodzinie, której nadopiekuńczość nie zna granic. Żyję w ciągłym stresie, spodziewając się w każdej chwili zawału. Na domiar złego mierząc sobie co rusz ciśnienie, zaczynam być rozpoznawalna w pobliskich aptekach. Którejś nocy jak zwykle rozbieram się przed lustrem i widzę niewielką czerwoną plamę na prawej piersi, tuż przy sutku. Dotykam jej. Jakiś guzek. Coś twardego. Coś, czego wcześniej, jestem pewna, tam nie było. Krzyczę.

Dziennik *Przeżyj swoją śmierć*. Część pierwsza

Pierwsza część tego reportażu napisana jest z ironicznym dystansem, którym posługuję się niemal zawsze, bo wydaje mi się, że tak lepiej piszę. Ale teraz świadomie z niego rezygnuję. Nie postąpiłabym uczciwie w stosunku do tego doświadczenia ani do osób prowadzących warsztaty, ani też do uczestników, którzy angażowali się całą duszą i obnażali wobec wszystkich swoją intymność. Nie byłoby to również w porządku wobec czytelników czy mnie samej. Wkleję tutaj fragment z dziennika, który pisałam w tamten weekend, by czytelnik mógł bez trudu rozpoznać moje słabe strony:

Skonfiskowali nam komórki, więc nie wiem, która godzina. Padam ze zmęczenia. Niedługo musimy wrócić. Dzisiaj mamy oddychanie. Podczas porannych zajęć świetnie się bawiliśmy. Tańczyliśmy przez dwie godziny: muzyka elektroniczna, salsa i absurdałna piosenka zatytułowana *Mój tantryczny chłopak*. Potem przeszliśmy do ćwiczeń kontaktowych z partnerem: patrzyliśmy sobie w oczy bez słów, dotykaliśmy się, szturchaliśmy. Trafił mi się niesamowicie przystojny i muskularny facet, dotyk jego rąk przyprawiał mnie o dreszcze. Fajne też było ćwiczenie, które polegało na tym, że jeden z partnerów mówił jak nakręcony, a drugi słuchał w całkowitym milczeniu. Mówiłam o mojej rodzinie, o Jaimem i Lenie. Moja para, tym razem młoda dziewczyna, była bardzo smutna. Powiedziała mi, że cieszy ją, że jestem szczęśliwa. Dzięki niej poczułam, że mam szczęśliwe życie. Płakała, a ja nie mogłam jej pocieszyć, bo nie wolno było nic mówić. To część podwójnego doświadczenia: stłumić w sobie pragnienie pomocy innemu, bo przecież gdy w rzeczywistości przyjdzie czas, nikt nie może ci pomóc. Żyjemy razem, umieramy w samotności.

Potem przez długi czas spadaliśmy z wysoka na plecy, na materac, co miało pomóc nam wyzbyć się strachu i – jak mówią instruktorzy – „dać się ponieść”.

Najbardziej jednak spodobało mi się zadanie ze ślepym i przewodnikiem. Byłam tragiczną przewodniczką, omal nie wysłałam na tamten świat mojego partnera, którym tym razem był starszy pan. Gdy przyszła moja kolej na udawanie ślepcy, mój towarzysz okazał się niezwykle czułym opiekunem, wyprowadził mnie na dwór, bym mogła powąchać i dotykać trawę, czuć powiew wiatru i ciepło słonecznych promieni, obmyć sobie twarz wodą z pompy. Całkiem możliwe, że warsztaty zaczynają przynosić efekty, poruszając we mnie najczulsze struny. Podczas każdego ćwiczenia ktoś płacze. Po obiedzie widzę mieszkającego tu małego chłopca, który bawi się z dwoma psami. Pamiętam, że prowadzący powiedział, byśmy zapragnęli czegoś z całego serca. Pragnę właśnie tego: więcej słońca, wielkiego ogrodu i psów, z którymi mogłaby się bawić Lena. Siły i cierpliwości, bym mogła ją wychować tak, by czuła się szczęśliwa. Czy moje oczy lśnią tak samo jak oczy tych wszystkich ludzi? Czy na mojej twarzy widnieje już współczujący uśmiech i czy mam ochotę wszystkich uściskać? Nie, nie jestem pogodzona ze sobą, to kłóci się z moją osobowością. Moja sytuacja na tych warsztatach nie należy do najłatwiejszych: z jednej strony czuję, że muszę zachować pełną świadomość, aby z minimum krytycznego spojrzenia napisać po powrocie tę historię, historię będącą próbą odpowiedzi na pytanie, czy możliwe jest przeprowadzenie symulacji śmierci. No bo umówmy się: symulacja śmierci jest mrzonką, śmierć to show na żywo, czysta improwizacja. I co by nam z tego przyszło, gdybyśmy nawet zajrzeli jej w oczy, przecież nie uodporniłoby nas to na trwogę przed pustką. Z drugiej strony czuję, że tak sceptyczne podejście nie pozwala mi się angażować, nie tylko w to, ale w ogóle w nic. A ja chcę spróbować, naprawdę tego chcę. Te warsztaty pełne są dysfunkcyjnych, samotnych i smutnych osób, które draży jakiś ból i które nie wiedzą, skąd on się bierze. Jestem od nich lepsza, bo nie biorę nic na poważnie, czy może przeciwnie, jestem gorsza z dokładnie tego samego powodu? Jestem lepsza, bo uważam się za osobę szczęśliwą? Nie mogę bez przerwy się oszukiwać, myśląc, że

szaleńcy i odszczepieńcy to inni, po to tylko, by dalej strzelać na wariat błyskotliwymi zdaniami.

Dziennik *Przeżyj swoją śmierć*. Część druga

Sesja skończyła się około drugiej nad ranem. Dzisiaj oddychała połowa, jutro kolej na resztę. Ja oddycham jutro, dzisiaj byłam opiekunką. Podstawowe zalecenie to nie ingerować w doznania innych, choćbyśmy widzieli, że cierpią. Możemy przystąpić do działania tylko wtedy, gdy nas o to poproszą. Moją konającą była czterdziestoletnia kobieta. Trzeba mieć dużo cierpliwości i pokory, by sprawdzić się w roli opiekuna. Spędziłam przy niej wiele godzin, zwilżając jej usta, zbierając wymiociny w foliową torbę. Oddychający leży na wznak z zasłoniętymi oczami. Opiekun czuwa nad konającym na łożu śmierci.

Uformowaliśmy krąg, jak podczas jakiegoś rytualnego obrzędu. W istocie rzeczy warsztaty inspirowane są szamańskimi sesjami z ayahuascą, sławnym enteogenem. Gdy zajęliśmy pozycje, rozbrzmiała muzyka. Prowadzący dodawał otuchy, prosząc, by umierający mieli odwagę odejść, od czasu do czasu uderzał w bęben. Muzyka jest kluczowym elementem, zabiera cię bowiem na wędrówkę po różnych stanach emocjonalnych, od skrajnie agresywnych po najbardziej łagodne i harmonijne. W jakimś sensie prowadzący jest więc również didżejem. Na repertur składały się najróżniejsze utwory, od mistycznych, trudnych do zniesienia pieśni, po *Cwał Walkirii* Wagnera. Wzruszyłam się, usłyszawszy Mercedes Sosę śpiewającą: „Jestem chlebem, jestem pokojem, jestem czymś więcej: powiedz mi wszystko, opowiedz mi o sobie / bo dusza twa płacze, gdy zostaje sama. / Trzeba wszystko wydobyć na wierzch, jak wiosna. / Rozmawiać, patrząc sobie w oczy, wydobyć wszystko co się da na wierzch / by mogły narodzić się rzeczy nowe, nowe / nowe”. Oddychanie przypomina oddychanie podczas porodu, wdech i wydech, krótkie, rytmiczne. Niektórzy oddychali w pozycji

siedzącej, inni stojąc, aż w końcu rozpętało się katharsis. Kiedy ktoś narzekał na ból, w odwodzie był prowadzący, który podchodził i naciskał jakiś mięsień delikwenta, wywołując u niego ostry ból i wyzwalający krzyk. Widziałam ludzi śmiejących się i płaczących, skręcających się z bólu, wrzeszczących, jakby coś w ich wnętrzu rozerwało się na tysiąc kawałków. Opiekun musiałby być z kamienia, żeby i on nie doznał wstrząsu. Gdy moja umierająca zdała się dostąpić ukojenia, przykryłam ją prześcieradłem. Odeszła.

Niewiele razy byłam blisko śmierci. Może dlatego tak bardzo się jej boję. Dla ludzi, którzy obcuja z nią na co dzień, jak pracownicy zakładów pogrzebowych, śmierć jest czymś zwyczajnym jak sen i przebudzenie. Moi rodzice opowiadają zawsze anegdotę z czasów, gdy byłam mała i po raz pierwszy dotarło do mnie, że ludzie umierają. Od tego dnia, gdy mówili o jakiejś osobie, ja pytałam niezmiennie: „Żyje czy już umarł?”. Śmiech.

Dzieci traktują śmierć jako coś tajemniczego i fascynującego. Nie wiem, w którym momencie śmierć przestaje być tylko słowem pojawiającym się w bajkach i zmienia się w coś rzeczywistego. A jednak przez większą część życia myślimy o śmierci jako o czymś bardzo odległym i przede wszystkim obcym, co przytrafia się innym, ludziom, którzy nie mają szczęścia. Aż ta zwodnicza idea przechodzi w boleśnię fizyczne poczucie, że pewnego dnia my również nieodwołalnie znikniemy. Dorosłe życie jest ciągłym macaniem Nicości palcami wyobraźni. To negatywna strona posiadania chwiejnych przekonań, bycia pesymistą i minimalnie inteligentnym człowiekiem. Bardziej niż samego momentu śmierci, co samo w sobie wzbudza strach, boimy się zagadkowości zniknięcia. Philip Larkin ujmuje to o wiele lepiej: „czemu człowiek racjonalny / Ma bać się rzeczy, której nie poczuje?, jakbyś / Nie tego bał się: braku wzroku, słuchu, czucia / Smaku, zapachu, czegoś do myślenia, czegoś / Do kochania, bliskiego; / Narkozy, z której nikt z nas już się nie obudzi”³⁹.

Moim pierwszym zmarłym był mój dziadek Carlos, ten od zawału. Miałam dziewięć lat i rodzice opowiedzieli mi o tym jakiś czas po pogrzebie. Nie widziałam nawet jego trumny. Podczas mszy żałobnych nigdy nie zbliżałam się do zmarłego. Nie widziałam moich zdechłych psów. Raz tylko zdobyłam się na odwagę, zaglądając przez sekundę do sali w domu pogrzebowym, w której moja matka ubierała babcię Elenę, i zobaczyłam jej przechyloną na bok stopę, znajdującą się w tej samej pozycji, jaką zwykle przyjmowała, gdy leżała na łóżku i słuchała radia. Wyglądała jak żywa. Nie widziałam też ciała babki Victorii, która zmarła, gdy byłam już w Hiszpanii. Do trumny ośmieliłam się zajrzeć jeden, jedyny raz, i tylko dlatego, że leżał w niej Máximo, brat mojego dziadka, którego prawie nie znałam.

Nigdy nie widziałam twarzy zmarłej ukochanej osoby. To kolejna z rzeczy, które współzawodniczą w moim rankingu potworności.

Odczuwałam strach przed śmiercią niezliczoną ilość razy, zwłaszcza w samolotach, ale tylko raz pożegnałam się ze wszystkimi, powiedziałam *adiós* mojej rodzinie. Wściekła fala Pacyfiku miksowała mnie przez dobrych kilka sekund na brzegu i w spienionym wirze, z otwartymi oczami, pomyślałam, że już po mnie, ale jakoś udało mi się wypłynąć na powierzchnię. Przez wszystkie lata wojny domowej w Peru bałam się śmierci bardziej niż kiedykolwiek. Myślałam, że w każdej chwili może mi wybuchnąć pod nosem samochód pułapka albo że terroryści i żołnierze wedrą się do domu i utną nam głowy. Mój ojciec jest dziennikarzem i dobrze pamiętam, gdy któregoś dnia nad ranem obudzono go wiadomością o śmierci jego ośmiu kolegów zamordowanych w wiosce Uchuraccay w Ayacucho. Pojechał tam natychmiast i jakiś czas potem ujrzałam go w telewizji na tle czarnych worków ze zwłokami. Wzięłam udział w ogromnym kondukcie pogrzebowym w Limie, krzycząc „sprawiedliwość”. Miałam wówczas sześć lat i Peru z tamtych czasów było najbrutalniejszym krajem w całej swojej historii. Odkąd urodziłam córkę, boję się umrzeć z jakiegokolwiek powodu. Boję się tak bardzo, że omijam szerokim łukiem remontowane budynki i dźwigi transportujące materiały budowlane, nie przechodzę przez ulicę na czerwonym świetle. W metrze wystrzegam się psychopatów czających się za

plecami, by pchnąć mnie na tory. Jeśli wyzywa mnie jakiś neonazista, trzymam język za zębami.

Kolacja u znajomych. Jej ojciec umiera na raka. „To straszne uczucie czuć przy umierającym człowieku, który w kilka minut przechodzi z jednego strasznego stanu w jeszcze gorszy”, mówi. Kilka dni później umiera matka znajomego. Jeszcze jeden rak rozwijający się w piorunującym tempie. Mój ojciec i jego brat wygrali walkę z rakiem okrężnicy. To znaczy, że w moich genach mam nie tylko N jak nadciśnienie, ale też R jak rak. Nie zapominając o C jak cukrzyca. Mam niejasne podejrzenie, że jakiś kruk usiadł na moim drzewie. „Biała dziewczyna”, jak nazywają śmierć Meksykanie, coś musiała tutaj zgubić. To nie przypadek, że niedawno w jednym z opowiadań uśmierciłam moją siostrę. I nie spisałam testamentu, i nie mam ostatniego życzenia, i nie mogę sobie wyobrazić, jak będzie wyglądać beze mnie moje życie.

Czasem zastanawiam się, czy aby nie somatyzuję swojej desperackiej konsumpcji pięciu sezonów *Sześciu stóp pod ziemią*. Przez ostatnie dwa miesiące nie oglądałam niczego innego i czuję się wyobcowana, jakbym była częścią serialu albo miała jutro umrzeć. Na początku każdego odcinka ktoś umiera; to znaczy w ciągu pięciu sezonów widzimy sześćdziesiąt sposobów umierania: w wypadku, w wyniku choroby, morderstwa czy starości; w spokoju, przedwcześnie, gwałtownie... W każdym kolejnym odcinku *flashforward* pokazuje nam śmierć każdej z postaci w trwających kilka sekund scenach, na zakończenie których pojawiają się nazwiska zmarłych i daty ich zgonu. Po raz pierwszy w życiu myślę o roku, w którym umrę. Jeśli uda mi się przeżyć tyle, ile powinnam, i umrę śmiercią naturalną w wieku, w którym umiera przeciętnie żyjący człowiek, może to być 2050. Jeśli miałam szczęście i odziedziczyłam geny mojego dziadka, który ma pięćdziesiąt trzy lata i czuje się znakomicie, być może uda mi się dociągnąć do 2060. Ale z pewnością nie dłużej. Nie dożyję ani 2070, ani 2100. Według strony internetowej eldiadetumuerte.com umrę w wieku

sześćdziesięciu dwóch lat. „Zostały ci 9907 dni, 00 godzin, 14 minut i 56 sekund”, uprzedzają mnie. Tasmiedos.com tymczasem twierdzi, że trzydziestego grudnia 2040 roku, straciwszy wszystko, popełnię samobójstwo. W mimuerte.com umieram w 2024 w wypadku paralotniarskim. Według estarmuerto.com umrę za dwa lata skatowana przez własnego męża. W Internecie można znaleźć wiele filmów wideo z ludźmi gadającymi do siebie, w których opowiadają, jak będzie wyglądać ich śmierć. Są zabawne. Dwudziestoletnia dziewczyna zapewnia, że umrze na raka piersi w wieku trzydziestu lat, że wie o tym od dziecka, chociaż na razie jest zdrowa jak rzepa. Śmierć jest bliżej niż dalej.

W książce *W morzu śmierci* David Rieff opowiada o chorobie i śmierci swojej matki, Susan Sontag, o jej wielkiej trwodze przed śmiercią podyktowaną trzema nawrotami raka w ciągu całego jej życia. Cytuje zdanie z osobistych dzienników pisarki: „Śmierć jest nie do przyjęcia, chyba że ktoś umie zapomnieć o własnym ja”⁴⁰. Rieff twierdzi, że w odróżnieniu od innych osób Sontag nie udało się tego osiągnąć po części z winy „zatrutego kielicha nadziei”. Na przykład ostatnie wiersze, jakie napisał Bertolt Brecht złożony śmiertelną chorobą, mówi Rieff, pokazują pojednanie artysty z nieuchronnością śmierci, jak w wierszu opowiadającym o ptaku siedzącym na gałęzi drzewa, którego śpiew zdaje się poecie cudowny, a jeszcze cudowniejsze to, że po jego śmierci ptak dalej będzie śpiewał na tym samym drzewie. „Potrafiłem się cieszyć / Każdą piosenką kosa, również tą po mnie”⁴¹, napisał Niemiec.

Tymczasem śmiertelnie chora Sontag pozostawiła nam następujące zdanie: „W dolinie smutku rozpostrzyj skrzydła”⁴².

Krzyk trwoży mojego męża. Jaime przybiega do sypialni i zastaje mnie płaczącą ze zdenerwowania, z piersią w dłoniach.

– Jest obrzęknięta! Jak to możliwe, że nie zauważyłaś tego wcześniej?!

– Jak to możliwe, że ty nie zauważyłaś tego wcześniej?! Widzisz, jakie to czerwone?

– Tak, bardzo czerwone.

Jutro z samego rana pójdziemy do szpitala. Spoglądam raz po raz w lustro. Boję się tego dotknąć. Nie było tam tego kilka dni temu, przecież inaczej wyczułabym. Jaime mówi, że nawet gdyby to był nowotwór, a przecież takiej pewności nie mamy, można go leczyć. Przypominam sobie fragment z książki, w którym Rieff opowiada, jak lekarze amputują pierś Sontag – operacja niezwykle agresywna, która polega na wycięciu większej części mięśnia piersiowego, aby usunąć wszystkie chore komórki.

Widzę swoje odbicie w lustrze i zamykam oczy.

Jestem zmęczona. Wyczerpuje mnie dorosłe życie, to, że wszystko jest na mojej głowie. Dlatego właśnie wiele razy pragnęłam zachorować, żeby nie zajmować się absolutnie niczym i żeby inni się mną opiekowali. Byłabym tak szczęśliwa, gdybym mogła zostać w łóżku i od rana do nocy oglądać seriale telewizyjne, i wciągać przez słomkę jedzenie w płynie! Tak często powtarzałam tę ryzykowną mantrę, że teraz zastanawiam się, czy to potajemne pragnienie nie ma jakiegoś związku z moim świeżym odkryciem przed lustrem.

Tej nocy nie będziemy zabawiać się z Jaimem, jak tyle innych razy, myślami o naszej śmierci, nie będziemy rozmawiać o tym, kto umrze pierwszy, w jakim oceanie rozrzucimy nasze prochy, czy też z kim chcielibyśmy zawrzeć ponowny związek małżeński po śmierci tego drugiego. Już nas to nie śmieszy. Leżymy w łóżku jak trusie i oczekujemy świtu.

Ostry dyżur ginekologiczny dzieli poczekalnię z porodówką. Patrzą na snujących się mężów i lekarki zajęte przynoszeniem na świat życia. Teraz moja kolej. Pielęgniarka prosi, abym weszła sama. Słyszę płacz noworodka. Lekarka osłuchuje mnie. Dotyka moich piersi: „Widzę to – mówi – i czuję”. Serce podchodzi mi do gardła.

Kiedy obmacują moją pierś, usiłuję zaczepić się o coś myślą. O coś, co nie byłoby tym słowem, którego nie chcę wymówić i które huczy w głowie każdej kobiety, gdy ginekolog bada zgrubienie w jej piersi.

Ale udaje mi się jedynie pomyśleć o innej książce, którą jak na ironię, czytam w tych dniach: *Nie moje życie* Emmanuela Carrère'a, niefabularyzowaną historię dwóch wydarzeń, które wstrząsnęły autorem na przestrzeni kilku miesięcy: śmierć dziecka i tego, czym była dla jego rodziców, oraz śmierć kobiety i tego, czym była dla jej dzieci i męża. Znajduję tam odniesienie do wspaniałej książki *Mars* Fritza Zorina, bestselleru, którego rękopis szwajcarski pisarz oddał do wydawnictwa na kilka dni przed śmiercią. Porusza w niej drażliwy temat związku między jałowym życiem i rakiem. Książka zaczyna się w sposób bezkompromisowy: „Jestem młody, bogaty i wykształcony, a przy tym nieszczęśliwy, znerwicowany i samotny. Pochodzę z jednej z najlepszych rodzin na prawym brzegu Jeziora Zuryskiego, zwanym też Złotym Brzegiem. Otrzymałem tak zwane przyzwoite wykształcenie i przez całe życie byłem człowiekiem porządnym. [Moja rodzina jest dosyć zdegenerowana, ja przypuszczalnie również mam jakieś dziedziczne obciążenia i jestem zwichnięty przez środowisko]. Oczywiście mam też raka, co właściwie niedwuznacznie wynika z tego, co powiedziałem dotychczas. (...) jest to choroba umysłu, o której mogę powiedzieć tylko, że to ogromne szczęście, iż w końcu wybuchła”⁴³.

Jaime czeka na mnie w poczekalni. Wychodzę i uśmiecham się do niego. On uśmiecha się do mnie. Siadam mu na kolanach. Obejmuję go. I on mnie obejmuje. Trwamy tak długie minuty. Mam jedynie *mastitis nonpuerperalis* (które nie występuje w czasie karmienia), zapalenie piersi.

Moim grobem jest ten materac, na którym udam się w podróż. Mam zasłonięte oczy. Moja opiekunka obiecuje, że będzie czujna. Oddycham głęboko, oddycham i oddycham, i oddycham, ale myślę tylko, żeby tam być, na twarzach moich towarzyszy. Mam wrażenie, że mnie nie lubią. Czy to możliwe, bym uważała się za przesympatyczną istotę i nikt na tych warsztatach tego nie zauważył? Myśli, jakie przychodzą mi do głowy, sprawiają, że jestem o lata świetlne od pogodzenia się z samą sobą. A może to instynkt

przetrwania nie pozwala mi przejść na drugą stronę. Ale nie poddaję się, próbuję, oddycham coraz rytmiczniej. Idzie mi jak po grudzie, a tak łatwo byłoby wziąć LSD czy pociągnąć łyk ayahuaski i zaoszczędzić sobie zachodu. W koncentracji pomaga mi muzyka z *Gwiezdnych wojen*. To głupie, wiem, ale przywodzi mi na myśl Jaimego i Lenę. Widzę ich. Słyszę krzyki kolegów, którzy już rozpoczęli swoje podróże. Czuję, że jestem o krok od katharsis. Zaczynają mnie boleć plecy i proszę o pomoc prowadzącego. Podchodzi i skręca mi łopatkę. Ból jest intensywny. Mówi mi na ucho: „Krzycz, Gabriela, krzycz, co powiedziałaabyś swojej matce?”. Nie wiem, skąd wziął to o mojej matce, może z mojego rysunku albo z testu. Wiem tylko tyle, że skutkuje. Z gardła wydiera mi się krzyk małej dziewczynki, krzyk zbyt ciemnych nocy, krzyk samotności i strachu: „Mamo, mamo, mamooo!”. Płacę jak potępiona dusza. Płacę, jak nie płakałam od lat. Płacę w stereo. Płacę tak bardzo, że dochodzę do wniosku, że przyjechałam tutaj, aby wpaść w depresję. Płacę i rozmyślam o moich strapieniach. Płacę i zastanawiam się, czy któregoś dnia przestanę płakać jak mała dziewczynka. Płacę i przypominam sobie, że nie jestem już tą małą dziewczynką, że teraz jest inna dziewczynka, którą muszę się opiekować. Płacę, bo jestem córką wszystkich: mojej matki, mojego męża, mojej córki. Płacę ze strachu przed porażką jako matka. Błagam moje małeństwo o wybaczenie, że jestem tak infantylna. Obiecuję jej, że będę niezłomna, że będę cierpliwa i szczęśliwa dla niej. Wówczas pogrążam się w absolutnej ciemności, pozwalam, by mnie spowiła, by wzięła mnie w objęcia niczym olbrzymie zwierzę, które mnie połyka i wypluwa moje kości. Teraz wtapiam się w jej lśniąca sierść. Ciemność po raz pierwszy jest letnia jak czarne słońce; mój umysł rozszerza się w niej. Płacz jest narzędziem służącym opróżnieniu zawartości. Już jestem pusta, jak zawsze gdy płaczę ponad miarę, ale nie jestem smutna, bo nic nie straciłam. Odchodzę, akceptując siebie taką, jaka jestem. Na Sądzie Ostatecznym – podpowiada mi to doświadczenie – sędzia i oskarżony to ta sama osoba. A teraz widzę przepiękny krajobraz i to cholerne światło na końcu tunelu – kulturową fantazję zmartwychwstania i przeczucia tajemnicy – drogę do zniesienia wszelkiego bólu,

wszelkiego strachu. Uśmiecham się do siebie. Jeśli taka jest śmierć, mogę umierać choćby jutro. Czuję, że ktoś przykrywa mnie prześcieradłem. Odchodzę.

Dobrą wiadomością jest to, że z tej narkozy się wraca. Następnego dnia na spotkaniu zamykającym warsztaty, gdzie opowiadamy o naszych doznaniach, prowadzący proponuje mi ćwiczenie: mam odejść na bok i sporządzić dwie listy: listę rzeczy, które wpływają na mnie pozytywnie, i listę rzeczy, które wpływają na mnie negatywnie.

Rzeczy, które wpływają na mnie negatywnie, to: że przez cały dzień jestem podłączona do Internetu i Facebooka, rachunki, KFC, alkohol, narkotyki, zbyt mało czasu poświęcanego córce, mój infantylizm, literacki świat, presja pisania, lekceważenie i wzgarda ludzi, lekkomyślność, niesprawiedliwości, rozłąka z Limą, sól, brak ruchu, osądzanie, osądzanie siebie.

Rzeczy, które wpływają na mnie pozytywnie: seks, miłość Leny, miłość Jaimego, dawanie miłości, bycie kochaną, gotowanie, pisanie, spanie, wychodzenie z domu na słońce, oglądanie seriali z Jaimem, śmiech, nicnierobienie, zrobienie czegoś dobrze, czułość, rozłąka z Limą, płacz, zdrowe jedzenie bez soli.

Instynkt przetrwania jest moralistą.

Czas opuścić warsztaty i zastosować zdobytą wiedzę w codziennym życiu. Ni stąd, ni zowąd uczestnicy stają się najlepszymi przyjaciółmi, wymieniają się mailami, snują wspólne plany, informują się o nowych warsztatach, na których mogliby się spotkać ponownie i szukać swojego miejsca we Wszechświecie.

Doświadczenie to nie okazało się jednym z najbardziej miazdzących w moim życiu, jak obiecała mi tamta dziewczyna, ale czuję się dobrze, w zgodzie z samą sobą, do tego stopnia, że daję się ponieść i wychodzę na spacer w pole samotna i pełna; idę drogą zagłębiającą się w las, idę i idę, nie patrząc za siebie, bezwiednie oddalam się coraz bardziej i nagle zastygam w bezruchu, i gdy rozglądam się dokoła, pośród tej naturalnej samotności staję się na powrót sobą: to znaczy odczuwam strach, że z kniei może wypaść

jakieś zwierzę i mnie zjeść, i przypominam sobie, że powinnam wracać do domu, jedyne miejsce, w którym czuję się bezpieczna.

Wyczesuję wszy Lenie oglądającej telewizję ze swoim kolegą Gaellem. Znowu podłapała to dziadostwo od kogoś w szkole. Namierzam jedną i rozgniatam. Lena ogląda *Niewiarygodne przygody Ashy*. W odcinku jest mowa o śmierci rybki Ashy. Przyjaciel wyjaśnia Ashy, że po śmierci istnieją trzy możliwości: zniknięcie, niebo lub reinkarnacja.

– W co chciałabyś się wcielić? – pytam Lenę, ale nie odpowiada.

– W co chciałbyś się wcielić, Gael? Bo ja na przykład wcieliłabym się w drzewo...

– Ja w lwa.

– A ty, Lena? – nie daję za wygraną. – No, powiedz w co. W kwiat? W motyla? W księżniczkę?

– W siebie i kropka.

Badanie krwi wykluczyło problemy z cholesterolem, nerkami i cukrem. Jestem jak nowo narodzona, jeśli nie liczyć ciśnienia. Dzięki śmiertelnie nudnej diecie udało mi się zrzucić sporo kilogramów. Za trzy miesiące zmierzają mi znowu ciśnienie i jeśli nie będzie poprawy, prawdopodobnie zwiększą mi dawkę enalaprylu, który będę już brać do końca życia. Odtąd trudno cokolwiek przewidzieć.

Nie wiem, gdzie jeszcze chciałabym, żeby rozsypano moje prochy. Dobrym miejscem byłaby Amazonia, na rzece Nanay przepływającej przez Manacamiri, małą miejscowość w regionie Loreto. Byliśmy tam z Jaimem bardzo szczęśliwi. Czy może, żeby nie przesadzać z egzotyką, nad morzem Grau w Limie, do której mam nadzieję wrócić któregoś dnia, lub nad Morzem Śródziemnym, gdybym jednak nie wróciła. Przez pozostałe lata życia, których – w co gorąco wierzę – czeka mnie jeszcze bez liku (bądźmy dobrej myśli), pojawi się być

może w tej dolinie smutków i radości inne znaczące miejsce godne rozpostarcia skrzydeł.

Na moim wyimaginowanym nagrobku śmierć nadal jest pustym miejscem do wypełnienia. A po deszczu rosną chwasty.

[39](#) Fragment wiersza *Alba* Philipa Larkina, przeł. Jacek Dehnel (przyp. tłum.).

[40](#) David Rieff, *W morzu śmierci. Wspomnienia syna*, przeł. Agnieszka Nowakowska, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2009.

[41](#) *Ibidem*.

[42](#) *Ibidem*.

[43](#) Fritz Zorin, *Mars*, przeł. Ryszard Turczyn, Wydawnictwo Przedświt, Warszawa 1992, s. 23.

Ostatniej nocy, zanim poszłam spać, otrzymałam dowód wielkiej pracy społecznej wykonywanej przez rodzinę Badanich: Kicia bez żadnych ceregieli wpakowała się ze mną pod prysznic, by mi zademonstrować, jak powinnam kąpać

Spis treści

GURU I RODZINA

Kici

W WIĘZIENIU TWOJEJ SKÓRY

PLANETA SWINGERSÓW

BEZLITOSNA PANI UDZIELA RAD OSZOŁOMIONEJ UCZENNICY

TRANS

#TONIESIKI

IM WIĘKSZA URODA, TYM GŁĘBSZA ZMAZA

TRIO

ISABEL ALLENDE BĘDZIE PISAĆ Z ZAŚWIATÓW

Epilog: Zbrodnia niedoskonała

PODRÓŻ PRZEZ AYAHUASCE

Pierwsze słuchy

Z encyklopedią botaniczną w ręku

Listy o yagé

Szamani i źli czarodzieje

Na czerwonej ziemi

Wizje piekła

Telewizja puszczy

ŻEGNAJ, OWOCYCIĘ, ŻEGNAJ

CZEKAJĄC NA 11-11-11

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

8.

9.

10.

11.

[O BYCIU MATKĄ](#)

[Z TEJ I Z TAMTEJ STRONY](#)

[WEEKEND Z WŁASNĄ ŚMIERCIA](#)

[Dziennik Przeżyj swoją śmierć. Część pierwsza](#)

[Dziennik Przeżyj swoją śmierć. Część druga](#)